

WYKLUCZONA



Seria kryminalna z komisarzem
TYMONEM HANTEREM

KATARZYNA WOLWOWICZ

zwierciadło

WYKLUCZONA

KATARZYNA WOLWOWICZ

zwierciadło

Tytuł oryginału: Wykluczona

© Copyright by Katarzyna Wolwowicz, Warszawa 2023

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa
2023

Redakcja: Barbara Filipek

Korekta: Joanna Wysłowska

Skład i łamanie: Sylwia Kusz, Magraf sp.j., Bydgoszcz

Zdjęcie okładkowe: [unsplash.com/Spencer Goggin](https://unsplash.com/SpencerGoggin),

[unsplash.com/Sebastian Unrau](https://unsplash.com/SebastianUnrau)

Zdjęcie autorki: Wojtek Biały

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Redaktor inicjująca: Blanka Wośkowiak

Wszelkie podobieństwa zdarzeń, instytucji i osób
są przypadkowe i niezamierzone.

Opowieść stanowi literacką fikcję.

Wydawnictwo nie ponosi żadnej odpowiedzialności wobec osób lub podmiotów za
jakiegokolwiek ewentualne szkody wynikłe bezpośrednio lub pośrednio z wykorzystania,
zastosowania lub interpretacji informacji zawartych w książce.

ISBN: 978-83-8132-525-7

Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski

Drukarnia: BZGraf S.A., Białystok

Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.

ul. Widok 8, 00-023 Warszawa

tel. 603-798-616

Dział handlowy: handlowy@grupazwierciadlo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach
przetwarzania danych, odtwarzanie, w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w
wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich

Wydanie I, 2023

*Przedstawiona historia jest fikcją literacką, a sekta Dzieci Dnia Apokalipsy
została wymyślona na potrzeby fabuły.*

Spis treści

* * *

Mieszkanie Joanny na Krzykach, Wrocław
Dom państwa Słowińskich, Karkonoska Osada
Następny dzień, Komenda Miejska Policji, Wrocław
Kilka dni później, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra
Poniedziałek, Karkonoska Osada
W tym samym czasie, Sala Królestwa
Dom Olgi Balickiej, Jelenia Góra–Sobieszów
Wtorek, Karkonoska Osada
Sala dysput, Karkonoska Osada
Budynek B, Karkonoska Osada
Środa, druga w nocy, dom Joanny, Karkonoska Osada
Środa, poranek, dom Tymona, Karkonoska Osada
Ten sam dzień, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra
Osiedle Zimowe, Jelenia Góra
Sobota, budynek A, Karkonoska Osada
Sobota, noc, dom Joanny, Karkonoska Osada
Niedziela, wczesny poranek, podwórze przed Salą Królestwa,
Karkonoska Osada
Niedziela, dom Tymona, Karkonoska Osada
Ten sam dzień, dom Olgi Balickiej, Jelenia Góra–Sobieszów
Popołudnie, Sala Królestwa, Karkonoska Osada
Wieczór, dom państwa Dąbrowskich, Karkonoska Osada
Noc, stara rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry
W tym samym czasie, Karkonoska Osada
Poniedziałek, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra
Poniedziałek, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry
Ten sam dzień, Polana Wiernych, Karkonoska Osada
Ten sam dzień, budynek A, Karkonoska Osada
Popołudnie, dom Tymona, Karkonoska Osada
Popołudnie, dom Państwa Słowińskich, Karkonoska Osada

Ten sam dzień, dom Justyny Oleś, Karkonoska Osada

Nieco później, dom Tymona, Karkonoska Osada

W tym samym czasie, Karkonoska Osada

Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Noc, dom Tymona, Karkonoska Osada

Kolejny dzień, sala konferencyjna Komendy Miejskiej Policji, Jelenia Góra

Ten sam dzień

Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Ten sam wieczór, droga do Jeleniej Góry.

Kolejny dzień, rano, dom Tymona, Karkonoska Osada

Ten sam dzień, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry.

Ten sam dzień, Karkonoska Osada

Ten sam dzień, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry.

Ten sam dzień, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Ten sam dzień, Karkonoska Osada

Chwilę później, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry.

EPILOG

* * *

Biegła. Biegła ile sił w nogach. Choć zmęczenie i panika przenikały się wzajemnie, tworząc destrukcyjną mieszankę niemocy, coraz bardziej wwiercającą się w jej mózg i duszę. „Nie dasz rady” – dudniły jej w głowie znajome głosy. „Nie uciekniesz”, „jesteś nikim”, „takie zero jak ty nigdy nie dopnie swego”.

– Nie poddam się. Nie poddam! – odpowiadała im szeptem, nie chcąc, by usłyszał ją ten, kto ją ścigał. Być może najbardziej chciała przekonać samą siebie. – Dam radę! – próbowała dodać sobie otuchy.

Nie mogła się poddać. Nie teraz, kiedy w końcu miała szansę uciec, i nie teraz, kiedy potwór podążał tuż za nią. Kiedy śledził jej każdy krok, kiedy myślał, jak by ją złapać. Była wykończona. Pokonała już niemal pięć kilometrów szutrowej drogi, a zostało około osiemset metrów do granicy miasteczka. Tam już nic nie powinno jej grozić. Przystanąła na moment, by złapać oddech. Całe szczęście, że Księżyc w nowiu. Gdyby świecił jasno na niebie, dużo trudniej by się uciekało. Pochyliła się i oparła dłonie o kolana, wzrokiem wodziła po okolicy. Działała w amoku. Na szczęście nigdzie nie dostrzegła potwora. Jej krótki i szybki oddech łączywie chwycił lodowate powietrze, a z ust wydobywała się biała para. Bała się, że napastnik ją zauważy albo wyczuje ciepło jej oddechu. Potwór wykazywał przecież nadprzyrodzone moce. Widział, czuł i wiedział więcej od innych. Jego zmysły były wyostrzone i kiedy wyruszał na polowanie, rzadko wracał bez zdobyczy. Wiele razy widziała jego ofiary oraz to, co z nich zostawało.

– Mnie nie dorwiesz! – mamrotała pod nosem, dodając sobie siły. – Nie dorwiesz!

Wszystko ją bolało. I krtań, i nogi, i każdy niemal centymetr ciała. W punkcie, w którym utknęła, miała tylko dwa wyjścia: albo ucieknie i będzie w stanie zniszczyć potwora, albo nie da rady, a wtedy to on

przystąpi do dzieła. Myśl o byciu rzuconą na pożarcie wygłodniałym psem albo poćwiartowaną siekierą na podwórku za domem dodała jej pewności, którą drogę wybrać. W ustach poczuła metaliczny smak krwi i przez moment sądziła, że zemdleje, ale zmobilizowała się, aby przetrwać tę chwilę słabości. Rozejrzała się na boki i zmusiła swoje ciało do dalszego biegu. Majaczące w oddali światła domostw były jej nadzieją i celem, do którego powinna dotrzeć, by poczuć się bezpiecznie. Szelest targanych na wietrze liści przepelniał ją lękiem. Nie lubiła tego odgłosu. Zawsze kiedy tak wiało, a zwłaszcza jesienią, wyobraźnia podsuwała jej przerażające obrazy. Potwór wylaniający się z mgły, rozrzucone ciała po lesie pełnym liści, zbliżający się do niej cień... Zatkaną uszy, starając się nie dopuścić, by fantazja przejęła kontrolę nad jej umysłem.

„Dzień dobry. Jestem Iga. Mam piętnaście lat i rozładował mi się telefon. Czy mogę skorzystać z pańskiego?” – układała w myślach formułkę, którą wyrecytuje pierwszemu spotkanemu człowiekowi, a gdyby się nie zgodził, to kolejnemu i kolejnemu. Aż do skutku. Przecież w końcu ktoś się nad nią zlituje. Ten tekst był kłamstwem. Nigdy nie miała swojego telefonu komórkowego, ale przecież prawdy nie może powiedzieć. I tak nikt by jej nie uwierzył. Ścisnęła w dłoni zawinięty w szmatkę przedmiot, upewniając się, że wciąż jest w kieszeni. To glejt, jej wybawienie, jej klucz do normalnego świata. Jej dowód na to, że to nie urojenia, że sobie nie wymyśla, że to zło, którego bała się przez tyle lat, istnieje naprawdę.

Nagle z naprzeciwka zobaczyła parę zbliżających się w szybkim tempie świateł. Żółte reflektory osłepiły ją. Odgłos silnika zdawał się być coraz głośniejszy. Auto pędziło wprost na nią.

– Nie! – Stanęła i krzyknęła z całych sił, jakby ten krzyk miał moc zaklinalnia rzeczywistości. – Nie! – Podjęła ostatnią próbę ucieczki i odskoczyła w bok. Była pewna, że to nie jest przypadkowy kierowca. Znienacka poczuła na plecach silny, przesywający ból, któremu towarzyszył odgłos łamiącego się kręgosłupa. Potem nie czuła już nic...

Mieszkanie Joanny na Krzykach, Wrocław

Ooooo, właśnie tu – szeptała, wyginając ciało w miłosnej ekstazie. Poczuła na rękach gęsią skórę, przyjemne dreszcze przenikały jej ciało. Szarpnęła go mocno za włosy. – Tak! Tak! – krzyknęła, opadając z sił i dysząc, jakby przebiegła maraton. Ten orgazm był intensywny i wykańczający. Cudowny, ale i przytłaczający. Potrzebowała chwili, by wyciszyć emocje i z powrotem odnaleźć się w rzeczywistości. Ciało wciąż drżało z każdym oddechem.

– Ej, mała, to przecież ja się tutaj napracowałem. – Przystojny brunet ze zmierzwionymi włosami wyłonił się spomiędzy jej ud. Na oko miał jakieś trzydzieści parę lat, dokładnie nie wiedziała ile. Jego skórę w okolicach oczu przecinały pierwsze zmarszczki, co nadawało mu poważniejszego wyglądu od zazwyczaj zapraszanych młodych playboyów. Zresztą jakie to miało znaczenie. Ważne, że znał się na tym, co robi. I mogła potwierdzić to z całą stanowczością. Oblizwał wargi z miną wyrażającą podniecenie i namiętnie pocałował ją w usta. Jego pocałunek był mokry i ciepły. – Smakujesz wybornie, tam, na dole – powiedział z czułością. – A może chciałabyś się odwdzińczyć? – zapytał, spoglądając wymownie na swoje krocze.

– Nie ma mowy. Dziś są moje urodziny, nie twoje – zaprotestowała, zastanawiając się, czy może go już pożegnać. Nie chciała przysporzyć sobie wrogów, ale przyjaciół też nie potrzebowała. Nawet jeżeli zachowywała się egoistycznie, miała to w dupie. Zanotowała jedynie w pamięci, by zawsze zapraszać mężczyzn z kilkudniowym zarostem. Z nimi pewne przyjemności nabierały innego wymiaru.

– Urodziny obchodziłaś chyba ostatnim razem? – zauważył zdezorientowany.

- No i co z tego? Lubię świętować cały rok - odburknęła nie najmiłszym tonem.

- Dobra - dał za wygraną. - Nie było tematu. Zjemy razem śniadanie?

- Słuchaj, chyba musisz już iść. Mam dużo pracy. I zero czasu na bliższe relacje. - Postanowiła przedstawić sprawę jasno. Przecież doskonale wiedział, po co go przyprowadziła. Oczywiście, że istniały kobiety, które żeby pójść z facetem do łóżka, potrzebowały odpiardolić cały teatrzyk - kolacja, kwiatki i te sprawy, a po finale - długie przytulanie. Ale ona postępowała inaczej i nigdy tego nie ukrywała.

- Poważnie? - zirytował się. - Uważasz, że jak zjemy razem jajecznicę, to będziemy parą? Kurwa, przecież ja nawet nie wiem, jak ty naprawdę się nazywasz!

- Przedstawiałam się! - Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie, jakie podała mu imię. Nigdy wcześniej nie spotykała się kilkukrotnie z tym samym facetem. Ten po prostu się wczoraj nawinał i z braku innej opcji złamała swoje zasady.

- Ta... - Wstał i zaczął wkładać bokserki. - Wczoraj byłaś Malwiną, a tydzień temu Zuzaną. Dziś pewnie nazywasz się jeszcze inaczej. O to, jak ja mam na imię, nawet nie zapytałaś - robił jej wyrzuty. - Gdzie są, kurwa mać, moje skarpetki! - Poziom frustracji rósł z każdym wypowiedzianym słowem. Chodził chaotycznie po pokoju, nerwowo zaglądając pod meble.

- Joanna - odpowiedziała nieco zdezorientowana, spoglądając na niego ze zdziwieniem. Może nawet z lekkim poczuciem winy, które jednak szybko minęło. - Mam na imię Joanna. I nie wiem, gdzie posiałeś skarpetki. Jeżeli znajdę je po twoim wyjściu, to powieszę w siateczce na klatce schodowej. Będziesz mógł je sobie odebrać w dogodnym terminie. - Zdawała sobie sprawę ze swojej bezczelności, ale ten facet też nie zachowywał się wzorowo. Co to za fochy i obrazy majestatu. Nie pozwolił sobie na takie traktowanie.

- Super. Ładne imię - ironizował. Nie był pewny, czy dziś akurat mówi prawdę, czy też sobie żartuje. Włożył buty na gołe stopy i zapiął pasek od spodni.

Telefon na szafce nocnej zawibrował i Aśka od razu po niego sięgnęła. Miała nadzieję, że to coś ważnego, że będzie mogła przenieść swoją uwagę na inną sprawę, zamiast zastanawiać się, czy nie zraniła tego faceta. Nie chciała czuć się winna. „Co za czasy! Dziś to mężczyźni są słabszą, wrażliwszą płcią” – pomyślała.

– Nie chcesz wiedzieć, jak ja mam na imię? – kontynuował.

Jego głos docierał do niej jakby z zaświatów. „Boże, to nie dzieje się naprawdę...” Zaczęło kręcić się jej w głowie. Nagle powietrze zgęstniało i ciężko było nim oddychać.

– Co? – wymamrotała z przejęciem, nie wierząc w przeczytane właśnie słowa na ekranie lub raczej nie dowierzając w to, co mogłyby oznaczać. Facet w jej mieszkaniu nagle stał się przezroczystry i zupełnie nieistotny. Całą jej uwagę skupiło tylko te kilka wyrazów widocznych na wyświetlaczu.

– Czy nie chcesz wiedzieć, jak ja mam na imię? – powtórzył i spojrzał na nią z powagą. – Hej, wszystko dobrze? Zbladłaś. – Po jego twarzy przebiegł grymas faktycznej troski.

– Idź już – powiedziała machinalnie, wcale nie patrząc na niego.

– Jesteś pewna? Mogę zostać i pomóc. Coś się stało?

– Spierdalaj! – wykrzyknęła w końcu, nie mogąc znieść tej natarczywości. – Wiesz, gdzie jest wyjście – dodała łagodniej, widząc jego konsternację.

– Dobra, już mnie nie ma! – Chwycił skórzaną kurtkę i trzasnął drzwiami.

Spojrzała ponownie na telefon. Kilka razy mocno przetarła oczy, bo obraz zaczął się rozmazywać. Ale kiedy litery w końcu stanęły prosto i dały się ponownie przeczytać, wiedziała, że nie może to być pomyłka. Przeszłość wracała, pukała już do drzwi. Pytanie brzmiało: czy znajdzie w sobie siłę, by się z nią zmierzyć?

Dom państwa Słowińskich, Karkonoska Osada

Chłopiec bił się z myślami. Przedzierały się do jego umysłu, sprawiając, że nie mógł skupić się na niczym innym. Zajmowały mu całe dnie, odciągały od spraw wiary i właśnie dlatego wiedział, że są złe, nieczyste i karygodne. I że pochodzą od Szatana.

– Panie Boże, wybacz mi. – Klęknął na podłodze przy łóżku, złożył ręce i zaczął recytować słowa modlitwy.

Mimo to przed oczyma znów pojawiały się obrazki z koszami pełnymi cukierków i z roześmianymi buziami. Nic nie mógł na to poradzić. Miał już dziesięć lat i nigdy nie był na zabawie z okazji Halloween. Nigdy nie chodził z innymi dziećmi po mieście przebrany za potwora i nie zbierał słodczy, mówiąc do ludzi sławetne: „cukierek albo psikus”. Nigdy. Takie rzeczy były w ich zborze surowo zakazane. Takie wydarzenia odsuwały ludzi od Boga, zaciemniały duszę i skazywały na wieczne potępienie. Przez taki spacer z kolegami nie poszedłby do nieba, gdyby akurat miał nastąpić koniec świata, apokalipsa, na którą czekał, odkąd tylko sięgał pamięcią. A ona, jak go uczono, nadejdzie niebawem. Nie zdążyłby odpokutować tak wielkiego grzechu. Co więcej, skazałby na wieczne potępienie nie tylko siebie, ale również rodziców. A jednak mimo wszystko właśnie tego pragnął. Wiedział, że jest zły. Że to Szatan przemawia do niego w czystej postaci. Że zakradł się do jego głowy i steruje jego umysłem, wyobrażeniami. Ale wiedział też, że jeżeli będzie się żarliwie modlił, to Pan Bóg go wysłucha i przestanie myśleć o zejściu na ścieżkę zła. A może Pan Bóg pozwoliłby mu iść z dziećmi?

– Miłoszku...? – Mama zapukała delikatnie, weszła do pokoju i usiadła na łóżku. – Modlisz się, mój synu. To dobrze. – Uśmiechnęła się, głaszcząc zimną dłonią twarz chłopca. Na boki rozsunała jego długie blond loczki, które po niej odziedziczył, i spojrzała poważnie. – Powinieneś się modlić.

Dziś wielki dzień, mój kochany. – Jej oczy promieniały czystą radością i Miłosz z ekscytacją stwierdził, że jego mama jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Coś wyjątkowego musiało się wydarzyć. Bardzo często uśmiechała się do niego, ale jej oczy pozostawały ciągle smutne. A teraz wyglądała inaczej. Teraz nie wydawała się nawet zmęczona. A mama przecież zawsze była zmęczona. Nigdy nie widział, by odpoczywała. Wiecznie wykonywała czynności typu: sprzątanie, pranie czy gotowanie. Wszystko po to, by „Tato mógł być z niej dumny”, jak mówiła. I by Bóg widział, że się stara.

– Co się stało, mamusiu? – zapytał zaintrygowany. Czyżby rodzice domyślili się, czego pragnie, i ten jeden jedyny raz pozwolili mu pójść na zabawę do domu kolegi? Otworzył szeroko oczy w oczekiwaniu na dobre wieści. Miał wrażenie, że serce bije mu tak głośno i mocno, że za chwilę wyskoczy z piersi.

– Pan Wszzechmogący docenił nasze starania. Wysłuchał naszych modlitw. – Pogłaskała go po blond czuprynie. – Twój ojciec został dziś mianowany sługą pomocniczym. Od teraz nie jest już zwykłym bratem w wierze. Będzie wspierał nadzorców, naszych starszych w zborze. Chwalmy Pana, moje dziecko, i pomódlmy się, by ojciec dobrze Mu służył. – Uklękła obok syna, pocałowała go w czoło i rozpoczęła modlitwę. – Tylko pamiętaj, mój mały – przerwała rozważanie – teraz musimy świecić przykładem jak nikt inny. Nie jesteśmy już zwykłą rodziną. Każdy będzie patrzył na nas i się na nas wzorował – oznajmiła z powagą.

Wyczuł w jej głosie strach, a może obawę, czy podołają.

– Płaczesz, mój kochany? – zapytała, poprawiając swoją długą, lnianą spódnicę, która ograniczała jej ruchy. – Tak, wiem, to z radości, ja też się bardzo cieszę.

Ale Miłosz nie płakał z radości. Wprost przeciwnie. W jego sercu zagościł ogromny smutek. Przytłaczał go tak mocno, że chłopiec nie był w stanie się cieszyć. Dotarło do niego dojmujące przekonanie, że teraz już na pewno nie pójdzie na Halloween.

Następny dzień, Komenda Miejska Policji, Wrocław

Ja pierdołę, czy tutaj ktoś w ogóle pracuje?! – wybuchnęła po niemal godzinnym oczekiwaniu na drewnianej, niewygodnej ławce i podeszła jeszcze raz do okienka dyżurnego. Zbyt obcisłe dżinsy lepiły się jej do tyłka, a włożony przed wyjściem czarny, wełniany golf gryzł ją w szyję. „Mogliby chociaż zmniejszyć to cholerne ogrzewanie” – pomyślała. Ściągnęłaby sweter, gdyby miała coś pod spodem, ale nie miała. – No, halo! Mówi się! – kontynuowała.

Starszy mężczyzna nawet na nią nie spojrzał.

– Usiądzie i poczeka. I się nie gorączkuje – powiedział spokojnie, wlepiając nos w monitor komputera, na którym układał pasjansa. – Bo jak się będzie gorączkowała, to zawału dostanie i jeszcze usta-usta będę musiał robić. – Zaśmiał się pod nosem na myśl, jaki jest dzisiaj zabawny.

– No, a tego by przecież nie chciała – dokończyła jego błyskotliwą myśl, mówiąc o sobie w trzeciej osobie. – Dzień dobry! – krzyknęła w stronę mężczyzny wychodzącego z korytarza. – Nazywam się Joanna Bator i chciałabym zgłosić podejrzenie przestępstwa. Może nawet morderstwa – podkreśliła ostatnie słowo, mając nadzieję, że przyciągnie uwagę funkcjonariusza. Tarasowała mu drogę, kręcąc się przed nim, gdy tylko zmieniał kierunek marszu.

– Zabójstwa – poprawił ją starzec od pasjansa, nadal nie odrywając nosa od komputera.

– Co? – Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tu nie Ameryka – wyjaśnił. – Tu mamy zabójstwa, a nie morderstwa, i zabójców, a nie morderców – pouczał ją zachrypniętym od wieloletniego palenia głosem. – Się naogłądała *CSI Miami*, to nie wie, jakie zasady w ojczyźnie obowiązują.

– No, ja pierdole, jak babcię Kocham! – wykrzyknęła na całą salę. – Czy nikogo tu nie interesuje, że nie żyje młoda dziewczyna? – Dwoje oczekujących, którzy do tej pory nie zwracali na nią uwagi, podniosło wzrok znad gazety.

– Pani wybaczy, ale ja kończę zmianę – wykręcał się policjant w cywilu i stracił ze swojego ramienia jej rękę. – Ale kolega właśnie zaczyna i na pewno przyjmie zawiadomienie. – Wskazał wzrokiem na wchodzącego właśnie na komendę młodego człowieka.

– Przyszłaś przeprosić? – Wysoki, wysportowany mężczyzna o znajomej twarzy stanął naprzeciw niej. Widok Aśki go zaskoczył, nie miał jednak zamiaru tracić zimnej krwi.

– Co? Ja... To znaczy... – Miotła się jak dziecko przyłapanie na kradzieży cukierka. – Ty tu pracujesz? – wydukała w końcu jedno logicznie brzmiące zdanie.

– No – odparł jakże elokwentnie i czekał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że powstrzymanie się od jakiegokolwiek komentarza będzie w tej sytuacji najwymowniejsze. Bawiło go jej zmieszanie. Może nawet odczuł coś na kształt satysfakcji. Zastanawiał się, czy dostała takich wypieków na jego widok, czy to raczej z powodu zbyt ciepłego ubrania.

– To dobrze, to znaczy... Słuchaj, zaginęła młoda dziewczyna, Iga Dąbrowska. Podejrzewam, że została zamordowana, a oprócz niej zaginęło jeszcze kilka innych osób, tylko że nie znam teraz ich danych – mówiła szybko, chcąc podać jak najwięcej informacji, by go zainteresować. – Ale poznam, tylko potrzebuję czasu. Jednak sama nie dam rady. Potrzebuję pomocy, by rozwiązać tę zagadkę do końca. I jeżeli możesz mi pomóc... To znaczy, no kurwa, chyba policja powinna pomagać w takich sprawach, no nie? – przerwała swój emocjonalny wywód i spojrzała mu prosto w oczy – drżała z nerwów.

W życiu nie widział, by ktoś patrzył na niego z taką nadzieją i żalem jednocześnie. Było w tej dziewczynie coś prawdziwego, coś hipnotyzującego. Ale z drugiej strony nie wydawała mu się zrównoważona. Ostatnie, czego potrzebował do uwieńczenia swojej

męczarni po niedawnych problemach z komendantem, to romans z wariatką, która będzie go teraz prześladowała w pracy.

- Zapraszam. - Otworzył wejście magnetyczną kartą i puścił ją przodem. - Drugie drzwi na prawo. Napijesz się czegoś? - zapytał kurtuazyjnie, kiedy usiadła na krześle dla interesantów przy biurku.

- Nie, dzięki. I jajecznicy też nie chcę. Czy możemy już zacząć przesłuchanie? - denerwowała się. Nie wiedziała, dlaczego była taka niemila, te słowa po prostu z niej wypłynęły. Założyła nogę na nogę i machała nią nerwowo.

- Przesłuchanie? To raczej normalna rozmowa, ewentualnie przyjęcie zgłoszenia. - Wzmianka o jajecznicy ubodła go, ale nie dał się sprowokować. - Dobrze, mów, z czym przyszłaś. - Rzucił na krzesło skórzaną kurtkę i włączył czajnik bezprzewodowy. On bardzo chętnie napije się herbaty.

- Wczoraj, kiedy wyszedłeś, dostałam wiadomość. Przeczytaj. - Podała mu komórkę trzęsącymi się dłońmi.

- Nigdy nie trzymasz się faktów? - Spojrzał na nią przenikliwie, kończąc czytać. Nie miał zamiaru celowo jej zawstydzać, ale wolał postawić sprawę jasno i nie tolerować bajeczek. Oboje dobrze wiedzieli, jak było.

- Dobrze, skoro wolisz dosadniej: wczoraj, kiedy byłeś u mnie, dostałam wiadomość i dlatego cię wyjechałam. Lepiej? - Podniosła głos i spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

- Prawdziwiej. A z tej wiadomości nic nie rozumiem. I szczerze mówiąc, zaczynam myśleć, że nie jesteś zbyt stabilna emocjonalnie - przyznał bez pardonu.

- Bo to taki szyfr - wyjaśniła, całkowicie pomijając jego przyganę.

- „Sądny dzień nadchodzi, miejcie wiarę w Bogu, wykluczeni mogą jeszcze powrócić na Jego pastwisko...” Żartujesz sobie? - Zaczynał utwierdzać się w przekonaniu, że trafił na jakąś niezrównoważoną. Zresztą nie byłby to pierwszy raz. Ostatnio nie miał szczęścia do kobiet. Relacje z płcią przeciwną przysparzały mu jedynie coraz większych

problemów i zastanawiał się już nawet, co z nim jest nie tak, skoro ciągle ładuje się w jakieś damsko-męskie kłopoty.

- Posłuchaj! - Zgrzyt odsuwanego krzesła rozszedł się po sali. Aśka zaczęła nerwowo chodzić po pomieszczeniu. - Ja wiem, jak to brzmi. Wiem, że teraz nic nie rozumiesz, ale tam dzieje się coś złego. Zawsze się działo, dlatego uciekłam, ale nigdy nie na taką skalę! - Emocje wzięły górę i do oczu napłynęły jej łzy. Dygotała.

Komisarz patrzył na nią w osłupieniu. Faktycznie nie rozumiał ani słowa. I właśnie bił się z myślami, czyby nie wezwać karetki, która zawiezie ją prosto na oddział psychiatryczny. Postanowił dać dziewczynie ostatnią szansę.

- Mówiłaś, że ktoś został zamordowany, kto? - Jego głos był oschły, a ton konkretny. I ten zabieg spowodował, że Aśka przestała gadać trzy po trzy, a zaczęła sypać informacjami.

- Iga Dąbrowska. Ma lub miała piętnaście lat. Mieszkała w Jeleniej Górze. Mam jeszcze nadzieję, że żyje, ale wątpię.

- Dlaczego myślisz, że stała jej się krzywda? - Zapisał imię i nazwisko domniemanej ofiary na kartce papieru.

- Bo miesiąc temu spotkałam ją przypadkiem na rynku w Jeleniej. Razem ze swoją matką Mirosławą Dąbrowską głosiły słowo Pana.

Tymon otworzył szeroko oczy i rzucił jej spojrzenie w stylu: poważnie wierzysz w te brednie? Ale się nie odezwał. Jedynie westchnął głęboko i to wypadło chyba wymowniej.

- Mirka poszła do toalety i wtedy Iga do mnie podbiegła. Oficjalnie nie można ze mną rozmawiać, bo jestem wykluczona. Ale Iga była przerażona i powiedziała, że w zborze źle się dzieje, że giną ludzie, zwłaszcza młode dziewczyny, i nikt nie wie, co się z nimi stało, i że ma pewne podejrzenia. Też chciała uciec, ale była zdeterminowana, żeby najpierw znaleźć dowody. Spieszyła się, więc spytała tylko, czy jeżeli ucieknie, to będzie mogła do mnie na jakiś czas przyjechać. Zgodziłam się. I wtedy ona zakomunikowała, że być może nie przeżyje tej próby. Jeżeli wyczuje niebezpieczeństwo, to mnie o tym poinformuje. Ale tak, żeby nikogo nie narazić. Kiedy dostanę wiadomość o nawróceniu, to będzie oznaczało, że

stała się jej krzywda, a jak o terminie jej przyjazdu na dworzec, to prosi mnie o odebranie. Wzięła mój numer telefonu. Nie miałam czasu ani możliwości, by ją wypytać. To wszystko działo się tak szybko. Jej matka, wychodząc z kawiarni, zobaczyła, że rozmawiamy. Musiałam odejść, żeby nie narażać Igi.

– Nic z tego nie kumam. W jakim znowu zborze? I dlaczego rozmowa z tobą mogłaby ją na coś narażić?

– Bo one żyją w sekcie, która kieruje się określonymi prawami. Ja też się tam urodziłam, ale odeszłam, przez co zostałam wykluczona. Jeżeli ktoś stamtąd, brat lub siostra w wierze, będzie ze mną utrzymywał kontakt, to też zostanie wykluczony.

– Co to znaczy, że zostałam wykluczona? – Informacja o tym, że urodziła się w sekcie, zaskoczyła go. Ale nie chciał tego po sobie pokazać.

– Wszyscy członkowie sekty otrzymali bezwzględny zakaz kontaktu ze mną. Nie mogą się do mnie odzywać ani ze mną widywać. Prawie każdy zna tam moje dane i wygląd. Jestem podawana jako przykład niegodziwości oraz zepsucia. W każdym razie sekta wyklucza takie osoby. Odcina je od kontaktu z innymi członkami, potępia i piętnuje.

– To chyba dobrze – parsknął. – Z tego, co wiem, sekty zazwyczaj nie chcą wypuścić swoich owieczek i ludzie mają problem w drugą stronę.

– Jak ci na imię? – spytała nagle, zupełnie zmieniając temat.

– Tymon, miło, że w końcu pytasz. A dokładniej Tymon Hanter, komisarz.

– A więc Tymonie Hanterze, jak często widzisz swoich rodziców, kuzynów, kolegów z podwórka, na którym dorastałeś? Jak często dzwonisz do przyjaciół czy siostry, jeżeli takową posiadasz?

– Mam brata – sprostował. – I jestem raczej rodzinny, ale nie rozumiem, jaki to ma związek...

– Ja też byłam – weszła mu w słowo. – Też byłam rodzinna. Ale zostałam tej rodziny pozbawiona przez wykluczenie. Od dziesięciu lat nie mam kontaktu z matką, ojcem ani z tymi, z którymi dorastałam. Nikt z bliskiej i dalszej rodziny się do mnie nie odzywa, nikt z grona moich starych przyjaciół nie chce mnie znać. Spróbuj sobie wyobrazić, że

zostajesz na świecie sam jak palec, a wszyscy, których kochałeś i z którymi żyłeś, odcinają się od ciebie. To właśnie jest wykluczenie. I z tym muszę żyć, bo wybrałam wolność. A jednak tęsknię za nimi i nie chcę, by stała im się krzywda, więc zadam ci konkretne pytanie: pomożesz mi?

Kilka dni później, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Komendant Michalik miał posępną minę. Raczej nie tryskał na co dzień radością, ale dziś zdawał się być jeszcze posępniejszy. Siedział na fotelu szefa komendy za biurkiem odziedziczonym kilka lat temu po emerytowanym komendancie Pawle Kaweckim i czekał. Do jego gabinetu pomału schodzili się wszyscy zaproszeni. Właściwie nie było ich wielu: Olga Balicka, komisarz wydziału zabójstw, Jakub Zdanowicz, aspirant tego samego wydziału i informatyk zarazem, oraz komisarz Tymon Hanter, gość z Komendy Miejskiej we Wrocławiu. To za jego sprawą wszyscy się tu znaleźli. I to przez niego wszyscy zebrani zostaną obciążeni dodatkową robotą.

– To mówisz, że mamy tu sektę... – Zawiesił głos, spoglądając na przybysza. – W dodatku taką, która zabija ludzi? – Poglądził się po wystającym brzuchu, z którego rozeszło się ciche burczenie.

– Tego nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą Hanter. – Ale chciałbym to sprawdzić. Karkonoska Osada mieści się pięć kilometrów od rogatek Jeleniej Góry. Administracyjnie jest nazwą wsi, ale też kompleksem wypoczynkowym oraz siedzibą sekty o nazwie Dzieci Dnia Apokalipsy. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem, ale ponoć to prężnie działająca organizacja.

– Ja o nich słyszałam – wtrąciła szczupła, ciemnowłosa komisarz Olga Balicka. – Jednak do tej pory uważano tych ludzi raczej za nieszkodliwych. Coś jak Świadkowie Jehowy. Żyją normalnie wśród innych. Zapewne spotykamy ich na ulicy, w sklepie czy w urzędzie. Dopiero kilka lat temu założyli osadę i zaczęli się tam centralizować. Z tego, co wiem, jeleniogórski oddział jest drugim pod względem liczebności w Polsce.

– Pracują? Ich dzieci chodzą do szkoły? – Komendant zaciekawiony tematem pochylił się w stronę rozmówców.

- W większości tak - momentalnie odparł Tymon. - Znam jedną dziewczynę, która od nich uciekła. Dużo mi opowiedziała. Przez lata żyli w miastach i funkcjonowali w społeczeństwie. I to się szybko nie zmieni. Mają, co prawda, dużo ograniczeń: nie mogą się bawić, uczestniczyć w urodzinach, imprezach, korzystać z pomocy lekarza czy chodzić na zajęcia pozaszkolne. Kilka razy w tygodniu spotykają się za to w jakimś świętym miejscu, zwanym Salą Królestwa, i studiują Biblię. Wszyscy razem: i starzy, i młodzi, i dzieci. Tylko to mogą robić popołudniami. A! i jeszcze głosić słowo Boże wśród niewiernych.

- Ile czasu można studiować jedną książkę? - Komendant Michalik przewrócił oczami. Lubił czytać, ale gustował raczej w atlasach grzybów czy poradnikach wędkarskich. Choć zapobiegawczo wierzył w Boga, w życiu nie wpadłby na to, by popołudniami czytać Biblię.

- Długo - odpowiedział Hanter. - W każdym razie dziewięć lat temu spłonęła ich świątynia i wtedy powstał pomysł na wybudowanie nowej, razem z całym zapleczem, które teraz urosło do rangi osady. I myślę, że to mógł być początek wszelkiego zła, że tak to ujmę.

- Dlaczego? - Balicka spojrzała na niego uważniej. - Nie to, żebym uznawała sekty za coś pożytecznego, ale nie możemy o każdym jej członku myśleć jak o przestępcy. Statystycznie częściej zabijają osoby niewierzące.

- Racja, ale czy nie sądzisz, że każdy radykalizm jest zły? Ludzie, którzy się tam osiedlali, rezygnowali z pracy w mieście i znajdowali ją w obiekcie. Zabierali dzieci ze szkoły, przenosząc je na nauczanie domowe lub oddając pod skrzydła religijnych nauczycieli w ich wewnętrznej placówce. Przestali być jakkolwiek kontrolowani przez społeczeństwo. Są odrealnieni, podatni na wszelkie sugestie, nie mają możliwości sprawdzenia i zweryfikowania czegokolwiek.

- Rozumiem twój punkt widzenia, ale przecież nie są samowystarczalni. Muszą jeździć po niektóre rzeczy do sklepu czy odwiedzać niewiernych. Bo przecież to chyba oni chodzą po domach i nawracają, prawda? - Nieraz pukały do jej drzwi dwie dziwnie ubrane kobiety, chcące rozmawiać o Bogu. Nigdy nie miała na takie pogaduchy

ani czasu, ani chęci, ale do tej pory nie widziała w tym niczego złego. Niech każdy robi to, na co ma ochotę.

- Tak, to się nazywa, że zbierają owoce. Pukają do drzwi i dyskutują o wierze. Szukają nowych członków. Werbują. Sprawdzają, kto mieszka sam, kto jest sfrustrowany życiem, kto zatracił wiarę w drugiego człowieka. I kiedy go znajdują, atakują. Ale nie tak, jak myślicie. Przychodzą coraz częściej, okazują wsparcie i zainteresowanie. Pomagają w bieżących problemach, zaprzyjaźniają się, pokazując, że mieszkając w społeczności, wiele zyskacie, że już nigdy nie będziecie zdani tylko na samych siebie.

- Nie chce mi się wierzyć, że w dzisiejszych czasach ktoś się na to nabiera - parsknął Michalik.

- A jednak - Zdanowicz przyznał rację Hanterowi. - Sprawdziłem ich w necie i okazuje się, że liczba wiernych lawinowo rośnie, i to na całym świecie. W samym powiecie jeleniogórskim zadeklarowało się około tysiąca wyznawców. A w Polsce ta liczba sięga stu dwudziestu tysięcy.

- Ludzie, mamy XXI wiek, o czym my, kurwa, rozmawiamy! - Michalik pacnął się dłonią w czoło.

- O tym, Arturze, że żyjemy w epoce pędu za pieniędzmi, kiedy ludzie cierpią na samotność. Sekty właśnie to wykorzystują, wybierając nowych członków. Poświęcają czas tym, którzy czują się samotni, którzy chcą przynależeć do grupy wyznającej te same wartości.

- Dobra, co z tym morderstwem, bo przecież nie spotkaliśmy się tu, by głośić słowo Pana - odburknął komendant.

- Według tego, co udało nam się ustalić po twoim wczorajszym telefonie - Jakub spojrział Tymonowi głęboko w oczy - trzy tygodnie temu przypadkowy przechodzień znalazł na poboczu zwłoki piętnastolatki, Igi Dąbrowskiej. Została potrącona przez auto. Sprawą zajmuje się Zagrobny, ale twierdzi, że zmierza do umorzenia z powodu braku jakichkolwiek dowodów. Prawdopodobnie był to wypadek, a sprawca uciekł z miejsca zdarzenia. Dziewczyna została pochowana tydzień temu.

- Mimo wszystko chciałbym dostać pozwolenie na przeniknięcie w strukturę tej sekty. Jak pisałem w notatce, dziewczyna uważała, że

w społeczności giną młode kobiety, i bała się o swoje życie. Nie możemy tego tak zostawić.

– Tymon ma rację – poparła go Olga. – Nie zaszkodzi sprawdzić.

– Zdziwiająco szybko zostałeś oddelegowany do tego zadania z komendy we Wrocławiu, więc i my nie będziemy stawać na przeszkodzie – zaczął swój wywód Michalik. – Osobiście uważam, że to strata czasu i pieniędzy, ale na szczęście to nie nasze zasoby. Gdybyś potrzebował pomocy, możesz liczyć na Balicką i Zdanowicza. Pamiętaj też, że komisarz Zagrobny ma informacje na temat wypadku. Dziś jest nieobecny, ale na pewno udostępni ci akta. Generalnie ze względu na nowe informacje w sprawie to Zagrobny powinien się tym zająć. Nie będę ukrywał, że mam dług wdzięczności wobec twojego komendanta, a jemu bardzo zależy na tym, żebyś na parę tygodni zszedł mu z oczu. – Zrobił dłuższą przerwę, obserwując młodego policjanta. Jednak mina komisarza pozostała niewzruszona, co jeszcze bardziej pobudziło ciekawość Michalika. – Ponieważ jesteś na moim terenie, chciałbym dostawać co tydzień raport. Podejrzewam, że opracowałeś jakiś plan?

– Tak. Stosunkowo prosty. – Tymon Hanter poprawił się na krześle. – Mam zamiar udawać zagubioną owieczkę, turystę szukającego sensu istnienia i potrzebującego wytchnienia. Zrobiłem już rezerwację w Karkonoskiej Osadzie.

– Co może pójść nie tak? – zapytał retorycznie komendant i wstał z krzesła, dając zebrany znak, że spotkanie właśnie dobiegło końca. – Powodzenia.

„Co może pójść nie tak?” – zapytał sam siebie Tymon. „Wszystko”.

Poniedziałek, Karkonoska Osada

Robert Słowiński nie spał dziś od czwartej nad ranem. Najpierw długo nie mógł zasnąć, a kiedy koło pierwszej w końcu mu się udało, sen trwał zaledwie trzy godziny. Przez całą resztę nocy wiercił się na łóżku, budząc swoją żonę, która również miała niespokojny sen. To, że się denerwował, to mało powiedziane, jego to po prostu przerażało. Perspektywa pierwszego dnia na nowym służebnym stanowisku była tak samo ekscytująca, jak i straszna. Czy będzie w stanie sprostać oczekiwaniom? Spojrzał na swoje drżące ręce i potarł dłonią o dłoń, ale niczego to nie zmieniło. Może gdyby zjadł dziś śniadanie, zamiast pić na czczo dwie mocne kawy, jego ciało byłoby spokojniejsze. Ale od rana niczego nie mógł przełknąć. Kanapka zaserwowana na śniadanie przez żonę Anielę, po prostu nie mogła przejść mu przez gardło.

- Witaj, bracie - powiedział najspokojniej, jak umiał, do nieznajomego, który wysiadł dopiero co z auta na parkingu pod murami osady. - Czy mogę ci jakoś pomóc? - Chciał okazać dobroć i wsparcie, bo właśnie tak powinien się zachowywać mężczyzna godny tego stanowiska.

- Dzień dobry. - Twarz Tymona rozświetliła się w udawanym uśmiechu. Już na samo słowo „brat” się wzdrygnął. Nie lubił takich sztucznych sformułowań. Jego jedyny brat mieszkał w Warszawie i na pewno nie był członkiem żadnej sekty. - Ja do osady, na wczasy przyjechałem - wyjaśnił. - Ale nikt nie otwiera. - Wskazał na masywną, żeliwną furtkę przy bramie wjazdowej.

Robert Słowiński spojrzał jeszcze raz na przybysza. Wydał mu się bardziej podobny do gwiazdy rocka niż do zagubionego, pragnącego oświecenia grzesznika. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy, designerskie okulary przeciwsłoneczne, modny zarost z delikatnie siwą brodą po bokach, skórzana, czarna kurtka i jakieś takie wymięte džinsy. W tym samym momencie brama rozsunęła się, a przed mężczyznami ukazał się

ogromny teren usiany drewnianymi domkami. Ośrodek przypominał tradycyjne, wakacyjne siedliska, tak często wybierane przez turystów nad polskim morzem.

– Bracie Robercie... – Kobieta po pięćdziesiątce skinęła głową. – Starsi już na ciebie czekają – poinformowała go.

– Dziękuję, siostró Beato. – Słowiński poczuł nerwowy dreszcz rozchodzący się po ciele. Westchnął i poszedł dalej do małego, elektrycznego wózka golfowego, którym dojeżdżało się do majaczącej w oddali Sali Królestwa, znajdującej się za kolejnym murem.

– Brat Tymon, jak się domyślam? Ja mam na imię Beata, ale tutaj zwykliśmy zwracać się do siebie „siostró” i „bracie”. Jeżeli mogę cię prosić o dostosowanie się do zasad... – Zawiesiła głos, czekając na odpowiedź. Jej spojrzenie było bardzo wymowne i jednoznacznie wskazywało na to, czego wymaga od swojego gościa.

– Oczywiście, siostró. – Komisarz Hanter wszedł w rolę zbłąkanej owieczki. – Chociaż ja jeszcze nie podjąłem decyzji, czy chcę przystąpić do stowarzyszenia. Szczerze mówiąc, odnoszę wrażenie, że wciąż błędzę, i chciałbym odnaleźć sens istnienia. – Zdawało mu się, że gada jak potłuczony, ale ci tutaj zapewne czekali na takie głodne kawałki.

– Labirynt życia potrafi być bardzo zawiły, gdy nie mamy dobrego przewodnika – przyznała. – Ale myślę, że trafiłeś w dobre miejsce. Rozgość się. Pobądź z nami, zadawaj pytania, a my wskażemy ci drogę do odkupienia i pomożemy odkryć twoje przeznaczenie.

„Odkupienia” – parsknął w myślach. – „Każda sekta oparta jest na wyłudzeniu pieniędzy i robieniu ludziom z mózgu sieczki. »Odkupienie« to bardzo trafne słowo w tej sytuacji”.

– Tu będziesz mieszkał. – Wprowadziła go do prostego, drewnianego domku wybudowanego na planie kwadratu. Bez ganka, na którym mógłby rano usiąść i napić się kawy, ani telewizora czy radia.

– A kuchnia? – zdziwił się. – Gdzie jest kuchnia?

– Jest blat i czajnik do zrobienia herbaty – odpowiedziała. – Kuchnia, jadalnia, czytelnia, sala do relaksacji i rozrywki oraz sala dysput znajdują się w budynku A. – Wręczyła mu broszurę z planem osady, a także

harmonogramem zajęć. – A teraz rozpakuj się i rozgość. O osiemnastej mamy występy w sali rozrywki.

– Występy? – zdziwił się. – Myślałem, że będziemy tu raczej medytować i kontemplować ciszę. – Spojrzał na ulotkę, która przedstawiała tańczące w kółeczku dzieci ubrane w pastelowe kolory. „A, to o takie występy chodzi”.

– Boga można wychwalać na wiele sposobów. – Siostra Beata się roześmiała.

– Siostro, ile tu jest domów? – Objął wzrokiem okolice. Nawet on musiał przyznać, że wielkość osady zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Aż chciałoby się powiedzieć boskie.

– Dokładnie czterysta dwadzieścia osiem po tej części osady i trzydzieści po drugiej – odpowiedziała skrupulatnie. – I wciąż powstają nowe. Cały teren liczy dziesięć hektarów. Mamy tu las, park, pola uprawne i osiedle mieszkalne.

– A ta druga część to jakaś wersja delux czy jak? Taki raj dla wybrańców? – zażartował, choć w istocie bardzo go to interesowało. Musiał jak najszybciej zapoznać się z topografią ośrodka.

– Ale z brata dowcipniś. – Pokręciła ze śmiechem głową. – Nic nie wiesz o naszej strukturze i organizacji, prawda?

– Nic a nic – powiedział zgodnie z prawdą, przecząco kręcąc głową.

– Miejsce, w którym się znajdujemy, to Polana Wiernych. – Rozejrzała się z dumą po okolicy. – Mieszkają tu bracia i siostry z naszego zboru, ale także turyści, którzy chcą poznać naszą wiarę i zwyczaje. Jesteśmy bardzo otwartą społecznością i zawsze chętnie gościmy ludzi z zewnątrz, o ile przestrzegają kilku prostych zasad.

– A jaki jest podział? Pół na pół? To znaczy, mam na myśli podział mieszkań dla turystów i stałych lokatorów.

– Sto domków jest letniskowych, ale zazwyczaj około trzydziestu z nich jest zajętych o tej porze roku. W pozostałych mieszkają bracia i siostry ze zboru. No, nie we wszystkich, bo obecnie ponad dwieście jest zasiedlonych.

– A pozostałe sto?

– Czeka na nowych gospodarzy. – Uśmiechnęła się. – Kto wie, może ty będziesz jednym z nich. Coś mi mówi, że znajdziesz tu swoje miejsce. – Zachichotała.

– Kto wie... A te trzydzieści po drugiej stronie? To jest tam, gdzie góruje ten wielki budynek? – Wychylił się, spoglądając na okazałą, strzelistą budowlę za murem.

– Tam mieszkają starsi zboru i kilka razy w roku w tej części osady gości prorok. Raz w tygodniu wszyscy idziemy do Sali Królestwa na zebranie. Dwa razy w tygodniu spotykamy się w budynku A w sali dysput i rozmawiamy o naszej wierze. Wszystkiego się nauczysz z czasem.

– Mogę spacerować po osadzie i rozmawiać z ludźmi? To znaczy, nie chciałbym nikomu zakłócać spokoju, ale skoro to normalni mieszkańcy... – skłamał. Bardzo chętnie zakłóci im spokój. Podczas prowadzonych dotychczas śledztw to od zwykłych ludzi zawsze dowiadywał się najwięcej.

– Oczywiście, ale nie wiem, czy będziesz miał czas. I czy oni będą nim dysponować.

– To znaczy?

– Rozejrzyj się, bracie. – Wskazała dłonią w kierunku, gdzie rozpościerał się przepiękny widok majestatycznych gór. Zdawało mu się, że na szczytach niektórych z nich widzi śnieg. – Widzisz, co oni tam robią pod murem?

– Ogródek przekopują? – Zmrużył oczy, chcąc lepiej dostrzec szczegóły. Do jego uszu dobiegały dźwięki melodii, którą przy pracy nucili mężczyźni. Pamięta aż za dobrze, jak jedna z jego wielkich miłości zmusiła go kiedyś do wspólnego oglądania Przemienięto z wiatrem. Dokładnie z tym filmem skojarzyła mu się osada.

– Tak – przyznała. – A tamci – wskazała w innym kierunku – płot malują. Jeszcze inni będą stawiać nowe domy, uczyć dzieci w naszej szkole czy oporządzać zwierzęta. Nasza osada jest duża i niemal samowystarczalna. Za dnia jest tutaj wiele pracy. A ty możesz się

przylączyć do każdej z nich. Bracia i siostry chętnie cię przyjmą, dadzą zajęcie i wszystkiego nauczą.

- Macie tu wi-fi? - Podniósł wzrok znad swojej komórki, która pokazywała zerowy zasięg.

- Nie. A jeżeli będziesz chciał zadzwonić, to są dwa telefony stacjonarne w budynku A. Twój sprzęt nie będzie tu działał. Nie chcemy, żeby cokolwiek oddalało nas od Boga - wyjaśniła.

- Faktycznie, nie ma tu żadnego zasięgu i dostępu do internetu. Sieć nie działa - stwierdził z ewidentną irytacją.

Siostra Beata tylko uśmiechnęła się na te słowa.

- Dobrego pobytu. Widzimy się o osiemnastej...

- Tak, tak. W budynku A - powtórzył, przedrzeźniając ją, ale jej to nie obeszło. Nie on pierwszy z przybyszy cierpiał na uzależnienie od elektroniki.

Rozejrzał się po swoim lokum. Pomieszczenie liczyło około dwudziestu metrów kwadratowych, na których mieściło się pojedyncze łóżko, stół z czterema krzesłami, szafa i blat kuchenny z czajnikiem bezprzewodowym. Otworzywszy drzwi do łazienki, z ulgą zobaczył, że w przeciwieństwie do wszystkiego innego sedes nie jest drewniany. Wiadomo, że nie przyjechał tu na wakacje i nie potrzebował wygod, ale zaczął się zastanawiać, czy tak samo wyglądają chaty osób, które żyją tu na co dzień. Asceza i minimalizm. Wszystko po to, by nic nie odciągało człowieka od wiary i pracy dla dobra ogółu.

- Nie liczy się jednostka, liczy się społeczność - powiedział sam do siebie, zamykając łazienkę. - To będzie zajebisty pobyt.

W tym samym czasie, Sala Królestwa

Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiesz swoją wyjątkową posługę, bracie – odezwał się zachrypniętym głosem brat Albert, przewodniczący starszyny. Był wysokim, postawnym mężczyzną po sześćdziesiątce. Dzięki swojej długiej, siwej brodzie wyglądał na mądrego i doświadczonego człowieka, a wszyscy czuli przed nim respekt. – To doniosłe i odpowiedzialne zadanie. Nie każdy ma szansę je pełnić.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby nie zawieść naszego Pana. – Robert Słowiński trząsł się z nerwów i zimna, leżąc krzyżem, twarzą do ziemi na lodowatej marmurowej podłodze. Drobne paprochy kleiły mu się do czoła i już miał zaproponować, żeby jego żona przysłała i dokładnie wysprzątała pomieszczenie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że będzie to zbyt duża impertynencja.

– Tego, że wytrzymasz tu krzyżem do rana, jestem wręcz pewien – stwierdził drugi ze starszych. Marcin Zabłocki był łysiejącym, otyłym i niskim człowiekiem. Odczuwał lekką irytację z powodu naiwności nowego sługi pomocniczego, który nie dobiegł jeszcze pięćdziesiątki i dopiero od niedawna należał do starszyny. – Ale czy poradzisz sobie z innymi obowiązkami? – zapytał.

– Stoisz teraz na straży czystości i moralności naszych braci i siostr – wtrącił ostatni ze starszych, Kazimierz Duran. – I będziesz musiał mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Szatan nie śpi. Czeka na chwilę naszej słabości. Wciąż kusi i sprawia, że wierni odwracają się od Pana naszego. Dlatego twoja rola jest tak istotna. Nie tylko będziesz trzymał mikrofon na cotygodniowych zebraniach, co, jak liczę, odbierasz jako wielki zaszczyt, ale i współuczestniczył w wyszukiwaniu tematów do kazań.

Echo ich słów niesło się po Sali Królestwa, nadając im dostojny, niemal boski wymiar, i Robertowi Słowińskiemu chwila ta zdawała się

nierealna.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, szanowni bracia – odpowiedział najbardziej uniżonym tonem, jaki potrafił z siebie wydobyć. Nie wiedział, dlaczego ten rytuał i to miejsce wzbudziły w nim lęk. Bał się zawieść starszych, bał się zawieść Pana, ale nade wszystko bał się, że przez źle wypełnioną posługę on i jego rodzina nie trafią do arkadii, gdy przyjdzie koniec świata. Bo o tym, że apokalipsa nadejdzie już wkrótce, wiedział z całą pewnością.

– A zatem powiedz, o jakim grzechu powinniśmy porozmawiać w nadchodzącą niedzielę. Której zbłąkanej owieczce pomóc wrócić na pastwisko Pana? – zapytał najważniejszy z całej Rady Starszych.

I wtedy Robert Słowiński zrozumiał swoją rolę. Ma być donosicielem. Ma mieć uszy i oczy otwarte i opowiadać starszym o grzechach swoich siostr i braci. Przez chwilę poczuł wewnętrzny bunt, bo jak to tak? Donosić na swoich ludzi? Ale potem się zorientował. Spłynęła na niego mądrość Pana i pojął z całą mocą, że to wszystko dla dobra ich samych. Że roztrząsając na zebraniach grzechy, jakie popełniają, dostaną proste i jasne wskazówki, jak uciec przed Szatanem, jak wrócić na ścieżkę wiodącą ku światłości. Faktycznie jego rola była ważna i odpowiedzialna. Od niego zależało, czy błądzący otrzymają pomoc, czy też pozostaną skazani na podszept demonów.

– No więc? – zirytował się brat Marcin. Poprawił opiętą koszulę, rozchodzącą się między guzikami. Z jego brzucha wydobyło się burczenie i ledwo opanował się przed spojrzeniem na zegarek, by sprawdzić, ile jeszcze minut do obiadu. Tacy marni donosiciele jak Robert Słowiński nie byli warci jego cennego czasu. Jednocześnie wiedział, że nawet najgorszemu osobnikowi musi poświęcić trochę uwagi. Każdy wierny musi zostać wysłuchany, tak zawsze powtarzał mu brat Albert.

Robert myślał intensywnie, ale nikogo nie potrafił wskazać. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. W ustach poczuł suchość, a oddech wyraźnie mu przyspieszył. Jeżeli zaraz nie poda nazwiska starszym, to nie będzie w stanie pomóc żadnej zbłąkanej owieczce, a tym samym nie

będzie godzin tego stanowiska. Co gorsza, brat czy siostra, którzy nie otrzymają pomocy w porę, mogą już nigdy nie wrócić na drogę Pana.

- No, mów! - Warknięcie brata Marcina rozeszło się echem po sali.

- Mój syn! - niemal wykrzyknął, przypominając sobie dzisiejsze ostatnie słowa żony. - Mój syn jest ostatnio smutny, bo Szatan namawia go do wzięcia udziału w Halloween! - Łzy szczęścia i ulgi spłynęły mu po policzkach. Jak dobrze, że przypomniał sobie o tym, co mogło pograżyć ich całą rodzinę. Teraz Miłoszek otrzyma potrzebną mu pomoc.

Dom Olgi Balickiej, Jelenia Góra– Sobieszów

Olga Balicka wróciła z pracy sterana niczym koń po westernie. Jej męża Kornela nie było już od trzech tygodni i wszystkie obowiązki domowe spoczywały na jej barkach. Zgodnie z planem powinien wrócić z pracy z Niemiec za siedem dni i zostać na następne czternaście – ale jej ten układ coraz bardziej nie odpowiadał. Faktem jest, że sama na niego przystała, jednakże tylko dlatego, że czuła, że decyzja i tak już jest podjęta i jeżeli Kornel nie wyjedzie, będzie miał do niej pretensje o utraconą życiową szansę. Wiedziała, że jego zajęcie nie należy do najlżejszych, ale od niej zawód też sporo wymagał. Na Boga! Przecież pracowała w wydziale zabójstw i musiała przy tym ogarnąć cały dom. Pomału zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że kielkuje w niej uczucie, którego nie chciała pielęgnować, mianowicie żal.

– Mamo, mamo, pomożesz mi zrobić zadanie? – Ola podbiegła do niej przejęta. – Nie rozumiem, o co w nim chodzi. Po prostu nie ogarniam tej matmy! – pożałowała się.

Dziewczyna była energiczną nastolatką pełną pasji i życiowej naiwności. Zaczynała wkraczać w ten wiek, który ogólnie uznaje się za trudny, dlatego Olga starała się poświęcać pasierbicy tyle czasu, ile mogła, a nie miała go dużo.

– Ciii... – Olga przyłożyła palec wskazujący do ust. – Mała śpi. A wierz mi, jak na niespełna dwuletnie dziecko dała mi niezły popis w aucie. Mam nadzieję, że wstanie dopiero rano.

– Chciałabyś – skwitowała Ola i szybko tego pożałowała, widząc karzącą minę matki. – To co, pomożesz mi? – wyszeptowała, splatając dłonie w błagalnym geście. – Co na obiad? Strasznie jestem głodna – kontynuowała szeptem.

- Jezu, zupełnie zapomniałam odebrać naleśniki z knajpy! - Olga opadła z bezsilności na oparcie kanapy. Zmartwiła się nie tylko tym, że Ola nie dostanie jedzenia, ale przede wszystkim tym, że teraz ona będzie musiała coś ugotować. „Cholera jasna!” - zakląła w myślach, nie chcąc wzbudzać w dziewczynie poczucia winy. Była na skraju wyczerpania i jeżeli Kornel nadal będzie wyjeżdżał na tak długo, to kiepsko widzi ich przyszłość. - Zaraz ci coś zrobię, ale lekcje będą musiały poczekać, chyba że wolisz na odwrót?

- Umieram z głodu. - Ola pomasowała się po brzuchu. - Wiesz co? Postanowiłam nie jeść słodczy. - Uśmiechnęła się z dumą z powodu podjętej decyzji.

- O, super. A skąd ten pomysł? Chyba nie zamierzasz się odchudzać? Przecież masz świetną figurę, a głodzenie się jest niezdrowe - zmartwiła się. Do wszystkich swoich problemów nie potrzebowała dokładać potencjalnych zaburzeń odżywiania nastolatki.

- Bo te słodczyce ze sklepu są niezdrowe - rzuciła ripostę młoda. - Popatrz! - Zabrała z komody położoną tam wcześniej broszurę. - Zawierają sztuczne barwniki, konserwanty i olej palmowy. Wszystko to samo zło. Ale można robić słodczyce z naturalnych składników u siebie w kuchni. Tylko najpierw muszę iść na taki specjalny kurs, jak to się robi. - Wyszczерzyła zęby.

- Poważnie? - Olga podejrzewała, dokąd prowadzi ta rozmowa. - A ile kosztuje taki kurs? - Spojrzała na pasierbicę spod byka.

- Oj, nic, mamó! - Zaśmiała się dziewczyna. - W ten weekend są darmowe warsztaty robienia lizaków z naturalnego karmelu. Mogę iść? - Ola podskakiwała bezgłośnie na palcach, splatając przy tym ręce jak do modlitwy. - Proszę, proszę! Nawet nie musisz ze mną jechać. Marta powiedziała, że chętnie też się wybierze, bo to w miejscu, o którym opowiadała jej koleżanka, i jest bardzo ciekawa, jak to tam wszystko wygląda.

Olga obejrzała uważnie kolorową ulotkę, która przedstawiała roześmiane dzieciaki wcinające ochoczo wykonane przez siebie łakocie. Oczywiście na obrazku wszyscy byli szczęśliwi i piękni.

– Karkonoska Osada zaprasza wszystkie dzieci na kurs... – Zawiesiła głos i zamarła. Przeczytała jeszcze raz: – Siostry i bracia z osady nauczą cię, jak przyrządzić pyszne smakołyki z owoców i cukru z ekologicznie wyhodowanych buraków cukrowych. Zapraszamy każdego młodego człowieka, który lubi słodkie i chce zadbać o własne zdrowie. Po zajęciach przewidujemy występ artystyczny dzieci z naszej osady.

– Mogę? Będzie super! – Spojrzenie dziewczyny było radosne i pełne nadziei.

– Skąd masz tę ulotkę?

– Ze szkoły. Jedna z dziewczynek rozdawała. Taka Alicja, ona nie mieszka w osadzie, ale chodzi tam co tydzień do kościoła, bo mają tam też kościół, wiesz? W sumie to dlaczego my nigdy nie chodzimy do kościoła? – nagle zadała pytanie, nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaczęła Olga, szukając w myślach argumentów przeciwko tej eskapadzie. Dobrze wiedziała, że odmawianie nastolatkom bez podania racjonalnego uzasadnienia mogło się skończyć buntem na wiele tygodni. A w obecnej sytuacji lepiej do tego nie dopuszczać.

– A niby dlaczego? – Ola stanęła okoniem. – Ty i tak nigdy nie masz dla mnie czasu, taty ciągle nie ma, a ja siedzę do późna na komórce i tablecie. Tam podobno nie wolno wносить sprzętu i działa coś takiego jak świetlica środowiskowa. Dwa razy w tygodniu dzieci z zewnątrz mogą przychodzić za darmo na różne zajęcia, takie jak ten kurs kulinarny. No, proszę cię...

W pokoju rozbrzmiał płacz młodszej córki i Oldze opadły ręce z wycieńczenia. Właściwie to zastanawiała się, czy też nie zacząć płakać, ale ostatkiem sił udało się jej powstrzymać łzy.

– Wiesz co... – Uśmiechnęła się, udając, że jest przekonana. – Fajnie to brzmi. Pojedziemy tam razem i jak chcesz, weźmiemy też Martę – powiedziała, podnosząc wrzeszczące dziecko z turystycznego łóżeczka w salonie.

– Super, mamo, jesteś najlepsza! – Dziewczyna uściskała ją z całych sił.

„Noż kurwa jebana mać!” – siarczyście zakłęta w myślach. Nie dość, że jest fizycznie i emocjonalnie wyczerpana, to jeszcze jakaś pieprzona sekta

chce wciągnąć w swoje macki jej dziecko. Pomimo że Aleksandra nie była jej biologiczną córką, Olga traktowała ją jak własną i nigdy nie pozwoliłaby jej skrzywdzić. W tej właśnie chwili powzięła dwa postanowienia. Po pierwsze, zrobi wszystko, żeby sprawdzić, czy członkowie stowarzyszenia Dzieci Dnia Apokalipsy są niebezpieczni, a po drugie, poważnie porozmawia z Kornelem, bo dłużej tak żyć nie może. Nie chce!

Wtorek, Karkonoska Osada

Tymon nie mógł wysiedzieć na miejscu. Minał dopiero jeden dzień, odkąd zjawił się w osadzie, a już miał serdecznie dosyć tego gówna. Nie, żeby bracia i siostry byli do niego wrogo nastawieni. Przeciwnie. Kiedy wczorajszego popołudnia podszedł do mężczyzn pracujących przy naprawie ogrodzenia, ci z radością go przywitali, dali narzędzia i pokazali, co robić. Sytuacja powtórzyła się, kiedy dołączył do kolejnej grupy – stawiającej rusztowanie pod nowy dom. I właśnie to doprowadzało go do szału. Nikt tam nie narzekał, nie skarżył się, nie opowiadał niczego złego o sekcje. Z ich ust wydobywały się same superlatywy.

- Bracie – powiedział na oko czterdziestoletni, umięśniony mężczyzna, o dobrodusznym wyrazie twarzy – ja tu siebie odnalazłem. Dopiero tutaj czuję, że żyję. W poprzednim życiu pędziłem za pieniądzem. Kierowałem grupą przedstawicieli wciskającą ludziom karty kredytowe. Tabele, kejpiaje, raporty, targety, nic, tylko ciągły stres i nerwy. Niezadowolenie dyrekcji, nawet kiedy osiągałiliśmy założone cele, bo przecież można jeszcze więcej i lepiej. Swoją frustrację wyładowywałem na najbliższych. Rodzinę przez to straciłem, żona mnie zostawiła, do innego poszła i dzieci ze sobą zabrała. Dopiero kiedy stoczyłem się na dno: straciłem pozycję, pieniądze, rodzinę, zdecydowałem się na przyjazd tutaj i odkryłem, że wszyscy wokół tylko mnie wykorzystywali. Świat za bramą to system, stworzony, by wycisnąć z człowieka tyle, ile się da, i wyrzucić go potem na zbity pysk. A tak naprawdę to ile sam człowiek potrzebuje do szczęścia? Poślanie, jedzenie i dach nad głową. Trochę pracy, by nie myślał o głupotach, i ludzi, którzy go rozumieją i dzielą z nim życie. Ale ja głupi byłem i tylko goniłem ciągle za sukcesem i awansem. Dopiero tutaj to zrozumiałem. Widzę, że ty jeszcze nie odnalazłeś siebie. To wymaga czasu i odwagi, ja wiem. Jedni potrzebują go

więcej, inni mniej. Wal śmiało, gdybyś szukał wsparcia. Wszyscy jesteśmy tu dla ciebie.

- Dziękuję - odpowiedział grzecznie, choć przez chwilę miał ochotę wdać się z nim w polemikę.

Każda rozmowa wyglądała podobnie. Nie dość, że czuł się jak w jakimś cholernym matriksie, gdzie wszyscy dla odmiany są radośni i szczęśliwi, to jeszcze nie dowiedział się absolutnie niczego o śmierci Igi Dąbrowskiej. Nie chciał pytać wprost, żeby nie wzbudzać podejrzeń, myślał, że tak świeża i okrutna sprawa zabójstwa młodej dziewczyny będzie szeroko komentowana w zborze. Ale się przeliczył. Ci, z którymi dyskutował, albo nic o niej nie wiedzieli, albo celowo nabrali wody w usta. Będzie dziś musiał włożyć kij w mrowisko na spotkaniu w sali dysput. Może tam ludzie okażą się bardziej skorzy do prawdziwej wymiany zdań, zamiast wciskać mu ciągle wyuczone, banalne formułki.

Postanowił wrócić do domu i wykąpać się przed zebraniem. Całe popołudnie pracował fizycznie na dworze. Był zmęczony i spocony i pachniał ogniskiem z liści, których pełno tego dnia rozpalono na terenie osady. Z niechęcią musiał przyznać, że to miejsce miało swój urok i mogło przekonać do siebie niejedną zagubioną duszę. Stał przed drzwiami swojego domku i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że w środku ktoś jest. Zaczął się zastanawiać, czy starsi w zborze odkryli, po co przyjechał, i wysłali kogoś, by przeszukał jego rzeczy. Mógłby, co prawda, wejść, zaskoczyć intruza i wprost zażądać wyjaśnień, ale wolał najpierw wy badać sytuację. Instynktownie napiął mięśnie, plecami przylgnął do budynku i po cichu, stąpając na palcach, przeszedł wzdłuż drewnianej elewacji do najbliższego okna. Zajrzał ostrożnie. W pokoju zobaczył postać o szczupłej sylwetce. Na początku nie był w stanie odgadnąć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Pochylała się nisko, zaglądając pod stół, jakby czegoś szukała. Potem wstała i zaczęła przeszukiwać szafę, i wtedy ją rozpoznał. Ona też na niego spojrzała, podniosła do ust palec wskazujący i skinieniem głowy zaprosiła go do domu. Był zmieszany, ale posłuchał. Wiedział, że prosi o milczenie, więc milczał. Dopiero kiedy wyciągnęła

spod łóżka mały, czarny kwadracik z wystającą antenką, zrozumiał, o co jej chodziło.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – wykrzyknął, kiedy wyszli poza dom na bezpieczną odległość.

– Głośniej, kurwa, to może będziemy mieli szczęście i już dziś oboje dostaniemy wilczy bilet.

Opanował się, choć wiele go to kosztowało. Poszli na spacer nad zalew. Miejsce tak zalesione, że z perspektywy osiedla nikt nie mógł ich tam razem zobaczyć. Chyba że też był na przechadzce.

– Aśka, do cholery, miałaś siedzieć w domu i czekać na to, co uda mi się ustalić – wypalił, kiedy już uznał, że może sobie pozwolić na bezceremonialną wymianę zdań. Aż kipiał ze złości i musiał użyć całej swojej silnej woli, żeby nie wygarnąć dziewczynie.

– To tak mi dziękujesz za pokazanie, gdzie w chacie masz ukryty podsłuch? Faceci od zawsze byli przeświadczeni o swojej wielkości i potrzebie rządzenia kobietami – wrzasnęła. – Wszyscy jesteście tacy sami.

– Co ty wygadujesz?! Ustaliliśmy plan. Jeżeli coś mi obiecujesz, to powinnaś dotrzymać słowa, to samo działa też w drugą stronę. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym postąpić inaczej, niż się umówiliśmy.

– W takim razie masz kiepską wyobraźnię. Współczuję. A tak z czystej ciekawości – stanęła i szturchnęła go w klatkę piersiową – to co za różnica, czy będę tu, czy tam? – Zrobiła zadziorną minę i nie chciała odpuścić.

– Byłbym po prostu spokojniejszy, wiedząc, że jesteś bezpieczna. Tutaj, gdyby coś się wydarzyło, czułbym się za ciebie odpowiedzialny.

– Błagam cię! – Chwyciła się za głowę. – Dwa razy w życiu się bzyknęliśmy, nie musisz czuć się za mnie odpowiedzialny. – Lubiła mówić rzeczy wprost. Pozwalało to uniknąć głupich domysłów. Wolą być szczerą do bólu, niż ranić niedopowiedzeniami.

– No, *sorry*, tak już mam. A poza tym jestem gliną i zawsze czuję się odpowiedzialny za cywili wplątanych w sprawę.

- Ciekawe... Facet z zasadami, jakiś cholerny wybryk natury – dokończyła na tyle cicho, żeby nie mógł tego usłyszeć.

- Co mówisz?

- Nic. – Udawała bardziej obrażoną, niż była.

- Jak ci się udało wrócić? Nie jesteś wyklęta?

- Wykluczona. – Spojrzała na niego z politowaniem.

- Semantyka...

- Boże, Hanter, jak ty nic nie rozumiesz. Byłam wykluczona, ale każdy wykluczony ma prawo wrócić do zboru. To takie nawrócenie. Przyjechałam w niedzielę, dzień przed tobą. Kajałam się przed Radą Starszych. Mówiłam, że tęsknię za rodziną i że zrozumiałam swój błąd. Nie wiem, czy mi uwierzyli. Na razie pozwolili mi zamieszkać w osadzie do rozstrzygnięcia tej sprawy. Myślę, że wolą mieć mnie na oku, ale dałam z siebie wszystko, przekonując ich, że moje nawrócenie jest prawdziwe. Nawet się popłakałam.

- I uwierzyli? Trochę mnie dziwi, że takie to proste. Niczego nie podejrzewają?

- Nie wiem i mam to w dupie. Najważniejsze, że mogę tu być i prowadzić własne dochodzenie.

- Od takich spraw jest policja – upomniał ją.

- Tak? To czego się do tej pory dowiedziałeś?

„Trafiony zatopiony” – pomyślał. Nie umiał tego wyjaśnić, ale ta dziewczyna działała mu na nerwy.

- Nie mogę ujawniać szczegółów – skłamał i obrócił się na pięcie. Jak ona go wnerwiała!

- Słuchaj, albo będziemy współpracowali i mówili sobie o wszystkim, albo ja też nie będę mogła ci nic powiedzieć. – Stanęła przed nim twarzą w twarz i pogroziła palcem.

- A wiesz już coś? – Intrygowała go. Czyżby coś wypatrzyła? Szła jak burza, nie oglądając się za siebie. Ale zastanawiało go, jaki jest prawdziwy cel jej zaangażowania. Troska o rodzinę to piękny frazes, ale po prostu dała im znać, żeby uważali. Nawet jeżeli oni nie rozmawiali z nią, to ona

mogła komunikować się z nimi. A Igi nie znała prawie wcale. Czy warto narażać życie dla kogoś nieznanego?

W zaroślach nieopodal usłyszeli dźwięk łamanych gałęzi. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy i wiedzieli, że ktoś ewidentnie się do nich zbliżał.

– Nie powinni nas tu samych zobaczyć. Kontakty z mężczyznami są w zborze surowo zakazane. Zawsze musi być ktoś jeszcze w takiej sytuacji, coś jakby przyzwoitka, rozumiesz? – W jej oczach dostrzegł autentyczny strach i po chwili już jej przy nim nie było.

Nikt jednak nie wyłonił się zza krzaków. Tymon zaczął się zastanawiać, czy grasowało tam zwierzę, czy faktycznie ktoś ich podsłuchiwał.

Sala dysput, Karkonoska Osada

W sali dysput usiadł sam, przy stoliku pod oknem. Zrobił to specjalnie. Musiał pokazać, że wcale nie życzy sobie rozmowy z wiernymi. Chciał, żeby bracia i siostry ze zboru sami się nim zainteresowali i do niego podeszli. By nawrócili zbłąkaną owieczkę. Wiedział, że nie zostawią go długo w samotności, a wtedy podrzuci temat do rozważenia. Niby przypadkiem i bez ochoty na żadne dywagacje.

– Jesteś smutny, bracie. – Starszy, wysoki mężczyzna z siwą brodą podszedł do niego pierwszy. Mógł być po sześćdziesiątce i jeżeli Tymon miał takiego farta, na jakiego liczył, to przybysz nie okaże się turystą. Jego beżowy, lniany garnitur świadczył o przynależności do sekty.

– Zgadłeś. – Spojrzał mu prosto w jasnoniebieskie oczy, szukając porozumienia. Były zimne, przenikliwe i inteligentne. Wiedział, że nie ma do czynienia z pierwszym lepszym. – Zastanawiam się nad sensem życia i śmierci – rozpoczął.

– Ooo, głębokie i trudne rozważania. Nie wiem, czy powinieneś zostać z nimi sam... – Mężczyzna się zamyślił. Wyglądało na to, że prowadzi z Hanterem tę samą grę. Niby nie zamierzał się narzucać, ale tylko czekał na zaproszenie, by móc uderzyć.

– Czy chciałbyś mi towarzyszyć? Jestem ciekaw twojej opinii w tej sprawie.

– Jeżeli tylko dam radę – odpowiedział filozoficznie. – Co cię dokładnie gnębi?

– Widzisz... – Tymon zawahał się. Przypomniawszy sobie podłożony w jego domku podsłuch i podejrzewał, że prędzej czy później go sprawdzą. Lepiej, żeby mówił tyle prawdy ile się da. – W życiu za ogrodzeniem osady jestem policjantem. Widziałem wiele bezsensownych śmierci. Zabójstw, wypadków czy targnięć na własne życie. I pytam się Boga: dlaczego daje nam życie, jeżeli zaraz potem je odbiera? Dlaczego zrzuca na bliskich

take cierpienie? – Zrobił krótką przerwę, by sprawdzić reakcję mężczyzny, ale on milczał, wnikliwie go obserwując. Chyba musiał przetrawić usłyszane właśnie informacje. Być może oceniał ryzyko goszczenia tu stróża prawa. A może faktycznie zastanawiał się nad odpowiedzią. – Zanim tu przyszedłem, byłem świadkiem wypadku drogowego – mówił dalej i wtedy zauważył drobną zmianę. Niewielki, ledwie zauważalny grymas na twarzy mężczyzny. Właśnie się przekonał, że ten człowiek coś wie. Nie mógł teraz przegiąć, by go nie wystraszyć. – Mała, pięcioletnia dziewczynka zginęła na moich oczach. Pas bezpieczeństwa przeciął jej tętnicę szyjną, kiedy auto zderzyło się z nadjeżdżającą ciężarówką. Konała, trzymając mnie za rękę, rozpaczliwie szukając wzrokiem rodziców, którzy już nie żyli.

Mężczyzna wzdrygnął się i Hanter pomyślał, że historia o wypadku była zbyt oczywista, za bardzo przywołująca obrazy potrąconej przez samochód Igi, że jego rozmówca za chwilę wstanie i poprosi go o opuszczenie osady. Jednak człowiek z brodą połknął haczyk.

– Rozumiem cię doskonale. Każdy z nas miał kiedyś wątpliwości. A ty z racji zawodu widziałeś więcej zła od innych, przeciętnych osób. Ale myślę, że to nie Bóg zsyła to zło na świat, tylko Szatan.

– Bracie Albercie! – Zziębnięty młody człowiek podbiegł do ich stolika z rozwichrzonymi włosami. – Czy mogę cię prosić? To pilna, bardzo ważna sprawa. – Chłopak jękał się i miotał, jakby mówił do kogoś bardzo ważnego. Po czym spojrzał na zaciekawionego Tymona i resztę przekazu pokazał za pomocą gestów. Hanter domyślił się, że musi to być język migowy, którego niestety nie znał.

– Wybacz, bracie! – Brodacz zerwał się z krzesła. – Obiecuję ci, że wrócimy do tej rozmowy. – Po czym wybiegł z sali.

– Ja też mam wątpliwości – młoda dziewczyna ubrana w beżową, długą suknię odezwała się do niego od najbliższego stolika. Wyglądała na szesnastolatkę i początkowo Hanter chciał ją spławić, i sprawdzić, gdzie pobiegli ci dwaj, ale sąsiadka niespodziewanie przysiadła się do niego.

– Przepraszam, że podsłuchiwałam... – Zarumieniła się. – Ale rozumiem cię doskonale, bo sama niedawno straciłam w wypadku

przyjaciółkę, Igę. – W jej oczach zakręciły się łzy, a Tymon wiedział już, że ta rozmowa może wiele wyjaśnić.

Budynek B, Karkonoska Osada

Nie był już młodzieniaszkiem, więc pokonanie biegiem trasy do budynku B, mieszczącego się na tyłach Sali Królestwa, zajęło mu dobrą chwilę. Sapał przy tym i męczył się, jakby przeszedł ostatnio zawał albo przynajmniej miał wieńcówkę, co wzbudziło w nim niesmak do własnej osoby. Nie lubił myśleć o sobie w ten sposób. W swoim mniemaniu nadal był wysportowanym i pełnym wigoru czterdziestolatkiem, ale rzeczywistość już od pewnego czasu dawała mu dowody na to, że się myli. Sześćdziesiątka na karku, zero kondycji i coraz częściej pojawiające się pytanie, jak długo da radę jeszcze tym wszystkim kierować. Kiedy przyjdzie dzień, w którym prorok odsunie go na boczny tor i zastąpi kimś innym. W jego świadomości ten moment będzie jego największą porażką.

Dobiegł do budynku B i stanął jak wryty. Na białej fasadzie znajdował się wykonany sprayem fluorescencyjny, czerwony napis: MORDERCY IGI. Brat Albert przelknął ślinę i rozejrzał się wokół podenerwowany. Nie dlatego, że chciał wyszukać wzrokiem tego, kto odważył się to zrobić, ale towarzyszyła mu myśl, by nikt z wiernych i turystów nie zauważył tego anonsu. Chociaż było mało prawdopodobne, aby ktoś dostał się do osady bez jego wiedzy.

- Natychmiast to zamaluj - rzucił polecenie młodemu chłopakowi.

- Tak, bracie - odparł z przejęciem i pobiegł do szopy, w której trzymano materiały budowlane.

- Już dawno mówiłem ci, żebyśmy zamontowali kamery. - Znajomy głos doszedł go z lewej strony.

- Marcin? - Mężczyzna zmrużył oczy, nie mogąc rozpoznać postaci w ciemności. - Nie miałeś czasem wyjechać dziś w nocy?

- Postanowiłem zostać. - Podeszedł do niego najmłodszy z trójcy. - Myślisz, że to ktoś z naszych?

– Kto by śmiał? – wykrzyknął Albert. Nie mieściło mu się w głowie, że którykolwiek z wiernych miał czelność zrobić coś tak potwornego.

– Więc kto? – Potarł dłonią siwą brodę.

– Czemu nie wchodzicie? – Zza uchylonych drzwi wyłoniła się postać trzeciego ze starszych – Kazimierza. – W środku jest jeszcze gorzej.

Porozwalane meble, porozrzucane dokumenty, wyłamany zamek to tylko niektóre z rzeczy, jakie zobaczyli. Ale ich uwagę najbardziej przykuła beżowa plama na podłodze, po chwili przybierająca kobiecą postać.

– Siostra Joanna? – Albert stanął zdziwiony, widząc kłęczącą na ziemi kobietę.

Powoli podniosła na niego wzrok. Jej włosy rozwichrzone były na wszystkie strony, oczy zdawały się pełne łez, a policzek zmienił kolor na purpurowy i nabrzmiewał po silnym uderzeniu.

– Bóg jest sprawiedliwy – powiedziała drżącym głosem.

– A Jego sprawiedliwość dosięgnie i nas – odpowiedział dobrze znaną powitalną formułkę. – Co tu się wydarzyło?

– Oddelegowałem siostrę Joannę do sprzątania budynku – rozpoczął wyjaśnienia brat Marcin. – Robiłem dziś nowy grafik dla sióstr czyszcicielek.

– Tak – przyznała. – Tak było. I kiedy weszłam tutaj posprzątać, zamknęłam drzwi od środka, żeby nie kusić Szatana. Chwilę później usłyszałam, jak ktoś się włamuje. Jakiś mężczyzna wszedł do budynku, grzebał w dokumentach, jakby czegoś szukał, a kiedy mnie zobaczył, zaczął gonić i w końcu dopadł. Krzyczałam tak głośno, że chyba wystraszył się, że wszyscy się zlecą, i po chwili po prostu uciekł, a ja pognałam do najbliższego domu, czyli do brata Kazimierza, i wszystko mu opowiedziałam. – Skończywszy opowieść, ponownie spuściła głowę. Dobrze wiedziała, że takie są zasady. Nie była godna patrzeć im w oczy. Kobieta nigdy nie jest równa mężczyźnie, a zwłaszcza takiemu należącaemu do trójcy starszych.

– Jak on wyglądał? – zapytał z przejęciem brat Albert.

Ale Aśka nie umiała odpowiedzieć.

– Czy przypadkiem nie był to wysoki blondyn o niebieskich oczach? Szczupły, z tatuażem na palcach dłoni? – zapytał Marcin. – Któż inny mógłby zrobić coś takiego? – zwrócił się do przełożonego.

– Tak, bracie – przyznała Joanna, wciąż patrząc w podłogę. – Tak właśnie wyglądał. Teraz sobie przypominam. Ale jestem w takim szoku, że nic więcej nie pamiętam. To wszystko działo się tak szybko.

Albert Mleczek milczał przez chwilę. Musiał się zastanowić, co począć z tą informacją. Znał napastnika i wiedział, że jeżeli posunął się tak daleko, to nie odpuści. Od dawna mieli z tym chłopakiem problemy i choć Albert naiwnie sądził, że teraz się skończą, to zdał sobie właśnie sprawę, że po raz kolejny się mylił. Będzie musiał spokojnie przemyśleć sytuację i to, jak powinien teraz postąpić.

– Dobrze, idź do swojego domu. Doprowadź się do porządku, wypij – zarządził. – I nikomu o niczym nie mów. To bezwzględnie zakazane, rozumiesz? – Podszedł do niej i spojrzał surowym wzrokiem.

Dziewczyna przytaknęła, wstała z klęczek i powolnym krokiem udała się do wyjścia.

– Siostro? – Oschły, donośny głos zatrzymał ją w pół kroku. Brat Albert wahał się przez chwilę, czy zapytać ją o to. Ale przecież musiał, przecież to ważne, przecież nie będzie tu trzymał rozpustnicy.

Joanna obróciła się, ale nadal nie podnosiła wzroku.

– Czy do czegoś doszło? – zadał to pytanie powoli i z wyczuwalną nutą obrzydzenia. – W sensie, czy coś cię z tym mężczyzną połączyło fizycznie? – doprecyzował. Zmrużył oczy. Jego wzrok stał się przenikliwy, uważny... Być może nawet groźny.

– Nie – skłamała już po raz drugi podczas tej rozmowy. Nie miała wyjścia. Wiedziała, że inaczej wyklucziliby ją ponownie, a wtedy straci szansę, by ustalić, co stało się z Igą.

– Co z tym zrobimy? – Kazimierz zwrócił się do przewodniczącego, kiedy kobieta odeszła. Był najspokojniejszym, najbardziej opanowanym i jakby to określił brat Marcin, najbardziej nijakim ze starszyny. Jego twarz rzadko kiedy coś zdradzała, a on sam nawet nie starał się udawać

jakichkolwiek emocji. Uchodził za to za solidnego, który zawsze zrobi to, co do niego należy.

- Muszę pomyśleć - odparł przewodniczący starszyny i bez dodatkowych wyjaśnień powolnym krokiem udał się do swojego domu.

- Mówiłem, żeby zamontować tu kamery, mówiłem już dawno. - Zarozumiały ton głosu brata Marcina wypełniał całą przestrzeń pomieszczenia.

- Doskonale wiesz, że to nie jest dobry pomysł - zganił go Kazimierz.

- Bo? - odburknął z udawaną urazą.

- Bo te kamery nie tylko mogą zarejestrować, co ktoś robi nam, ale też co my robimy komuś...

Marcin Zabłocki to rozumiał. I tak naprawdę wcale kamer nie chciał. Ale ciągle rzucanie takich projektów umieszczało go na końcu listy podejrzanych, cokolwiek by się w osadzie wydarzyło...

Środa, druga w nocy, dom Joanny, Karkonoska Osada

Joanna długo nie mogła zasnąć. Kiedy wróciła do domu, czuła się zbrukana, brudna, sponiewierana. Każdy może ją przelecieć, a jej życie jest nic niewarte. Właściwie nie było to nowe uczucie. Towarzyszyło jej na co dzień podczas kilku ostatnich lat spędzonych w sekcje. Ponad godzinę stała pod prysznicem, starając się zmyć z siebie smród jego spoconego cielska, szukając ukojenia od bólu po uderzeniu i zapomnienia od pogardy dla samej siebie. Bo przecież na to przystała, pozwoliła mu się dotknąć. Nie oponowała, nie odepchnęła go i nie krzyczała. To wszystko jej wina. Zdziwiająca, jak szybko umysł powraca do starych schematów myślenia. Bardzo przeżywała to, co ją dzisiaj spotkało, a gdy przypomniła sobie, jak on położył jej dłoń na swoim nabrzmiewającym członku – nie wytrzymała, musiała zwymiotować.

– Jestem silna, dam radę... – powtarzała raz po raz. – Nic mnie nie może złamać. Nic! Wróciłam tu z własnej woli i z własnej woli odejść, kiedy uznam to za stosowne – przekonywała siebie. – Ci mężczyźni nie mają już na mnie takiego wpływu jak kiedyś. – Ale czy była to prawda?

Po prysznicu ledwo zdołała doczołgać się do łóżka. Wiedziała, że musi zasnąć, żeby nabrać sił na kolejny dzień. Zasnęła w mgnieniu oka, ale sen nie przyniósł ukojenia. Śniła jej się Iga. Zapłakana, pobita, w podartym i brudnym od błota ubraniu. Z rozczochranymi włosami i z oczami, w których odbijał się tak wielki smutek, że patrząc na nią, poczuła klucie w sercu. Wokół niej unosiła się gęsta mgła, szeleściły liście, ciemność wylaniała się z każdego zakamarka. Aśka poczuła, że nie może oddychać, jakby jakaś niewidzialna ręka ścisnęła ją za gardło, zgniatała klatkę piersiową i szeptała zupełnie niezrozumiałe słowa, które przyniosły jeszcze większy strach.

– Pomóż mi! – krzyczała do niej z zaświatów Iga. – On mnie zabije...

Zgrzyt zamka w drzwiach wybudził ją ze snu. Instynktownie spięła wszystkie mięśnie i nasłuchiwała. Należałoby zacząć uciekać, schować się pod łóżko albo chwycić za pierwszą lepszą rzecz i walnąć w głowę tego, kto zaraz wejdzie, ale sparaliżował ją strach. Nie była też pewna, czy to, co słyszy, jest faktycznie tym, co rozpoznaje jej umysł. A jeżeli on przyszedł dokończyć swoje dzieło? Po jej ciele przeszedł zimny dreszcz. Jeżeli tak jest, to czy powinna mu na to pozwolić? Sprzeciw będzie oznaczał wyrzucenie jej z osady, a wtedy straci możliwość odkrycia prawdy i spotkania z rodzicami. Poczula, że znów robi się jej niedobrze. Nagle czyjaś dłoń zakryła jej usta, a ciało zostało całkowicie obezwładnione przez drugą rękę napastnika, nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Atakujący nie był brutalny, ale działał pewnie i zdecydowanie. Instynktownie zacisnęła powieki, a kiedy je otworzyła, zobaczyła Tymona. Strach zamienił się w złość i już miała na niego nawrzeszczyć, kiedy przypomniała sobie o podsłuchu. Bezszelestnie wstała z łóżka, narzuciła na siebie długi, czarny szlafrok i wyszła za nim na dwór.

– Zwariowałaś? Wiesz, jak się wystraszyłam? – wyszeptwała, chociaż w miejscu, do którego dotarli pod osłoną nocy, nie musieli już mówić cicho. Tutaj nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Przepraszam – powiedział pospiesznie. – Musimy się jakoś umówić, żeby nie robić takich akcji. Na przykład ustalmy spotkanie w co drugą noc tutaj, koło jeziora o godzinie drugiej albo... – Umilkł, kiedy w świetle księżyca zobaczył jej zaczerwieniony policzek. – Co ci się stało? – zapytał z powagą. – Tylko nie wciskaj mi kitu, że upadłaś na klamkę od drzwi. Za długo pracuję w policji.

– Może faktycznie za długo, skoro wszędzie węszysz przestępstwo – próbowała udawać rozbawioną, ale kiepsko jej szło. Do tej pory uważała się za dobrą aktorkę, ale kiedy do głosu dochodziły emocje, trudno było je ukryć. Mimo to nie chciała się poddać.

– Jeżeli zaraz nie powiesz mi, co się stało, odeślę cię do domu szybciej, niż zdążysz wypowiedzieć Tymon Hanter.

– Tymon Hanter. – Podeszła do niego blisko, rzucając mu wyzwanie. Nie mogła wyznać mu prawdy. Bez wątplenia od razu kazałby jej wracać

do Wrocławia, a nawet wystosowałyby prośbę o policyjny dozór, byle tylko nie narażać jej na niebezpieczeństwo. Nie znali się dobrze, ale na pewno właśnie tak by postąpił.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią, zamyślony, a może po prostu nie wiedział, jak postąpić. Była inna od wszystkich poznanych dotychczas kobiet. Taka buntownicza z wyboru, co to zawsze idzie pod prąd, nawet jeżeli czuje, że sama sobie tym szkodzi.

– I co? Nic nie dodasz? – Głos jej zadrżał i ku swojemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że chciałaby się do niego przytulić. Schować w jego ramionach i poczuć bezpiecznie, ale wpadła we własne sidła i znowu udaje samowystarczalną i nieustraszoną, i jedyne, co mogła w tej sytuacji zrobić, to odsunąć się od niego.

– Dlaczego ze mną walczysz? – zapytał w końcu. – Przecież gramy do jednej bramki.

– Taką mam już zrypaną naturę – odparła. – A ten siniak, choć cholernie boli, to nic takiego. Koleżanka niechcący uderzyła mnie łokciem, kiedy się schylałam. Nie ma o czym gadać.

– No, dobrze. – Zdawał się jej wierzyć i odpuścił.

– Dlaczego wyrwałeś mnie z łóżka w środku nocy? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak myślę. – Usiadł na pniu drzewa i pociągnął ją za sobą. – Poznałem Klaudię, najlepszą koleżankę Igi. Dużo mi opowiedziała.

– To znaczy? – ponagliła go.

– Podobno Iga przeprowadziła się do osady razem z rodzicami jakieś trzy lata temu, ale nie czuła się tu dobrze.

– Dziwisz się? – parsknęła. – Nastolatka, dojrzewająca, młoda kobieta zamknięta wśród tych... – nie dokończyła. Wolała ograniczyć liczbę wulgarnych epitetów rzuconych jednego dnia pod adresem tych ludzi, ale nie znajdowała żadnego cenzuralnego słowa.

– Asia, posłuchaj – przerwał jej i złapał za dłoń. Poczul, że się wzdrygnęła, ale jej nie puścił. – Nie wiem, czy jest sens kontynuować to śledztwo... – Spojrzał na nią łagodnie.

– Co? – oburzyła się i chciała wstać, ale ją przytrzymał. Zdziwiła się, że jest taki stanowczy.

– Siadaj, do cholery. Jesteś dorosła i musisz przyjąć prawdę taką, jaka ona jest, a nie gonić za wyobrażeniami – podniósł głos.

– A jaka jest według ciebie ta prawda?

– Nie według mnie. Wszyscy to wiedzieli – Iga była chora. Miała schizofrenię. A życie w osadzie jej nie pomagało. Klaudia mówi, że często uciekała w swój wymagowany świat. Niektórzy wprost twierdzili, że to nie wyobrażnia, a urojenia i halucynacje. Słyszała głosy, widziała postacie, które nie istniały, i wierzyła we wszystkie teorie spiskowe, o jakich usłyszała za murem. Zwłaszcza te dotyczące sekt – wyjaśnił.

– Przestań... – Kręciła przecząco głową. – Ja ją widziałam, rozmawiałam z nią. Nic jej nie było. – Nie mogła w to uwierzyć. – To nie może być prawda. Ty nic nie rozumiesz, oni z każdej osoby, która chce odejść, zrobią wariata. – Wezbrały w niej emocje, których nie mogła opanować. Poczula pod powiekami gromadzące się łzy.

– Aśka! – Potrząsnął nią, po czym przytulił mocno. – Uspokój się. Czasem tak się dzieje, że rzeczywistość okazuje się inna, niż nam się wydawało. Wiem, że chciałaś jej pomóc. Wróciły stare wspomnienia, dużo skrywanych emocji i ciężko jest ci się pogodzić z prawdą, ale nie masz wyjścia. – Trzymał ją mocno, nawet wtedy, gdy przestała się wrywać, a zaczęła płakać. – Policjanci sądzą, że to był wypadek. Potrącenie ze skutkiem śmiertelnym i ucieczka z miejsca zdarzenia. Po prostu. Kierowca nawet się nie zatrzymał. Nie ma żadnych śladów hamowania. Najpewniej był pijany lub naćpany, być może nawet nie zauważył, że potrącił człowieka.

– Ty nie wiesz, jaka jest prawda... – wyszeptała mu w sweter, zaciskając pięści w bolesnym uścisku. – Ty nie wiesz...

– Posłuchaj. – Spojrzał jej w oczy i otarł spływające po policzku łzy. – Obiecuję ci, że to sprawdzę. Zdobyłem informację, do jakiego lekarza chodziła za murem. Boże, zaczynam gadać jak oni – stwierdził z niesmakiem. – Obiecuję ci, że do niego pojedę i wypytam o wszystko, ale ty też mi coś obiecaj, słyszysz?

Nie odpowiedziała. Patrzyła w ziemię i zdawała się być zupełnie w innym świecie.

- Obiecay mi coś. - Lekko nią potrząsał.

- Co? - wrzasnęła w końcu, nie kontrolując przyływu gniewu na cały popieprzony świat.

- Jeżeli potwierdzi się ta wersja, to odpuszczisz. Okej? - Wziął ją za podbródek i uniósł tak, żeby na niego spojrzała.

- Okej - powiedziała po cichu. Jej odpowiedź i tak niczego by nie zmieniła. Tymon niczego nie rozumiał i nigdy nie zrozumie. Nie dorastał w sekcie, nie wie, jak one działają i co potrafią zrobić z człowiekiem. Nigdy tego nie zrozumie. - Jestem zmęczona - dodała z rezygnacją. - Chcę iść do siebie i położyć się spać.

- W takim razie wracajmy. Gdybyśmy nie mieli jak zamienić ze sobą słowa przez następne dni, to widzimy się tutaj pojutrze o drugiej w nocy. Tak? - upewnił się.

- Tak. - W tym momencie zgodziłaby się na wszystko, byle tylko uzyskać spokój i pójść się położyć. Wiedziała, że została z tym sama i potrzebowała zregenerować siły do dalszej walki.

Środa, poranek, dom Tymona, Karkonoska Osada

Nie zasnął. Choć bardzo się starał zapaść w sen, by zregenerować ciało i umysł, to właśnie umysł nie pozwolił mu odpocząć. Podczas nocnej rozmowy z Aśką nie zdradził jej wszystkich zebranych informacji. Nie chciał jej nakręcać, dopóki nie dowie się prawdy. Klaudia, w przeciwieństwie do pozostałych mieszkańców osady, nie starała się niczego przed nim ukrywać. Miał nawet wrażenie, że chce opowiedzieć mu wszystko, by zrzucić z siebie nękające ją wątpliwości. Być może, po prostu potrzebowała się wygadać, a może słyszała, że jest policjantem, i zobaczyła w nim nadzieję na rozwikłanie wszystkich nurtujących ją pytań? Czy Iga faktycznie była chora i wymyślała sobie te historie? Czy w zborze żyje potwór dybiący na życie niewinnych dziewcząt? Ale nie to najbardziej gnębiło Tymona. Nie to nie pozwalało mu zmrużyć oka tej nocy. Klaudia powiedziała mu jeszcze coś. Do osady wróciła niedawno wykluczona dziewczyna. Ponoć wszyscy wierni o tym mówią, ale tylko między sobą. W tajemnice sekty nie włącza się żadnego nowo przybyłego turysty. Tymon jednak wiedział, że chodzi o Aśkę.

– Martwię się – wyznała mu wczorajszego wieczoru Klaudia.

– Czym? – Przysunął się bliżej, bo ściszyła głos.

– To nie jest zwykła wykluczona – powiedziała stanowczo. Do tej pory zachowywała się w rozmowie dosyć swobodnie, ale teraz czuła się nieswojo, mówiąc mu o tym. Nie powinno się przecież nikogo obgadywać.

– To znaczy?

– Nie wiem, bracie, czy powinnam ci o tym wszystkim opowiadać... – Zamyśliła się, a jej ciało przyjęło nagle pozycję zamkniętą i nieufną.

– Boisz się, że grozi jej niebezpieczeństwo? – zapytał bez ogródek. Nie chciał, by przydarzyło jej się to samo co Idze.

- Joannie? - zdziwiła się dziewczyna i dopiero po chwili zauważyła, że nieświadomie zdradziła imię przybyłej. - Raczej nam - dodała pospiesznie i z lekkim oburzeniem.

- Nie rozumiem. - Tymon mocno skupił się teraz na jej słowach. Jednak nie miał pojęcia, co oznaczają.

- Nie powinnam źle mówić o żadnej kobiecie. Ja wiem, że to grzech, ale ona nie jest dobrą siostrą. - Jej mina wyrażała prawdziwy niesmak.

- Co masz na myśli? - Zmrużył oczy, a na jego czole pojawiło się kilka głębszych zmarszczek.

- Ona... - Policzki dziewczyny nagle zarumieniły się, ale twarz nadal wyrażała dezaprobatę. - No, jak by to powiedzieć... - Zrobiła krótką przerwę, by się skoncentrować. - Ona została stąd wyrzucona, nie odeszła sama.

- Wyrzucona? Ale za co? Mów śmiało, nikomu nie powiem - obiecał.

- W jej duszy mieszka Szatan. Kusił ciałem każdego brata, który się do niej zbliżył - wyszeptała z trwogą, jakby grzech rozwiązłości przez samo wspomnienie o nim mógł się szerzyć wśród innych, a nawet przenieść na nią. - Rozumiesz, bracie? Jesteś mężczyzną zza muru, na pewno rozumiesz.

- Chcesz powiedzieć, że wdawała się w liczne romanse? - Tymon zamyślił się. W sumie nie była to żadna szokująca informacja. Doskonale pamiętał, w jakich okolicznościach poznał Joannę, ale oskarżenie wypowiedziane przez siostrę ze zboru rzucało na opowieść o wykluczeniu nieco inne światło.

- Tak. I nie miała w tym umiaru. Poza tym lubiła łamać zasady. Wyśmiewała nasze wartości i prawa boskie. Była chwiejna emocjonalnie i niepokorna. Może nawet szalona. Zaczynała ni stąd, ni zowąd się śmiać albo tańczyć, albo nagle krzyczeć. Ja byłam jeszcze wtedy dzieckiem, ale historie o niej krążą w naszym zborze do dziś, a może należałoby powiedzieć - zwłaszcza dziś, bo przecież ona wróciła.

- Ale czego się obawiasz w związku z tym? - Tymon nie rozumiał, przecież nawet jeżeli to prawda, to gdzie tu zagrożenie?

- Ona sprowadzi nas na złą drogę. Znow będzie się puszczać i zachwieje wiarą naszej wspólnoty. Ta kobieta jest zepsuta do szpiku kości - wysyczała przez zaciśnięte zęby, a na jej twarzy pojawiła się wcześniej skrywana nienawiść. - Dobre siostry umierają, a złe przychodzą na ich miejsce, to nie jest sprawiedliwe, bracie... I Bóg nas za to ukarze...

Leżąc rano w łóżku, Tymon roztrząsał, czy bardziej martwiła go zaciekłość, z jaką Klaudia, a być może i pozostali w zborze opowiadali o Aśce, czy sam fakt tego, czego się o niej dowiedział. Nie znał jej dobrze, a właściwie nie znał jej wcale. Może miała jakiś ukryty cel, by tutaj wrócić. Może nie poznali się przez przypadek. Może omamiła go łzawą historyjką biednej, wykluczonej dziewczyny i złej sekty. Może to wszystko nieprawda? Co on właściwie o niej wiedział? Nic, poza tym, że robiła wszystko, na co miała ochotę, i nie oglądała się na innych. Nie trzymała się ustalonych wytycznych i faktycznie była rozwiązła, choć według niego to akurat żadna wada. Nie chciał jej opowiadać o tym, co usłyszał od Klaudii. Postanowił przyjrzeć jej się bliżej, podpytać, co sądzą na jej temat inni, bo być może to całe śledztwo ma zupełnie inne podłoże, niż początkowo sądził.

Sen przyszedł dopiero, kiedy na dworze zrobiło się całkiem jasno, a Tymon starał się wyrzesać z siebie resztki sił, by podnieść się z łóżka. Nie wyrzesał. Przymknął na chwilę oczy i odpłynął w niebyt. Dopiero głośne pukanie do drzwi sprawiło, że odzyskał świadomość.

- Bracie Tymonie, jesteś tam? - Dojrzały męski głos docierał do jego uszu niczym z zaświatów.

Tymon podniósł się na przedramieniu i przetarł zaspane oczy. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, spojrzał na zegarek na przegubie ręki. Zdziwił się, że było już po dwunastej.

- Idę! - krzyknął w kierunku, z którego dochodziło pukanie. - Już idę. - Powłóczył nogami w stronę wejścia, ziewając.

Przekręcił klucz w drzwiach i wpuścił do środka mężczyznę stojącego w progu.

- Brat Albert? Stało się coś? - Puls mu przyspieszył, bo od razu wyobraził sobie najgorsze.

- Można tak powiedzieć. - Starszy mężczyzna z brodą usiadł bez zaproszenia na krzesło, przy drewnianym stole. - Musimy porozmawiać. - Ton jego głosu zdawał się poważny i zmartwiony. Ale w ciele aż buzowało od emocji.

Hanter przełknął po cichu ślinę. Był pewien, że zostanie wyproszony z osady. Być może brat Albert dowiedział się, o czym rozmawiał wczoraj z Klaudią, i nie spodobało mu się jego wścibstwo.

- Potrzebuję twojej pomocy - zaczął, przykuwając uwagę Tymona. - Nie obraż się, ale kazałem cię sprawdzić - wypalił bez ogródek.

- To znaczy? - Tymona zdziwiła ta bezpardonowość i, cokolwiek by mówić, ciekaw był dalszego obrotu spraw.

- To znaczy, że nie byłem przekonany co do celowości twojego pobytu tutaj i zadzwoniłem w parę miejsc. Z poprzedniego życia pozostało mi kilka lojalnych znajomości. - Machnął ręką, nie chcąc dokładniej wyjaśnić.

Tymon zaśmiał się i usiadł naprzeciw niego. Granie w półotwarte karty zdało mu się nagle ciekawą zabawą.

- I co? - starał się nie gadać za dużo. Najpierw chciał wy badać, czego dowiedział się mężczyzna. Grał według zasady: pozwól mówić przeciwnikowi, niech zdradzi, ile wie, a potem polemizuj.

- I wychodzi na to, że niezły z ciebie gagatek.

- Nie rozumiem. - Przekrzywił głowę i spojrzał uważniej na towarzysza. Czego ten człowiek mógł się dokopać?

- Hm... Ujmę to tak. Hanter, czyli po polsku łowczy, myśliwy. - Cmoknął przez zaciśnięte zęby. - Ponoć zapowiadałeś się na całkiem dobrego łowcę zbrodni, zanim twoja natura łowcy niewiast cię nie opanowała. - Nie wypowiedział tych słów z naganą ani z podziwem. Po prostu stwierdził fakt.

- Okej - przyznał Tymon. - Nie będę się wybielał - rzucił tylko.

- Romans z córką komendanta całkowicie przekreślił twoje szanse na awans i ponoć na jakiś czas zastopował twoją karierę.

- Nie wiedziałem, że była jego córką - odparł na swoje usprawiedliwienie. W myślach gratulując sobie i swoim kolegom z komendy, że rybka chwyciła haczyk. Zanim wyjechał, informatycy stworzyli mu całkiem niezłą historię w aktach personalnych. Może i nieco bazowali na realnych wydarzeniach, no dobrze, może nawet bardzo, nie zmienia to faktu, że brat Albert dał się nabrać.

- Mniejsza o to. - Machnął ręką, jakby faktycznie nie było to najważniejsze. - Wiem, że wypadek, o którym mi wczoraj opowiedziałeś, faktycznie się zdarzył, i że zastanawiałeś się od jakiegoś czasu, czy odejść z policji.

Zaskoczył go, bo autentycznie tak się stało, choć wzmianki o wypadku akurat nie ujęli w spreparowanej teczce. Brat Albert musiał mieć dobre wtyki na komendzie. Tymon zaczął się zastanawiać, kim był ten człowiek, zanim został wybrany na przywódcę sekty. Tacy ludzie nie biorą się znikąd i każdy ma swoją przeszłość.

- Przez pewien czas bałem się, że jesteś tu z niewłaściwych pobudek - oznajmił bez owijania w bawełnę.

- To znaczy?

- Że jesteśmy twoją sprawą do rozpracowania.

Tymon milczał.

- A tymczasem... - podjął znów temat gość. - Tak, tymczasem muszę cię prosić, żebyśmy faktycznie się nią stali.

- Nie rozumiem. - Hanter zmrużył oczy w akcie zaciekawienia.

- Widzisz, niedawno wydarzyła się za murem tragedia. Jedna z naszych sióstr, piętnastoletnia Iga Dąbrowska, została potrącona przez auto i zginęła.

- Tak, słyszałem o tym od ludzi ze zboru. - Wolał nie udawać zaskoczonego.

- Nie wątpię... Wczoraj, kiedy przerwano nam rozmowę, nastąpiło coś, co wstrząsnęło nami wszystkimi. Ktoś napadł na jedną z naszych sióstr,

kiedy sprzątała biura w budynku B, i oblał farbą fasadę Sali Królestwa. Myślę, że to nie przypadek. I zaczynam bać się o swoich ludzi. Nie od dziś jesteśmy szkalowani, wyzywani od sekciarzy składających w ofierze niemowlęta albo produkujących w osadzie dzieci przeznaczone do wywiezienia do zachodnich burdeli – żachnął się. – Zdarzało się, że pluto na nas, kiedy głosiliśmy słowo Boże w miejscach publicznych, czy przecinano opony w naszych autach, kiedy stały na parkingu przy supermarkecie, ale nigdy nie podejrzewałem, że sprawy mogą przybrać tak niebezpieczny obrót. Do tej pory uważałem też, że potrącenie Igi to był wypadek, a sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia. Modliliśmy się, by miał odwagę przyznać się i zgłosić na policję. Ale teraz zaczynam podejrzewać, że to celowe działanie, a łotr nie zamierza poprzestać na jednej zbrodni – zakończył.

– Podejrzewasz konkretną osobę? – Tymon przetwarzał w myślach usłyszane informacje. Czyżby brat Albert faktycznie miał rację? Zaczął się też zastanawiać, czy napadniętą kobietą nie była Aśka. Wczorajszej nocy dostrzegł dużego siniaka na jej policzku, a takie zbiegi okoliczności raczej się nie zdarzają. Tylko czy zachowałyby to w tajemnicy? Nie powiedziałyby mu?

– Przypuszczam, kto mógł to zrobić. – Brat Albert przybrał zmartwioną minę. – Jest jeden chłopak, właściwie mężczyzna. Ma dwadzieścia lat i mieszka za murem. Nie należy do naszej wspólnoty. Ale czasem spotykał się z Igą, kiedy wychodziła na miasto zbierać owoce. Poznali się właśnie w ten sposób. Ona zapukała do jego mieszkania i zaczęli rozmawiać o wierze. Oczywiście, Iga nie była wtedy sama, ale podejrzewaliśmy, że chłopak wywarł na nią tak wielki wpływ, że zdarzało jej się do niego uciekać. Myślę, że się zakochali w sobie, tylko że on nie wiedział o jej chorobie.

– Chorobie? – Tymon udawał, że o niczym nie wie.

– Tak. Iga cierpiała na schizofrenię. Miewała urojenia i omamy. Jej umysł kreował historie, jakich nie wymyśliłby najplodniejszy scenarzysta. Czasem słyszała głosy, które ją obrażają, widziała potwory goniące za nią z siekierą. Miała wrażenie, że ciągle jest podglądana i podsłuchiwana, że

ktos przejmując nad nią władzę, że wie, co zamierza zrobić i co myśli. To straszna choroba. Ale zakładam, że ten chłopak, Jacek Szulin, mógł sądzić, że ona boi się kogoś z nas. Rozumiesz, bracie? Że boi się mieszkać w osadzie. Zakochał się w niej i chciał ją stąd zabrać, ale Iga miała zaledwie piętnaście lat i jej rodzice nie mogli się zgodzić na to, by odeszła. A Jacek nie mógł się z tym pogodzić. Groził nam, wyzywał, chciał zabrać ją siłą. Oceniliśmy, że jest zdolny do wszystkiego, bo zachowywał się, jakby stracił głowę, jakby oszalał z miłości. W końcu Iga powiedziała mu, że nie chce z nim być, że postanowiła zostać w osadzie, i kilka dni później była martwa.

– Zgłosiliście to na policję? To bardzo ważne informacje. – Tymon zmarszczył brwi, zastanawiając się, czemu nie usłyszał tych rewelacji od przyjaciółki Igi. Ale zaraz wytłumaczył sobie, że pewnie Iga uznała ją za zbyt pruderyjną i utrzymała to w tajemnicy, bojąc się, żeby na nią nie doniosła.

– Policjant prowadzący sprawę od razu wywnioskował, że to wypadek, a sprawca zbiegł. Co dziwne, na miejscu zdarzenia nie było żadnych śladów. Nie znam się na kryminalistyce, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Dziewczyna zostaje potrącona i nie ma żadnych śladów zdarzenia? Niby jak to możliwe?

– Twierdzisz, że policja specjalnie chce umorzyć śledztwo? Ale jaki miałyby w tym cel?

– Nie wiem, co myśleć. – Pokręcił z rezygnacją głową. – Chciałem wierzyć, że było tak, jak mówili, ale kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłem pobitą siostrę Joannę na tyłach Sali Królestwa, zrozumiałem, że te sprawy muszą się łączyć, tym bardziej że opis sprawcy całkowicie pasuje do Jacka Szulina.

– Jak wygląda ten człowiek? – Tymon chwycił leżącą na stole kartkę papieru i ołówek i zaczął zapisywać dane, starając się opanować nerwy. Właśnie dostał potwierdzenie, że Aśka znowu go okłamała.

– Szczupły blondyn, około sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, niebieskie oczy. – Brat Albert przymknął powieki, by lepiej go sobie zwizualizować.

– Jakieś znaki szczególne?

– Tatuż na palcach dłoni.

– Jaki tatuż?

– Na każdym palcu znajduje się po jednej literze: w, o, l, n, y. Całość tworzy wyraz „wolny”.

– Wolny? – zdziwił się Hanter. – Czy on też był kiedyś członkiem... – Zawahał się. Chciał użyć słowa „sekty”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. – Wspólnoty?

– Nie, ale najwyraźniej właśnie wolność ceni sobie najbardziej na świecie – odparł brat Albert.

– Wiesz, bracie, że jestem na razie zawieszony w policji i nie będę w stanie działać normalnie. – Trzymał się ustalonej wersji. – Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz.

– Jest mi znany twój zawodowy status – przyznał mężczyzna. – Ale proszę cię, żebyś nam pomógł. Stań się prawdziwym hanterem i wytrop tego, kto robi krzywdę naszym kobietom.

– Dobrze, ale będę potrzebował od ciebie jeszcze kilku informacji. – Tymon wyprostował się na krześle. Z jednej strony, poczuł ulgę. Będzie teraz mógł prowadzić śledztwo jawnie, bez ukrywania się, ale z drugiej, wszystko zaczęło się komplikować. W sprawie pojawiła się nowa postać, która od razu wskoczyła na półkę z napisem „Podejrzani”. Tymon nie wiedział, komu z osady może ufać, a kto z nim pogrywa. Poza tym z tyłu głowy wybrzmiewały mu słowa brata Alberta: „Jest mi znany twój zawodowy status...” i za sprawą tego zdania towarzyszyło mu przecucie graniczące z pewnością, że starszy miał kiedyś wiele wspólnego z policją, a Tymon jeszcze nie potrafił określić, czy w tej sytuacji to dobra, czy zła wiadomość.

Ten sam dzień, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Odgłos rzucanych na biurko akt wytrącił ją z zamyślenia.

– Matko kochana, Artur, zwariowałeś?! – Wykrzywiła się i spojrzała na stojącego nad nią komendanta. – A poza tym co mi tu dajesz? Uważasz, że mam niewystarczająco dużo swojej roboty?

– Zagrobny wypada z obiegu na kilka tygodni, każde z was przejmie po jednym jego śledztwie – oznajmił i dokładnie ją zlustrował. – Słuchaj, nie chcę być niemiły, ale wyglądasz jak trup, co się dzieje? – Usiadł po przeciwnej stronie, czekając na wyjaśnienie.

– Dzięki, wiedziałam, że mogę liczyć na twoją subtelność. – Wzięła do ręki beżowy neser i zajrzała do środka. – A co z Zagrobny? Czemu wypada?

– Sprawy prywatne, nie wnikamy – powiedział krótko.

– Kurwa! Jesteśmy zarobieni, brakuje nam rąk do pracy, a ty mi tu pieprzysz o sprawach prywatnych. Myślisz, że ja ich nie mam? Że nie chciałabym odpocząć i skoncentrować się na sobie, oddać wszystkie prowadzone przeze mnie postępowania innym? Poza tym co za sprawy może mieć człowiek, którego dzieci są już dawno dorosłe, a kredyty pospłacane? – wylewała z siebie resztki skrywanej ostatnimi dniami frustracji. Miała szczęście, że komendant ją lubił, może nawet martwił się o nią i pozwolił na takie zachowanie.

– U jego żony zdiagnozowano raka trzustki, długo nie pociągnie, chcesz się zamienić? – wypalił bez ogródek, kiedy skończyła, choć uświadamiał sobie, że może to być zbyt dosadne przedstawienie. Ostatnio faktycznie martwił się o Olkę. Nie wyglądała dobrze i była przemęczona, ale sądził, że tylko praca i trzymanie jej w ryzach sprawią, że Olga nie załamie się całkiem.

– Przepraszam... – Zaszklily jej się oczy. – Ja nie... A zresztą, o czym tu gadać. Jestem prawdziwą kretynką.

– Daj spokój, wszyscy mamy czasem dosyć. – Machnął ręką.

– Sprawa Igi Dąbrowskiej? – zdziwiła się, zaglądając do teczki. – Czy nie zamierzaliśmy jej zamykać z powodu braku dowodów? Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten młokos z Wrocławia faktycznie coś znalazł? – zaciekała się.

– Na razie nic mi na ten temat nie wiadomo, ale pojawił się nowy świadek. – Podniósł znacząco brew, z nadzieją, że Olga poczuje dobrze znany dreszcz emocji, który pojawia się w momencie przełomu w śledztwie.

– Tak nagle? Niby dlaczego?

– Sama ocenisz, czy jego zeznania są coś warte. Masz tam wszystkie jego dane. Jedź go przesłuchać – wydał stanowcze polecenie.

– Okej. Jutro wybieram się do osady. Jeżeli faktycznie coś odkryjemy, postaram się przekazać to Tymonowi.

– Tylko uważaj na niego – rzucił, chcąc zażartować dla rozładowania napięcia.

– Bo? – Nie zrozumiała.

– Bo to pies na baby – powiedział. – Ponoć żadnej nie przepuści. – Zaśmiał się głośno i wyszedł z pokoju.

Godzinę później Olga podjechała na stację benzynową zlokalizowaną przy drodze w kierunku Szklarskiej Poręby. To tam umówiła się z rzekomym świadkiem potrącenia Igi. Przez telefon wydawał jej się prostym, podenerwowanym człowiekiem, zmartwionym całą sytuacją. Kiedy go zobaczyła, stał przy oknie, trzymając w dłoniach termos i małymi łykami sączył lekko parujący napój. „Zapewne kawę” – pomyślała, bo właśnie na nią miała teraz największą ochotę. Nie wyglądał na oszusta, kłamcę ani na kogoś żadnego ściągania na siebie uwagi. Faktycznie sprawiał wrażenie przejętego swymi spostrzeżeniami, był starszy, ubrany w zgniłozielony

kombinezon i czapkę z daszkiem tego samego koloru. „Myśliwy...” – stwierdziła Olga.

– Dzień dobry, komisarz Olga Balicka. – Wyciągnęła do niego dłoń, choć w myślach zastanawiała się, czy powinna w ten sposób się przywitać. Jej stosunek do polowania na zwierzynę nie był do końca uregulowany. Ogólnie rzecz biorąc, nie deklarowała się jako zwolenniczka zabijania zwierząt i uważała, że w lasach jest niebezpiecznie również dla ludzi, kiedy płaczą się tam myśliwi, ale z drugiej strony jadła mięso i nie chciała wyjść na hipokrytkę.

– Zdzisław Leśnik. – Człowiek z czerwoną, przeoraną zmarszczkami twarzą uściśnął jej dłoń.

Usiedli przy stoliku pod oknem.

– Panie Zdzisławie, zacznijmy od tego, że zadzwonił pan na komendę dziś rano, a postępowanie w sprawie zdarzenia, które miało miejsce trzy tygodnie temu, prowadzimy od momentu odnalezienia zwłok dziewczyny. Doznał pan wcześniej jakiejś pomroczości jasnej czy o co chodzi? – Baczenie obserwowała jego mowę ciała.

Na pierwszy rzut oka wydawał się niegroźnym mężczyzną koło sześćdziesiątki, który lubi czasem dać w palnik na polowaniu.

– Ja... To jest, byłem u dzieci w Anglii – wyjaśnił nieco enigmatycznie.

– To może od początku, co pan widział i dlaczego uważa pan, że to może mieć związek z potrąceniem dziewczyny – pomogła mu zacząć.

– No, to wydarzyło się właśnie jakieś trzy tygodnie temu. Siedziałem w lesie już trzeci dzień i... no, wie pani, zimno już było, to pani rozumie...

– Pił pan? – zapytała bez ogródek.

– Tylko żeby się ogrzać – rzucił pospiesznie. – Każdy myśliwy ma przy sobie piersiówkę. Przydaje się czasem, żeby odkazić ranę czy coś... – Zawiesił głos, obawiając się, że zrobił z siebie pijaka.

– Okej, wypił pan trochę i co dalej?

– Noc była ciemna, a ja żadnego zwierzęcia nie upolowałem. Właściwie przez trzy noce nic nie upolowałem i się trochę zdenerwowałem – opowiadał, popijając kawę. – No, wkurwiłem się,

mówiąc jaśniej, i zszedłem z wieży. Musiałem rozprostować nogi. Ani się obejrzałem, jak kilometr wzdłuż lasu przeszedłem. Tam, wie pani, jest takie pogranicze lasu i łąki, a bardziej na lewo biegnie droga, taka szutrowa. I nagle słyszę jakieś wycie, a potem huk. Zacząłem biec i kiedy wyłoniłem się zza zakrętu, zobaczyłem światła auta i człowieka ładującego zwierzę do bagażnika. Pomyślałem, że to cholerna niesprawiedliwość. Ja tyle nocy przesiedziałem na ambonie i nic, a taki jeden, co to nawet myśliwym nie jest, przypadkiem potrąca sarnę i o! Szczęście głupiego. Zawróciłem i poszedłem spać. A następnego dnia poleciałem do syna i synowej do Londynu. Dawno już mi bilet lotniczy kupili. Wie pani, rzadko się widujemy, myślałem, że im trochę dziczyzny przywiozę, a tylko z polską wódką musiałem udać się w gościnę.

– No dobrze, ale skąd pomyśl, że to jednak nie sarna? – dopytywała zniecierpliwiona pani komisarz.

– Bo jak kilka dni temu wróciłem i siedziałem znowu nocami w lesie, to mi chłopcy z koła łowieckiego powiedzieli, że jakaś młoda dziewczyna została rozjechana i nie żyje, i że to było jakoś wtedy, co ja to zdarzenie widziałem.

– Pamięta pan, jakie to było auto?

– Ciemno było, a reflektory w oczy mi prosto świeciły, ale jak odjeżdżał, to mi się zdawało, że chyba takie stare jakieś i srebrne. Mercedes chyba, taki kwadratowy, co dawno je produkowano.

– Sedan, SUV, jeep? Czy jakiś dostawczak?

– Nie, normalne, takie osobowe.

– A czemu stare?

– Bo takie kształty miało jak stary mercedes, ale gwiazdy nie widziałem. Chyba urwana była. Teraz to te auta takie opływowe robią. Te nowe inaczej wyglądają.

– A tego człowieka, co chował sarnę, pan widział? Rozpoznałby go pan?

– A gdzie tam. Ciemna postać, jedynie kontury widoczne.

– Wysoki, niski? Chudy czy gruby?

- Normalny taki, raczej szczupły. Ale nic więcej nie wiem. Tam, przy wałach to żadnego oświetlenia przecież nie ma, bo to są tereny łowieckie, tam ogólnie słaba widoczność.

- Przy wałach? - Spojrzała na niego zagadkowo. Nie ten punkt widniał w papierach jako miejsce zdarzenia. Ale, o dziwo, właśnie ta informacja zaciekała ją najbardziej.

- No, a gdzie by indziej?

- Dobrze, a zawiezie mnie pan dokładnie w to miejsce?

- Mogę zawieźć, czemu by nie...

Osiedle Zimowe, Jelenia Góra

Tymon Hanter podjechał pod adres wstukany w aplikację Mapy Google. Ulica Zimowa, przy której stało około trzydziestu jednakowych domów jednorodzinnych, zdawała się całkiem malownicza, nawet jesienią. Budynki wykonano w przytulnym, górskim stylu, z naturalnych materiałów, wśród których dominowało drewno, kamień i szkło. Każdą nieruchomość otaczał ogród, którego granice wyznaczały wysokie tuje.

– Dzień dobry! – mężczyzna o silnym głosie przywitał go, kiedy tylko policjant zatrzasnął drzwi auta. Tymon przyjrzał się gospodarzowi stojącemu w progu przeszklonej sieni i machającemu w jego kierunku. Wysoki, otyły, łysiejący, tak po pięćdziesiątce. Ubrany w beżowy sweter o grubym splocie i niebieskie dżinsy. Na pierwszy rzut oka zdawał się być zupełnie niegroźny i nieskłonny do świadomego kłamstwa. Ale z tym nigdy nie wiadomo. Pozory mogą czasem mylić.

– Dzień dobry, nazywam się Tymon Hanter. – Podał rękę gospodarzowi. – To ja dzwoniłem.

– Robert Gawryło, lekarz psychiatrii. Zapraszam do środka. Jestem po rozmowie z rodzicami Igi i wiem, że prowadzi pan śledztwo w sprawie jej śmierci. Pomogę, jak tylko będę umiał – zapewnił.

– To dobrze, bo już się bałem, że będzie pana obowiązywała jakaś tajemnica spowiedzi czy coś – zażartował dla wprowadzenia luźnego charakteru rozmowy.

– Spokojnie. – Mężczyzna zdawał się rozumieć ten specyficzny humor. – Wszystkim nam zależy na odkryciu prawdy – dodał, sapiąc, bo właśnie weszli na pierwsze piętro i zasiedli w fotelach w gabinecie lekarskim.

Przytulny pokój tonął w beżach. Zasłony w kratę, puszysty dywan na podłodze, na ścianach dyplomy oprawione w ramki. Wszystko razem

sprawiło, że człowiek mógł poczuć się jak w domu. Komfortowo i bezpiecznie.

– Przyjmuje pan tu pacjentów? – zagaił Tymon.

– Czasami tak, ale mam też gabinet w centrum miasta i tam bywam częściej – wyjaśnił spokojnie lekarz.

– Przejdźmy do sedna, jeżeli możemy – zaproponował komisarz. – Czy to prawda, że Iga Dąbrowska cierpiała na schizofrenię?

– Niestety tak – przyznał psychiatra. – Pierwsze objawy halucynacji pojawiły się u niej już w wieku sześciu lat. Widziała wtedy wchodzące na nią kotki albo papugi latające po pokoju. Oczywiście, wszystko to było wytworem jej wyobraźni. Często słyszała głosy, które budziły ją w nocy i kazały robić różne rzeczy. Taka dziecięca schizofrenia nie zdarza się często, ale niestety dotyka część dzieci i nie jest w pełni uleczalna.

– Jakie rzeczy robiła Iga? – Temat tej choroby wydał mu się nagle niezwykle ciekawy.

– Z początku niegroźne. – Lekarz wzruszył ramionami. – Na przykład schodziła na dół do kuchni i układała rzeczy w lodówce w kolejności alfabetycznej. Ale z czasem urojenia i halucynacje stały się uciążliwe i niebezpieczne, a nawet zagrażające życiu.

– Co ma pan na myśli?

– Ostatnie kilka razy, gdy ją widziałem, opowiadała, że odwiedza ją jakiś potwór. Że ma przecucie, że ten potwór zabija dziewczęta i że chce zrobić jej krzywdę.

– Nie pomyślał pan, że to może być prawdziwa postać?

– Szczerze mówiąc, nie. Iga była chora od wczesnego dzieciństwa. Jej choroba występowała w poszczególnych fazach. Bywały tygodnie, że dziewczyna zachowywała się całkiem normalnie, jej afekt, relacje z innymi oraz uczucia były stabilne, a zachowanie nie odbiegało od powszechnie przyjętych norm, ale kiedy miała ataki, tak zwane ostre epizody schizofrenii, wtedy jej zachowanie całkowicie się zmieniało. Stawała się inna, nieufna, podejrzliwa. Odczuwała lęk uogólniony i napadowy, była pobudzona i reagowała nieadekwatnie do sytuacji. Podczas tej fazy, potocznie rzecz ujmując, wygadywała różne niestworzone historie.

Czasem sama orientowała się, że widziane obrazy czy słyszane głosy po prostu nie istnieją. Ale zdarzało się, że upierała się, że są realne. Jeżeli ktoś żyje z takim chorym, to wie, jak reagować i czego się spodziewać, ale jeżeli bliska osoba nie ma pojęcia o tym, że to choroba, to może się faktycznie bardzo przestraszyć i uwierzyć we wszystko, co mówi chory.

– Jak na przykład w to, że w osadzie grasuje potwór, który zabija młode dziewczęta?

– Na przykład. – Psychiatra westchnął i podrapał się po łysinie.

– Czy uważa pan, że to, czego bała się Iga, faktycznie stanowiło jedynie wytwór jej umysłu?

– Myślę, że tak – odpowiedział lekarz. – Leczyłem ją przez wiele lat i zawsze po takich atakach schizofrenii następowała remisja, podczas której twierdziła, że czuje się w rodzinie i w miejscu zamieszkania dobrze i bezpiecznie. Powiem panu, że ta historia z potworem nie była pierwszą stworzoną przez jej chory umysł. Już jako małe dziecko miała urojenia dotyczące tego, że ktoś chce ją otruć. Kazała rodzicom zjadać zawsze najpierw połowę tego, co znajdowało się na jej talerzu. Dopiero wtedy jadła sama.

– Hm... – Tymon zamyślił się na chwilę. – Ale wie pan, że dziewczyna została śmiertelnie potrącona, a być może zamordowana z premedytacją?

Lekarz westchnął wyraźnie przybity. Przez moment Tymonowi wydawało się, że rozmówca nie jest już teraz taki pewny.

– Wiem, że nie żyje, i bardzo mi z tego powodu przykro. Nic mi nie wiadomo natomiast o morderstwie z premedytacją. To była naprawdę dobra dziewczyna, choć nie do końca pasująca do świata, w którym żyła. Ale to nie znaczy, że ktoś z Dzieci Dnia Apokalipsy chciał się jej pozbyć.

– Nie powiedziałem, że to ktoś z nich. – Tymon zaczął sobie uświadamiać, że niewiele wyciągnie od lekarza. Przynajmniej jeżeli chodzi o jego opinię czy domysły w tej sprawie.

– Bała się kogoś konkretnego? – rzucił, czekając na opowieść o mężczyźnie z tatuażem na dłoni. Jeżeli i doktor uraczy go tą historią, to będzie wiedział, że współpracuje z bratem Albertem w większej mierze, niż powinien, albo że faktycznie ten człowiek jej zagrażał. Pytanie było

następujące: czy Iga na tyle ufała doktorowi, żeby zwierzać mu się ze wszystkiego?

– Nie opowiadała mi nigdy o strachu przed realnymi ludźmi – odparł. – Przez ostatnie kilka miesięcy nasiliły się urojenia i omamy dotyczące potwora, który słyszy więcej od innych. Podobno znał jej myśli i wiedział, co chce powiedzieć i zrobić. Zaczynała go widywać. Twierdziła, że zmienia twarz, chodzi w czarnej pelerynie i mówi dziwnym głosem.

– Zmienia twarz? Co to może znaczyć?

– Wie pan... – Mężczyzna rozłożył pulchne ręce. – W takich przypadkach dosłownie wszystko i nic. Myślę, że Iga miała wybujałą wyobraźnię, z której korzystał jej chory umysł, tworząc halucynacje. Z roku na rok rozkręcała się coraz bardziej.

– Czy było jakieś jedno miejsce, gdzie go widywała?

– Hm... – Doktor oparł podbródek na dłoni i przez chwilę myślał intensywnie. – Z tego, co pamiętam, potwór pojawiał się w różnych miejscach, w zależności od tego, gdzie się znajdowała. Nie był przypisany do jednej lokalizacji, na przykład osady. Za murem też go widywała.

– Leczył pan jeszcze kogoś z osady albo związanego z Dziećmi Dnia Apokalipsy?

– Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ludzi potrzebuje naszej pomocy. Sądzę, że i na pana komendzie są tacy, którzy chodzą do psychiatry – oznajmił. – Wszyscy mamy coraz więcej problemów i coraz mniej umiejętności radzenia sobie z nimi. Stres, życie w pośpiechu, gonitwa za posiadaniem rzeczy materialnych i zubożenie relacji społecznych, to wszystko się teraz dzieje na naszych oczach i przyczynia do pogłębiania stanów lękowych i depresyjnych.

Tymon wiedział, że tajemnica lekarska nie pozwoliła doktorowi odpowiedzieć konkretnie. A mimo to postanowił spróbować szczęścia.

– A Joanna Bator? Wykluczona ze zboru dziesięć lat temu? Podobno też miała problemy psychiczne. Leczył ją pan? – To był tylko strzał. Tak naprawdę Tymon nie orientował się, czy Aśkę też wysłano do doktora, ale istniała duża szansa, że przy tak nagannym zachowaniu również wylądowała na kozetce. Gdyby tak było, lekarz mógłby rozwiązać

wątpliwości komisarza o stanie zdrowia kobiety albo, co gorsza, je potwierdzić. Najważniejsze jednak, że Tymon zyskałby pewność, której teraz mu brakowało.

– Przykro mi. – Doktor spojrział mu w oczy. – Nie mogę udzielać takich informacji.

– Rozumiem. Jednak bardzo by mi pomogło, gdyby mógł pan coś zdradzić. Chodzi o dobro śledztwa. Nie chcę, aby kolejnej kobiecie coś złego się przytrafiło. A ta, o którą pytam, została ostatnio napadnięta. Być może jakiś psychol upatrzył sobie mieszkanki tej osady, zwłaszcza takie, których ewentualne zeznania mogą być lekceważone z uwagi na stan psychiczny.

– Poważnie myśli pan, że śmierć Igi to nie był wypadek? – lekarz zapytał z zainteresowaniem, analizując ostatnie słowa policjanta. – Faktycznie istnieje człowiek, który zagraża wyznawcom?

– Nie wiem. Staram się to ustalić. Dziękuję za poświęcony czas, dużo mi pan pomógł, doktorze. – Tymon wstał i uściśnął dłoń mężczyzny.

– Niech pan poczeka – lekarz zawołał za nim, kiedy wychodził. – Proszę. – Wręczył mu czasopismo przyniesione z salonu. – Córka raczej się nie pogniewa, a w razie czego kupię jej jeszcze jeden egzemplarz.

– Zaburzenia? – Tymon przeczytał głośno tytuł miesięcznika i z zaciekawieniem spojrział na doktora.

– Strona dwudziesta trzecia. Tylko tyle mogę powiedzieć. Nic więcej. Rozumie pan, tajemnica lekarska...

– Dziękuję, panie doktorze. – Hanter ponownie uściśnął jego dłoń i udał się w stronę auta. Zanim włączył silnik, przewertował w pośpiechu kartki i dotarł do podanej przez lekarza strony. – O, cholera... – Kilka puzzli układanki wskoczyło na swoje miejsce...

Sobota, budynek A, Karkonoska Osada

Mamo, mamoo! Patrz, jak ten lizak się ciągnie! – krzyczała głośno uradowana Ola, która razem z Martą i garstką innych dzieci stała przy stoliku z kulinarnymi słodkościami.

– Super, kochanie. Jesteś mistrzynią – pochwaliła jej pracę Olga. – Idę się przejść na pięć minut, a wy nadajcie jakieś fantazyjne kształty tej słodkiej, kolorowej masie, okej? – Pocałowała ją w policzek i odeszła.

Przychodząc tu, obiecywała sobie, że nie zostawi Oli samej, ale w pomieszczeniu pełnym dzieci i, jak podejrzewała, wynajętych animatorów nic jej nie groziło. Poza tym jeżeli w taki sposób członkowie sekty wabili najmłodszych, to nie mogli sobie pozwolić na to, by stała im się krzywda. Dzieci musiały wyjść stąd całe i zdrowe, a co najważniejsze – zadowolone i pragnące tu wrócić po więcej! Stojąc przed budynkiem, rozejrzała się dookoła. Październikowa pogoda dopisywała, słońce świeciło na niebie i choć termometr wskazywał tylko dwanaście stopni, to spacer po osadzie nie wydał jej się niemiłą koniecznością. Ciekawiło ją to miejsce i ludzie. I, o dziwo, wszystko tutaj wyglądało niczym w letniskowym superkurorcie. Pomyślała nawet, że gdyby była nieświadomą małąlatą lub samotnym, skrzywdzonym człowiekiem, to pewnie dałaby się wciągnąć w ten świat. Zaraz, zaraz. Czy ona czasem nie czuła się ostatnio samotnym człowiekiem...?

– Olga!

Znajomy głos dobiegł ją z tyłu, gdy skręcała za budynek. Tymon Hanter podbiegł do niej uradowany.

– Hej! Dobrze, że na siebie wpadliśmy. Mam informacje, które powinienś znać – powiedziała po cichu.

– Ja też. – Chwycił ją pod ramię i zaprowadził w ustronne miejsce. – Ja pierwszy, bo chyba wprowadziłem niepotrzebne zamieszanie. Nie wydaje

mi się, żeby w samej sekcji działo się coś złego, ale z drugiej strony jest ktoś, kto mógł chcieć zabić Igę i być może zagraża też innym kobietom.

– To znaczy? – Zmrużyła oczy.

Opowiedział jej o wszystkim, czego się dowiedział, i podzielił się tym, co sądzi na ten temat. A ona słuchała z uwagą, starając się nie przerywać. Pomiął tylko kwestię związaną z osobowością Joanny Bator. To będzie musiał przedyskutować z Aśką osobiście. I szczerze mówiąc, obawiał się tej rozmowy.

– Musimy go przesłuchać. Na razie chciałem potwierdzić, czy to, co mówili Klaudia i brat Albert, jest prawdą, i okazuje się, że tak. Iga chorowała, ale być może jej śmierć to nie był wypadek. Trzeba jechać do tego Jacka Szulina i zobaczyć, co ma do powiedzenia. Sprawdzić jego alibi. Możliwe, że to on wdarł się do osady i pobił jedną z dziewczyn. – Postanowił nie zdradzać, że chodzi o Aśkę. Balicka wiedziała, że ze względu na zeznania tej wykluczonej rozpoczęło się całe śledztwo, i nie spodobałoby się jej to, że Aśka się w nie zaangażowała.

– To się nawet pokrywa z moimi ustaleniami. – Westchnęła.

– To znaczy? – zaciekawiał się.

– Zgłosił się do nas świadek, który trzy tygodnie temu w sobotę widział, jak niezidentyfikowany mężczyzna potracił Igę i wsadził ją do bagażnika.

– Co? I nic nie ujawnił wcześniej? – Spojrzał na nią znacząco. – Nie sądzisz, że to dziwne? Może kłamie? – Ściszył mocno głos, bo obok nich przechodziły właśnie dwie siostry ze zboru. Tymon dobrze wiedział, że tutaj wszyscy mieli oczy i uszy szeroko otwarte.

– Raczej mówi prawdę. Zdawało mu się, że ktoś potracił sarnę, dlatego milczał. Długo by tłumaczyć. Tak naprawdę nadal nie mamy pewności, że widział właśnie to zdarzenie, ale jeżeli tak, to wiele by to tłumaczyło.

– Nadal nie rozumiem.

– Słyszałeś, że komisarz Zagrobny nie natrafił na żadne ślady mogące zidentyfikować pojazd lub sprawcę?

– No tak, i co w związku z tym?

- Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe. Zwłaszcza jeżeli potrącenie okazało się przypadkowe i kierowca zbiegł. Nie miałby czasu na zacieranie śladów, a tor hamowania i pozostałości krwi dziewczyny byłyby widoczne na dużej przestrzeni.

- Już wiem. - Zamyślił się. - Uważasz, że została przeniesiona?

- Dokładnie tak. Wpadłam na to, dopiero kiedy ten świadek pokazał mi miejsce zdarzenia. To nie ta sama droga, przy której znaleziono zwłoki.

- Kurwa mać! - zaklął Tymon. - Czyli mamy prawdopodobnie zaplanowane zabójstwo i do tego zacieranie śladów.

- Owszem. Wezwałam techników w rejon, który wskazał. Właśnie przeszukują teren. Liczę, że coś znajdą i będziemy mogli ruszyć dalej. Wiesz, było ciemno, świadek po alkoholu i dokładnej lokalizacji nie podał, tylko przybliżoną, ale jeżeli coś tam jest, to znajdziemy to.

- W najbliższym czasie przesłucham rodziców dziewczyny - planował. - Teraz, gdy okoliczności jej śmierci się zmieniły, może podsuną nam jakiś trop. Może naprowadzą na podejrzanego. Z dobrych informacji - to nie muszą się już ukrywać. Przewodniczący starszyny poprosił mnie o pomoc w rozwiązaniu sprawy. Oczywiście nieoficjalnie, bo myśli, że oficjalnie jestem zawieszony. Ale otwiera mi to więcej drzwi. Obiecał mi również przekazać dane na temat innych potencjalnie chorych lub wykluczonych dziewczyn, które w ciągu ostatnich dwóch lat straciły kontakt ze zbozem. Nawet jeżeli tylko odgrywa rolę dobrego opiekuna, to musiał się na to zgodzić. Moja robocza hipoteza, którą mu przedstawiłem, jest taka, że ktoś czyha na życie młodych dziewczyn ze społeczności. Ktoś z niewiernych, oczywiście.

- A tak naprawdę to co myślisz? - zapytała. Na razie nie była w stanie rozpracować, o co tu chodzi.

- Naprawdę to nie mam pojęcia, co tu się odpierdala. Odnoszę wrażenie, że wszyscy coś ukrywają i próbują mnie przeciągnąć na swoją stronę. Tu jest za słodko, za cukierkowo, za wspaniale. Olga! No przecież arkadia nie istnieje. Oni tu żyją w utopii, a pod jej płaszczykiem czai się zło.

- Ulala, jak elokwentnie powiedziane - doceniła wypowiedź młodego komisarza. - Już wiem, jak wrywasz panienki. - Zaśmiała się. - Okej, działaj. Czy mogę ci jakoś pomóc? Tylko się nie rozpędzaj, bo jestem zawalona robotą. - Udała groźną minę.

- Spokojnie, wiem, jak jest. - Doskonale rozumiał sytuację. Podczas tej delegacji prowadzi tylko jedno śledztwo, ale w normalnych warunkach pracy na komisariacie ma się ich wiele i zawsze za mało czasu, by wszystko ogarnąć. - Daj znać, co ustalą technicy, to jest najważniejsze. Wpadnę do ciebie na komendę z zeznaniami rodziców dziewczyny i Jacka Szulina. A potem zobaczymy, co dalej.

- Dobra, to ja sprawdzę miejski monitoring z dnia zabójstwa. Kamera powinna zarejestrować przejeżdżający w pobliżu miejsca zdarzenia stary, srebrny samochód. Może uda nam się odczytać tablice rejestracyjne.

- Ratunku! Pomocy! - Z pobliskiego budynku naraz doszły ich przeraźliwe dziecięce krzyki i piski. Dwoje maluchów wybiegło na podwórko z płaczem.

Olga poczuła nagłe ukłucie w okolicy serca. Jej wszystkie mięśnie spięły się momentalnie. Spojrzała najpierw na Tymona, potem na dzieci, a następnie rzuciła się biegiem w kierunku sali. Ola, jej Ola, była w niebezpieczeństwie. Nie wiedziała jeszcze, co się stało, ale pisk dzieciaków coraz bardziej dudnił jej w głowie. Zimne dreszcze przenikały jej ciało. Wbiegli do pomieszczenia, w którym odbywały się warsztaty kulinarne. Na środku sali stał mężczyzna z obłąkanym wzrokiem. Przerazona grupa dzieci wraz z animatorką cisnęła się pod ścianą. Tymon szybko wybadał sytuację. Smród benzyny, brązowy kanister rzucony na ziemię i ubranie napastnika ociekające łatwopalną substancją. A co najgorsze - zapalona zapalniczka w dłoni.

- Spokojnie - powiedział Tymon, starając ostudzić emocje. - Popatrz na mnie.

Mężczyzna spojrzał na Tymona zmieszany. Zdawał się tkwić w jakimś letargu, nie do końca mając świadomość, co czyni.

- Nie chcesz tego zrobić - zasugerował stanowczo. - Zgaś zapalniczkę.

– Nie będę cię słuchał! – wrzasnął i skierował płomień blisko siebie. Nerwowo przestępował z nogi na nogę. – To przez was dzieją się tu złe rzeczy. Bóg nas karze za to, że dopuszczamy do siebie niewiernych, że pozwalamy wam żyć z nami, nie przestrzegając naszych zasad. – Jego słowa wydobywały się w dziwny, jakby urywany sposób. Z oczu zaczęły płynąć mu łzy. – Bóg wymaga od nas ofiar! Za to, żeśmy zblądzili! Jeżeli tego nie zrobicie, zniszczycie nas. Ty i twoi pobratymcy sprawicie, że nasza wara nie będzie już tak silna.

– Poczekaj – przerwał mu. – Bóg cię kocha, tak samo jak nas – starał się tłumaczyć mu spokojnie. – On nie chce, żebyś umierał. – Kątem oka dostrzegł, jak Olga przesuwa się, kucając, pod ścianą w kierunku dzieci. Tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

– Co ty wiesz, psie?! Ty w życiu w nic nie wierzyłeś. Przez takich jak ty nie dostąpimy zbawienia, kiedy nastanie dzień apokalipsy. A przyjdzie już niedługo i każdy pozna wtedy sprawiedliwość Pana.

– Mamo! – Ola rzuciła się w objęcia matki.

– Spokojnie – powiedziała po cichu Balicka. – Jestem tu. Nic wam się złego nie stanie. – Próbowała uspokajać wszystkie zgromadzone dzieci.

– Dobrze! – Tymon krzyknął do mężczyzny, widząc, że ten traci cierpliwość. – Odejdziemy stąd. Nic nie rób i pozwól dzieciom opuścić salę. Obiecuję ci, że innych turystów też zabiorę z osady.

– Ty nic nie rozumiesz! Jesteś niewiernym, który w życiu nie pojmie powagi poświęcenia. Ale ja ci pokażę, co to znaczy pokutować za grzechy innych. Co to znaczy poświęcić siebie, by twoi bracia i siostry dostąpili życia wiecznego. Błogosławieni, którzy stali się ofiarą na cześć Pana – ostatnie słowa wymówił z namaszczeniem, niemal z błogością.

– Nie! – wrzasnął Tymon i rzucił się w kierunku mężczyzny, który przycisnął zapalniczkę do klatki piersiowej.

Płomienie w mgnieniu oka ogarnęły całe pomieszczenie, dzieci piszczwały z przerażenia. Olga zaczęła wyprowadzać je gęsiego. Tymon zerwał ze stołów bawełniane obrusy i przykrył nimi płonącego, powalonego na ziemię desperata. W tym samym czasie do sali wbiegli inni mężczyźni z wiadrami wody.

Sobota, noc, dom Joanny, Karkonoska Osada

Ostatnie dni dały jej nieźle w kość. Brat Marcin przydzielał jej najcięższe roboty, przy sprzątaniu publicznych toalet i obory ze zwierzętami. Była pewna, że postanowił jej dać nauczkę, że to kara za to, że tamtej nocy nie chciała mu się oddać, że się wzdrygnęła, kiedy sunął swoją szorstką dłońią po wewnętrznej stronie jej uda. Uderzył ją wtedy z całej siły w twarz, krzycząc, że jest nic niewartą kurwą, która nie ma prawa mu się przeciwstawiać. Potem złapał ją za ramiona i cisnął przez biurko, rozrzucając wszystkie dokumenty leżące na blacie. Joanna usiłowała uciec, ale napastnik zaczął gonić ją po korytarzu. Ogłuszona uderzeniem nie miała jednak szans. Ogromne łapsko chwyciło ją za bark, straciła równowagę, upadła na podłogę, a na jej twarzy malował się grymas ogromnego bólu i przerażenia. Poczuła na sobie ciężar spoconego cielska brata Marcina.

Po chwili na zewnątrz zawrzało i gdyby faktycznie ktoś nie kręcił się przed budynkiem, bazgrając sprayem napis na tynku, nie wie, jak by się to skończyło. Brat Marcin przestraszył się i umyślnie zepsuł zamek w drzwiach, pozorując włamanie. Jej kazał milczeć i wezwać brata Kazimierza. Zeznać, że ten rozgardiasz jest za sprawą osoby, która się tutaj włamała. Postąpiła według instrukcji, bo się bała.

Pewnie, że nikt nie trzymał jej tu na siłę. Była dorosła i mogła w każdej chwili odejść, ale nie potrafiła wybaczyć sobie, że nie pomogła Idze. Gdyby po ich spotkaniu zainteresowała się jej losem, spróbowała podejść do niej, kiedy wychodziła z osady głosić słowo Pana, być może nic złego, by się nie wydarzyło. Mogłaby wtedy od razu zabrać ją do siebie, zamiast zostawiać w sekcji na pewną śmierć. W oku zakręciła jej się łza, a oddech stał się nagle ciężki i urywany. Musi się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Musi znaleźć winnego śmierci Igi i doprowadzić go przed oblicze

sprawiedliwości. Ludzkiej sprawiedliwości, bo mieszkając przez tyle lat z Dziećmi Dnia Apokalipsy, wiedziała, że na boską nie ma co liczyć. Otarła policzki.

Zmęczenie fizyczne nie pomagało jej zwalczyć fatalnego samopoczucia. Była sterana i bolał ją każdy centymetr ciała. A do tego odnosiła wrażenie, że wszystkie jej problemy są dziś bardziej uwypuklone i budzą w niej więcej emocji. Nawet za rodzicami zdarzyło jej się tego dnia zapłakać. Na razie nie dostała zezwolenia na ich widywanie, a oni sami z siebie też nie szukali kontaktu. Czekali, aż Rada Starszych przywróci ją na łono Kościoła, a wtedy przyjdą do niej w odwiedzinach. Taką przynajmniej miała nadzieję. Wczoraj widziała na stołówce matkę. Usiadła z innymi kobietami i jadła śniadanie, ale na Aśkę nawet nie spojrzała. Dziś, koło świńskiej obory, przeszedł jej tato. Stała naprzeciw niego i chciała spojrzeć mu w twarz, powiedzieć coś, ale kiedy podniósł wzrok, nawet na nią nie spojrzał, tak jakby w ogóle nie istniała, jakby była przezroczysta – dała za wygraną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że są obserwowani i gdyby tylko postanowiła spróbować się do nich odezwać, a oni, nie daj Boże, by jej odpowiedzieli, wszyscy zostaliby wykluczeni ze społeczności. Nie czuła do nich żalu. No, może trochę. Ale wiedziała, że oni robią to dla jej dobra. Są święcie przekonani, że tylko wierni dostąpią zbawienia. Wszyscy inni w dniu ostatnim zginą w czeluściach piekielnych. Rodzice byli przekonani, że swoim postępowaniem skłonią ją do powrotu na ścieżkę Pana. Trudno to wytłumaczyć komuś z zewnątrz. Ludzie zza muru po prostu nie rozumieją. Tak też myślała o Tymonie. Nie rozumiał jej. Może i chciał pomóc, ale widziała, że z dnia na dzień się od niej oddala i patrzy na nią jakoś inaczej niż wcześniej. A ona z każdą kolejną chwilą stawała się dawną sobą, tłamszoną, poniewieraną i pozbawioną prawa głosu.

– Bóg jest sprawiedliwy. – Znany głos budzący nieprzyjemne dreszcze na karku wyrwał ją z zamyślenia.

Spojrzała w kierunku drzwi i zobaczyła stojącego w progu otyłego mężczyznę. Była w szoku i nie wiedziała, jak zareagować. Czy nawet w swojej chacie nie mogła czuć się bezpiecznie?

- Bóg jest sprawiedliwy – powtórzył dobitnie, oczekując odpowiedzi. Zdawał się rozdrażniony i zniecierpliwiony już od samego wejścia.

- A Jego sprawiedliwość dosięgnie i nas – wyrecytowała niepewnie, spuszczać wzrok na podłogowe deski.

- Pomyślałem, że ostatnio nie najlepiej się zachowałem, i przyszedłem przeprosić. – Kąciki jego ust lekko się uniosły, ale oczy pozostały bez wyrazu.

Znała to lubieżne spojrzenie aż za dobrze. Wstała z klęczek i otarła twarz dłońmi. Poprawiła beżową sukienkę i pierwszy raz w życiu ucieszyła się, że jest taka długa, bezkształtna i zakrywa niemal każdy centymetr jej ciała.

- Płakałaś, siostrze? – zapytał bardziej z zaciekawieniem niż z przejęciem. Widok sponiewieranej, zmęczonej fizycznie i psychicznie kobiety podniecił go.

- To ze zmęczenia. Wyśpię się i mi przejdzie – zapewniła. – Już późno. A jutro muszę wstać o piątej. – Chciała dać mu do zrozumienia, że to nie pora na odwiedzinę, ale nie mogła zrobić tego wprost.

Podszedł do Joanny powoli i dotknął palcami jej policzka. Z jej oczu wyczytał to, co lubił najbardziej – strach.

- Możemy coś na to poradzić. Nie musisz ciągle pracować przy świniach. Wystarczy bardzo niewiele, żebym chciał zmienić grafik i zlecić ci do sprzątania znacznie przyjemniejsze miejsca.

Poczuła na skórze jego nieświeży oddech. Odgadła, że zanim do niej przyszedł, pił wino, zapewne dla odwagi lub w celu wprawienia się w dobry nastrój. Jego kwaskowaty, duszący odór wydobywał się z ust Marcina. Alkohol był w ich społeczności surowo zakazany tak samo jak seks pozamałżeński, ale dobrze wiedziała, że nie wszyscy trzymali się tych reguł. Tacy jak brat Marcin jedynie je wyznaczali. Zadrżała z obrzydzenia. Musiała wykrzesać z siebie resztki sił, żeby to opanować.

- Przyniosłem wino. – Mężczyzna wyciągnął spod marynarki butelkę bordowego napoju i uśmiechnął się lubieżnie. Po jego rozchylnych wargach prześliznął się mokry język.

- To miłe, bracie, ale chyba będę chora - próbowała grzecznie wyprosić go z domu. - Chyba mam gorączkę i muszę się położyć. Nie chciałam cię zarazić. Naprawdę źle się czuję - dodała, kiedy nawet nie drgnął.

Spojrzał z rozczarowaniem na podłogę, jakby nad czymś myślał albo starał się opanować emocje, po czym nagle chwycił ją za szyję i popchnął na ścianę. Uderzyła głową o drewniane deski. Ból był tak silny, że niemal straciła przytomność i osunęła się na ziemię.

- Naprawdę nie chcę ci robić krzywdy. - Kucnął przy niej i cmoknął z niezadowoleniem. - Ale sama mnie do tego zmuszasz. Czy tak wychowali cię rodzice? Czy nauczyli cię przeciwstawiać się woli starszych? - mówił spokojnym, opanowanym głosem, co tylko jeszcze bardziej ją przerażało.

Pokręciła przecząco głową, szukając w myślach słów, które mogłyby uwolnić ją od tego potwora. Ale nic nie przyszło jej do głowy.

- Wiesz... - Podniósł ją z podłogi i zaprowadził na łóżko. Nie oponowała. Tym razem była bardzo posłuszna. - Pamiętam cię, kiedy byłaś gorliwie religijna. Kiedy wiedziałaś, jak trzeba się zachować, żeby nie przynieść wstydu rodzinie i prorokowi. Kiedy słowo starszyny stanowiło dla ciebie świętość.

Zostawił ją drżącą na posłaniu i poszedł do kuchennej wnęki po dwa kubki. Wołałby dwa kieliszki, ale bez szans. Rozlał wino, podał jej kubek, a zawartość swojego wypił niemal jednym haustem.

- Mam nadzieję, że docenisz to, co dla ciebie robię - wyszeptał jej do ucha. Usiadł na łóżku, podsunął się pod ścianę i poklepał ręką po nodze, jakby wołał psa, żeby się do niego połąsił. - Chodź do mnie. Powspominamy stare, dobre czasy.

Czuła, że treść żołądka podchodzi jej do gardła, choć niewiele dzisiaj jadła. Rozpaczliwie szukała wzrokiem ratunku, ale kiedy dotarło do niej, że to, co ma się stać, jest nieuniknione, poddała się. Położyła na plecach i czekała, aż się na nią wdrapie.

- Grzeczna siostra - sapał, obniżając przyciasne spodnie. - Mała, grzeczna siostrzyczka, mała kurwa, która zrobi dokładnie to, co jej

powiem – wysyczał i zaczął całować ją w usta.

Żadne z nich nie spodziewało się, że w tym właśnie momencie otworzą się drzwi chaty. Tymon wszedł i wyszedł szybciej, niż się tam pojawił. Zastany widok mocno nim wstrząsnął, choć wmawiał sobie, że przecież to dla niego nic nie znaczy. Przecież nie są razem, Aśka może pieprzyć się z kim tylko chce, a on nie ma prawa jej tego zabraniać. A mimo to poczuł ukłucie w sercu i ucisk w skroniach. W głowie wyświetlały mu się ciągle obrazy Aśki z leżącym na niej facetem i butelki wina na stole.

– Kurwa, jaki ze mnie kretyn – mamrotał pod nosem. – Kretyn! Kretyn! Kretyn!

„A więc to prawda, co o niej mówili!” – przetwarzał w myślach. Ta dziewczyna faktycznie nie zna umiaru. I dlaczego on w ogóle sądził, że jest inaczej? Wrócił do domu, wyciągnął z walizki schowaną w głębokiej kieszeni wódkę i postanowił zalać się w trupa. Jego urażone męskie ego nie pozwoliło mu tej nocy na nic innego.

Niedziela, wczesny poranek, podwórze przed Salą Królestwa, Karkonoska Osada

Miłosz drżał z zimna, temperatura na dworze wskazywała tego ranka tylko trzy stopnie, a on był skąpo ubrany. Jego drobne rączki trzęsły się, skóra przybrała blady, niemal pergaminowy kolor, zęby szczękały przy każdym silniejszym podmuchu wiatru, ale Miłosz trwał dzielnie. Wiedział, że to jego pokuta. Wczoraj wieczorem ojciec powiedział mu, co wydarzyło się w osadzie. Brat Hieronim poświęcił się, cierpiał za grzechy wszystkich wiernych. Płonął żywym ogniem, by ocalić ich dusze.

– Wybrał trudną, ale godną podziwu drogę odkupienia – unosił się ojciec. – I każdy brat i każda siostra powinni go za to szanować – mówił spokojnie poważnym tonem.

Miłosz wiedział, że dla ojca było to doniosłe wydarzenie, że żywił teraz do brata Hieronima nieskończone pokłady szacunku i uznania.

– Czy on przeżyje, ojcze? – zapytał z przerażeniem w oczach. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak ten pan bardzo musi teraz cierpieć. Jak mocno piecze go skóra, jakie blizny będzie nosił na ciele do końca życia.

– To nie ma żadnego znaczenia – odparł ojciec. – Jeżeli umrze, to z całą pewnością trafi do bram raj, gdzie Bóg już na niego czeka. Bo tam jest jego miejsce. Jeżeli będzie żył, to dlatego, że Pan nasz zdecydował, że potrzebuje go tu, na ziemi. Cokolwiek się stanie, wypełni się Jego wola, synu.

– Po co Bóg może go tu potrzebować, ojcze? – Miłosz nie do końca rozumiał.

- By wyznaczyć nam drogę - wyjaśnił z całą pewnością. - Bo zaczęliśmy błędzić, mój mały. Diabeł nie śpi i wygląda na to, że przybył do naszej osady i chce nas zabrać do piekła. Ciebie też kusił, nieprawdaż? - Spojrzał na syna spode łba, dając mu do zrozumienia, że wie o jego chęci uczestniczenia w Halloween.

Miłosz zadrzał. Bał się tak samo diabła, jak i Boga. Siła obu tych bytów zdawała mu się nieograniczona i przerażająca.

- Musimy podążać za prawdziwymi wiernymi, mój chłopcze - dodał ojciec. - A bratu Hieronimowi nikt nie może odmówić prawdziwej, czystej wiary.

- Podążać za bratem Hieronimem... - wymówił pod nosem młody człowiek. - Tato, ale ja się boję ognia. - Rozplakał się, przypuszczając, że będzie musiał w ten sam sposób udowadniać swoją wiarę. - Ja nie chcę tak, nie mogę...

- Nie bój się, mój synu. - Ojciec pogłaskał go po głowie. - Ty jesteś jeszcze mały i możesz wymyślić swoją własną pokutę za grzechy. Tylko pamiętaj, że są bracia i siostry, którzy poświęcają się całkowicie, by nas odkupić. Dlaczego? Bo nasze życie pełne jest grzechu. Nikt z nas nie jest bez winy. Hieronim cierpiał również za ciebie. Bo chciałeś iść na Halloween. Chciałeś wielbić Szatana...

Miłosz wyznaczył więc sobie pokutę, którą mógł znieść lepiej niż próbę ognia. Nastawił budzik na piątą rano, włożył krótkie spodenki i koszulkę, i choć na dworze było bardzo zimno, dżdżyscie, w dodatku niemiłosiernie hulał wiatr, klękając pod kamiennym murem przy Sali Królestwa. Będzie tak trwał aż do dwunastej, kiedy to zejdą się wierni na niedzielne spotkanie. To kara za grzechy, jego dar dla Boga, którym odkupi swoje winy. Przysięgał sobie, że już nigdy w życiu nie będzie tak samolubny i niegodziwy. Już nigdy nie zrobi przykrości mamie i nie splami honoru ojca takimi pomysłami. Od dziś jego myśli zwrócone będą tylko w stronę zbawienia.

Odgłos szurania dochodzący z oddali wybił go z modlitwy. Zadrzał teraz nie tylko z zimna, ale i ze strachu. Na dworze było jeszcze ciemno, jednak chłopcu zdawało się, że widzi zmierzającą ku niemu mroczną

postać. Jego serce biło coraz mocniej, strach ogarniał duszę, a mięśnie odmówiły posłuszeństwa, chociaż w głowie miał tylko jedno jedyne słowo: uciekaj! Nie mógł. Klęczał na ziemi niczym sparaliżowany. W uszach zaczęło mu szumieć, obraz przed oczami się rozmazywał. Po głowie krążyła coraz bardziej nachalna myśl: czy to jest ten potwór, o którym mówiła Iga? Niewyraźna ciemna plama przybierała różne kształty złowieszczych person ze świętych ksiąg. Miała rogi i ogon. I pelerynę falującą na silnym wietrze.

- Boże, pomóż mi, błagam cię! - Ponownie złożył ręce do modlitwy i mocno zacisnął powieki. - Jeżeli mnie uratujesz, już zawsze będę Ci wierny. Już nigdy nie pomyślę o czymś nikczemnym. Obiecuję. - Przez chwilę modlił się szybko i żarliwie, a kiedy otworzył oczy, postać zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu jak kamfora. Szuranie też ucichło i szum w uszach, i natrętne myśli. Miłosz poczuł nagle taką ulgę, jakby sam Bóg zszedł do niego na ziemię i uchronił go przed duchem nieczystym.

- Witaj, chłopcze. - Usłyszał nad sobą szorstki, męski głos.

Niedziela, dom Tymona, Karkonoska Osada

Tymon nie palił się, by wstać. Zbyt wiele myśli krążyło mu po głowie, zbyt wiele pogmatwanych, niejasnych snów męczyło go tej nocy.

Kiedy otworzył oczy, było już sporo po dziesiątej, ale mimo to znowu opadł na poduszkę. Miał dosyć. Czuł się przytłoczony przez coś, czego nie potrafił określić. A może po prostu atakowała go jakaś choroba? Dotknął otwartą dłonią czoła, jednak nie wyczuł gorączki. Gardło też go jakoś specjalnie nie bolało, mimo to głowa wydawała się ociążała, oczy piekły, a mięśnie całego ciała odmawiały posłuszeństwa. Skulił się na posłaniu i leżał jeszcze przez jakiś czas. Nie miał na nic ochoty. Wstał dopiero, kiedy usłyszał ciche pukanie w szybę. Podszedł do okna z niemal całkowitą pewnością, kto się za nim znajduje. Nie spieszył się. Tak naprawdę nie chciał jej widzieć. Pomachała mu, dając do zrozumienia, żeby spotkali się na zewnątrz w wyznaczonym miejscu. Przytaknął niechętnie. Gdyby chodziło tylko o ich relację, wcale by tam nie poszedł, ale prowadził śledztwo i nie miał wyjścia. Nie był tu przecież na wczasach.

– Nie boisz się spotykać w dzień? – zapytał, kiedy znaleźli się nad jeziorem.

– Nie dbam już o swoje bezpieczeństwo – rzuciła jakby od niechcienia.

Pomyślał, że jest jakaś dziwna, smutna i przygnębiona, a co najgorsze – zrezygnowana. Tak jakby stała przed nim zupełnie inna kobieta. Nie ta silna, z wojowniczym nastawieniem i pełna energii Aśka, którą poznał parę dni temu, tylko stłamszona i załamana. Ale może to było tylko takie złudne wrażenie. Bo niby dlaczego miałyby się tak zmienić?

– Wszyscy są teraz na zebraniu w Sali Królestwa. Nikt nas o tej porze nie zobaczy – wyjaśniła. – W tej części osady zostali tylko niewierni

i zawieszeni, tacy jak ja. Czego się dowiedziałeś? – przeszła od razu do konkretów.

– Myśle, że Igę zamordowano – powiedział i zauważył, że Aśka odetchnęła z ulgą i na moment zamknęła oczy.

– Cieszę się, że w końcu to do ciebie dotarło.

– Ale nie zamordowano jej tutaj ani nie zrobił tego nikt z sekty.

– Co? – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Już cię przekabacili na swoją stronę? – krzyknęła i odsunęła się od niego. Targały nią ogromne emocje.

– Przestań odwalać dramę! – zbulwersował się. – Ja wiem, że w twoim stanie to może jest norma, ale ja wolę rozmawiać na innej płaszczyźnie i będę wdzięczny, jeśli choć raz zrobisz coś nie po swojemu.

– W moim stanie? A w jakim ja jestem niby stanie? – Zmrużyła oczu niczym czarna pantera gotowa do ataku.

– No... – Nie wiedział, jak to ładnie ująć w słowa. – Sama dobrze wiesz. Jesteś chora. To znaczy... – zawahał się. – Nie jesteś chora. Masz zaburzenia osobowości.

– Co?! – wrzasnęła oburzona. Chodziła pospiesznie tam i z powrotem, zastanawiając się, czy jest jeszcze sens z nim rozmawiać. Czy on może realnie spojrzeć na otaczającą go rzeczywistość, czy w całości przyjął już narzucony mu sposób myślenia.

– Nie udawaj. O wszystko się rozpytywałem. Masz osobowość borderline. Zresztą wszystko do siebie pasuje: trudności z odnalezieniem swojego miejsca na świecie, skrajne przeżywanie zwłaszcza negatywnych emocji, silny lęk przed odrzuceniem i wdawanie się w niebezpieczne relacje, również te seksualne, skłonności do działań ryzykownych, impulsywność – wyliczał na palcach, aż poczuł silne uderzenie w twarz. Zachwiał się i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Pierdol się, Hanter – wysyczała przez zęby, odchodząc. Miała dosyć. Po tym, co właśnie usłyszała, absolutnie nie uda im się znaleźć wspólnego języka.

– Chciałbym, ale widziałem, że ty jesteś już zajęta, a siostrzyczki w wierze raczej nie rozkładają nóg tak chętnie – rzucił na odchodne, bo

wczorajszy obraz Aśki z facetem w jednoznacznej pozycji wciąż tkwił mu w głowie, wciąż wywoływał ból.

Podeszła do niego szybko i z całej siły ponownie uderzyła go w twarz. Nie zareagował. Wiedział, że sobie zasłużył.

– Jesteś słaby! – wykrzyknęła, pocierając piekącą od uderzenia dłoń. – Słaby jak cholera! Zaledwie parę dni w sekcji i już tańczysz, jak ci zagrają, a najlepsze, że nie widzisz, jak tobą manipulują. Ty faktycznie wierzysz, że sam do tego wszystkiego doszedłeś, co? – Zaczęła go szturchać, jakby zamierzała się na niego rzucić.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale powinnaś się uspokoić. – Odsunął się od niej i wyciągnął dłoń w geście dającym do zrozumienia, żeby go nie dotykała.

– Masz klapki na oczach – zarzuciła mu.

– Tak? To powiedz, mi jaka jest prawda? Co? – zapytał, choć nie dał jej czasu na odpowiedź. – Może nie chodziłaś nigdy do psychiatry? Nie zdiagnozowano u ciebie osobowości z pogranicza i nic z tych rzeczy, które przed chwilą wyliczyłem, nie określa twojej osobowości?

– A może przyjrzymy się sobie? – Odbiła piłeczkę już spokojniej. – Rozumiem, że ty wybrałeś pracę, w której biegasz z bronią za przestępcami, a wieczorami bzykasz wszystko, co się rusza, nie odpuszczając nawet córce komendanta, bo jesteś jebanym przykładem stabilności psychicznej w czystej postaci, tak? I to dlatego jako dzieciak miałeś problemy z prochami i wdawałeś się w bójki z każdym możliwym typem spod ciemnej gwiazdy. To, jak mniemam, jest stateczne zachowanie rozsądnego człowieka z dojrzałym typem osobowości, racja?

– Skąd wiesz tyle o mojej przeszłości? – Nagle spoważniał.

– Sprawdzali cię tu – odpowiedziała. – Wiedzą o tobie więcej, niż sama bym chciała wiedzieć, i z jakichś powodów jeszcze cię nie wyrzucili. Nie zastanawia cię to? – Zachodziła w głowę, jak to możliwe, że jest taki ślepy. On, wielki komisarz wydziału kryminalnego czy kim on tam był!

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Brat Albert sprawdził mnie, bo zamierzał poprosić o pomoc w rozwikłaniu zagadki zabójstwa Igi i pobicia kolejnej kobiety. Jak się domyślam – ciebie, choć ty nie chciałaś mi

powiedzieć, że coś się wydarzyło. Nie ufasz mi na tyle, by się tym dzielić. Każdego podejrzewasz o złe zamiary i strasznie ci współczuję, bo ciężko tak żyć, ale nie wszystko jest takie, jak kształtuje się w twoim mózgu!

Kopnęła ze złości leżący obok kamień, złapała się za skronie i wydała z siebie niemal zwierzęcy ryk. Zabieg ten pozwolił wyładować jej negatywne emocje. Jej twarz i ciało wydały się nagle mniej napięte, a ona sama usiadła niespiesznie na wystającym konarze. Musiała przez chwilę pomyśleć.

– Posłuchaj... – Spojrzała Tymonowi w oczy, które po tym, co zrobiła, zdawały się nadal szeroko otwarte, jakby nie wierzył w to, co właśnie zobaczył. – Źle to wszystko rozgrywamy. Usiądź koło mnie, proszę – dodała z opanowaniem.

– Okej. – On też uważał, że za bardzo się zapętlili. Doskonale wiedział, że jego urażone męskie ego nie pozwala mu trzeźwo spojrzeć na wiele rzeczy. W tym przypadku była to cholerna reakcja obronna, kiedy zrzucał całą winę na Aśkę. A przecież ona tak naprawdę niczemu nie zawiniła. Była ofiarą sekty. Przez lata prano jej mózg i stosowano szantaż emocjonalny. Dlaczego miałyby się zachowywać jak normalna kobieta?

– Ktoś z nas dwojga musi być mądrzejszy – powiedziała zaczepnie, ale z uśmiechem. – Nie możemy tak ze sobą rozmawiać, bo to bez sensu, tylko ranimy się nawzajem. Zróbmy tak – zaproponowała. – Ja powiem ci o wszystkim, co wiem, również o tym, co dotyczy mnie, i odejdę z osady. A ty potraktujesz to, jak zechcesz.

– Odejdiesz? – szczerze się zdziwił. – Przecież jeszcze przed chwilą byłaś gotowa na wszystko.

– Tak, ale zdałam sobie sprawę z jednej bardzo ważnej rzeczy.

– Z jakiej?

– Historia lubi się powtarzać – wyszeptała enigmatycznie.

– To znaczy? – wolał, by doprecyzowała.

– To znaczy, że myślałam, że jestem silną, niezależną kobietą, pełną wiary we własną wartość, ale wystarczyło, że spędziłam tu parę dni i znów wróciła dawna Aśka. To mi nie służy. Ja nie chcę tak żyć. Nie chcę bać się własnego cienia, klękać przed facetami i nie móc się odezwać, dopóki

ktos łaskawie mi na to pozwoli, a przede wszystkim nie chcę się czuć jak nic niewarty śmieć. A tak się właśnie czuję – wyjaśniła. – Ale poczekam jeszcze do chwili, kiedy pozwolą mi porozmawiać z rodzicami. Tylko jedna rozmowa i odejdę.

– Okej. I przepraszam – też wybelkotał po cichu. Było mu głupio. Zbyt ostro ją potraktował.

– Za co?

– Za wszystko, co o tobie powiedziałem. Masz prawo być, jaka chcesz, i nic mi do tego. I masz prawo sypiać z kim chcesz, nawet jeżeli mnie to po prostu boli. – Ściszył głos.

– To ty wszedłeś wczoraj wieczorem do mojej chaty? – Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego tak na nią naskoczył. Poprzedniej nocy była w takim szoku z powodu tego, co się działo, że zarejestrowała tylko trzaśnięcie drzwiami.

– Tak i przyznaję, że nie powinienem, dlatego przepraszam.

– W takim razie muszę ci podziękować. Wczoraj wieczorem uchroniłeś mnie przed gwałtem – postanowiła wyznaczyć mu prawdę. – Ofiara zawsze będzie ofiarą, jeżeli będzie bała się o tym mówić.

– Co? – Zerwał się na równe nogi.

– Widocznie pomyślałeś, że skoro cierpię na osobowość borderline i lubię wdawać się w ryzykowne zbliżenia seksualne, to co noc sprowadzam sobie do łóżka innego braciszka – wymówiła te słowa spokojnie, nie czyniąc mu wyrzutu. Była przyzwyczajona do tego, że tak traktowali ją w osadzie. Nie pierwszy raz spotykała się z ostracyzmem.

– Ale jak to przed gwałtem? Kto to był? Aśka! Ja cię przepraszam! – Uklęknął przed nią i złapał ją za dłonie. – Byłem pewien, że dobrze się bawisz. To znaczy, nie spojrzałem dokładniej. Wczorajszy obraz, który zobaczyłem przez ułamek sekundy, tak mnie wnerwił, że po prostu musiałem wyjść. Gdybym został, skopałbym mu jaja, przysięgam! Ale widziałem wino i pomyślałem... O, ja pierdołę!

– Już dobrze – uspokajała go. – Sam fakt, że otworzyłeś drzwi, spowodował, że brat Marcin zszedł ze mnie, zanim zdążył cokolwiek zrobić. – Wzdrygnęła się. – Wystraszył się, że ktoś go rozpozna, i uciekł.

On nie jest taki pewny siebie, na jakiego wygląda. W relacji z kobietą wyładowuje swoje lęki i frustracje, ale przed silnymi mężczyznami po prostu ucieka.

– Marcin ze starszyzny? – nie dowierzał.

– Tak. I to prawda, że to ja byłam tą pobitą siostrą, o której mówił brat Albert. Ale to nie jakiś facet zza muru mnie napadł, tylko Marcin.

Tymonowi oczy niemal wyszły z orbit. Jak mógł być aż tak ślepy?

– To pieprzony zboczeniec i dewiant. Wykorzystuje niewinne dziewczyny z osady, a może i mężatki, nie wiem. Bardzo prawdopodobne, że wykorzystywał Igę, i to właśnie jego uważała za potwora. Nie mogę tego w żaden sposób udowodnić poza tym, że znam go od bardzo dawna. Kiedy byłam nastolatką, dobierał się do mnie. Nie był jeszcze wtedy starszym z braci i nie miał takiej władzy, ale molestował mnie seksualnie, odkąd skończyłam trzynaście lat – wyznała.

Tymon zdziwił się, że opowiada tak normalnie, jakby mówiła mu o tym, co dzisiaj robiła w pracy. Na jej twarzy nie ujawniły się żadne emocje.

– Brat Albert o tym wie?

– Nie mam pojęcia. Z tego, co widzę, on naprawdę wierzy w to, co robi. Marcin jest tutaj nie dla Boga, ale dlatego, że może realizować swoje chore seksualne fantazje i nie ponosić za swoje czyny żadnej kary. Czuje się tu jak dziecko w sklepie ze słodyczami. I bardzo, ale to bardzo nie lubi, kiedy mu się odmawia. Coś się w nim wtedy zmienia, mimika na twarzy zamiera, a w rękach ma więcej siły, niż mógłbyś się spodziewać. Tamtej nocy uderzył mnie, bo nie chciałam mu się oddać. I tak naprawdę dostałby to, czego pożądał, gdyby nie fakt, że usłyszeliśmy kogoś za oknem. Kiedy wyszliśmy na podwórko, zobaczyliśmy, że cała ściana budynku wymazana jest farbą.

– Farbą?

– Nie wiesz? Pewnie brat Albert ci mówił... – Przerwała, zdając sobie sprawę z tego, że jest inaczej. – A to znaczy, że ma coś do ukrycia...

– Ale o co chodzi?

- Ktoś napisał na elewacji ogromnymi literami: MORDERCY IGI.

- Mordercy Igi? - W Tymonie narastała coraz większa frustracja. Dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać, że nim manipulowali.

- Kto to zrobił?

- Marcin zwała winę na jakiegoś chłopaka zza muru. Podobno spotykał się z Igą i ma tatuaż na ręce. Nie wiem, o kogo może chodzić.

- Jacek Szulin - Tymon wymówił te słowa precyzyjnie i powoli. - Ach, tak... - Zamyślił się przez chwilę. - Dziś zamierzam go przesłuchać. Jego i rodziców Igi.

- Działaj. Tylko pamiętaj, żeby mieć uszy i oczy otwarte. Jesteś w sekcie i wszystko, co słyszysz, podszyte jest pewną dozą manipulacji. Ja odpuszczam - oświadczyła ze smutkiem. - Zdałam sobie sprawę, że Idze i tak już nie pomogę, a tylko sama stanę się ofiarą. Już nawet zaczęłam w ten sposób o sobie myśleć. Głupia, nic niewarta ofiara losu. Tyle osiągnęłam, spędzając tu parę dni... - Westchnęła. - Chcę tylko móc jeszcze raz porozmawiać z rodzicami. Wiem, że będzie to nasz ostatni dialog w życiu, ale muszę im powiedzieć, że mimo wszystko ich kocham - rozumiesz?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą. - Ale to szanuję. Zrób tak, jak czujesz.

- Tak zrobię - przytaknęła.

Objął ją i przytulił mocno.

- Dobrze, że wyjeżdżasz. Będę o ciebie spokojniejszy. A jak to wszystko się skończy, spotkamy się za murem i porozmawiamy normalnie, dobrze? - Uniósł jej podbródek i spojrzał głęboko w oczy. Piękne, zielone, błyszczące od łez. Nie mógł się powstrzymać i pocałował ją. - Przepraszam. - Odsunął się. - Nie chcę być taki jak on.

- Nie jesteś. - Przyciągnęła go do siebie i odwzajemniła pocałunek.

- Tymon, jeszcze jedno - przypomniała sobie nagle. Wyciągnęła z kieszeni sukienki złożoną kartkę papieru. - To są nazwiska dziewczyn, które w ostatnich dwóch latach zniknęły z osady.

- Jak to zniknęły?

- Oficjalnie mówi się, że odeszły ze wspólnoty i zostały wykluczone, ale moje źródła donoszą, że niektórzy martwią się o te dziewczyny. Ponoć nie można z nimi nawiązać kontaktu i to nie przez ogólnie ustalone zasady, a dlatego, że rozplynęły się w powietrzu. Sprawdź to, proszę.

- Jasne, obiecuję. - Spojrzał na kartkę. - Justyna Oleś i Kinga Sawicka. Ile mają lat?

- Po osadzie krążą informacje, że zniknęły, kiedy weszły w pełnoletność. Wtedy najłatwiej powiedzieć, że ktoś po prostu odszedł z własnej woli. Chociaż niektórzy tak właśnie postępują po ukończeniu osiemnastego roku życia albo szkoły średniej. Ja jestem tego żywym przykładem - dodała.

Ten sam dzień, popołudnie, osiedle Zabobrze, Jelenia Góra

Hanter wspinał się po schodach na ósme piętro. Winda nie działała, ale tak było nawet lepiej, bo on po prostu lubił wysiłek fizyczny. Przez ostatnie dni nie miał gdzie rozładować negatywnych emocji. Zastanawiał się nawet, czy nie wziąć sobie przerwy i nie pójść na siłownię do pobliskich Term Cieplickich. Być może zrobi tak, jeżeli sytuacja w osadzie na to pozwoli. Potrzebował się porządnie wyżyć, spocic i zapomnieć o tym, co ostatnio zajmowało mu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Praca w terenie, zwłaszcza pod przykrywką, jest dużo bardziej obciążająca psychicznie niż normalna policyjna służba. A dodatkowo człowiek nie ma czasu dla siebie, więc kiedy w głowie pojawia się natłok uciążliwych myśli, trudno odreagować.

- Marcinie Zabłocki - wymamrotał pod nosem, mijając cyfrę sygnalizującą piąte piętro - dorwę cię, ty sukinsynie. - Zaciśnął pięści i z zaciekłością zazgrzytał zębami.

Na ostatnim piętrze stanął przed drzwiami do mieszkania Jacka Szulina. Jego uwagę przykuł fakt, że wyglądały jak z innej epoki. Dawno nie widział już tego modelu. Zwykła, niegdyś biała płyta, którą jednym kopnięciem można by całkowicie rozwalić. Wszystkie inne drzwi w klatce wymieniono na nowocześniejsze - drewniane lub imitujące drewno. Właściciel tego mieszkania był biedny jak mysz kościelna - to się widziało już od progu. Ale jak to mówią, nie ocenia się książki po okładce. Zapukał.

Nikt nie otworzył, za to zdawało mu się, że z mieszkania wydobywa się jakiś pogłos. Ktoś ewidentnie się tam znajdował, być może patrzył teraz na niego przez wizjer, ale nie zamierzał go wpuścić.

– Otwierac, policja! – Zastukał zaciśniętą pięścią. – Panie Jacku, proszę otworzyć drzwi, musimy porozmawiać – spróbował łagodniejszym tonem, kiedy pierwsze zdanie nie przyniosło rezultatu.

Usłyszał szcęk zamka dochodzący ze środkowego mieszkania, z którego wyłonił się wysoki i chudy, młody mężczyzna, ubrany w granatową bluzę i czapkę z daszkiem. Ot, zwykły chłopak z blokowiska, co to chciałby uchodzić za blokowego luzaka.

– Dzień dobry – bąknął pod nosem, co przy spuszczonej głowie trudno było usłyszeć, i poszedł w kierunku schodów.

Tymon zapukał jeszcze raz, ale nagle błysnęła mu pewna myśl. Wychylił się na klatkę schodową, by jeszcze raz spojrzeć na młodego lokatora. Z góry widział tylko granatową, obszerną bluzę i nakrycie głowy w tym samym kolorze. I jeszcze coś bardzo znaczącego, kiedy tamten położył rękę na poręczy – wytatuowane litery na palcach.

– Jacek Szulin? – zawołał.

Chłopak spojrzał w górę wystraszony i zaczął uciekać. Zbiegał w dół po dwa stopnie, a odgłos jego kroków rozchodził się po klatce głuchym, dudniącym echem.

– Policja, stój! – Tymon krzyczał za nim, starając się go dogonić, ale chłopak był szybszy. Miał jednak pecha. Na ostatnich stopniach na parterze potknął się i upadł, uderzając głową o drzwi wejściowe. Zawył żałośnie, pozbierał się momentalnie, nacisnął klamkę i wybiegł z bloku, prosto jednak pod nadjeżdżający samochód. Po okolicy rozszedł się pisk opon i dźwięk klaksonu.

Hanter wyciągnął odznakę i zwróciwszy ją w stronę kierowcy, nakazał pozostanie w aucie. Młoda dziewczyna siedząca za kierownicą czerwonego forda dostosowała się do prośby. Kątem oka widział, że nawet wcisnęła guzik zamykający drzwi. Może nie do końca wierzyła, że jest z policji. Odetchnął z ulgą, widząc, że Szulin odniósł tylko powierzchowne obrażenia.

– Masz cholerne szczęście, że nic ci się nie stało – powiedział Hanter, kiedy usiedli w jego wozie. Komisarz nie przejawiał ochoty znowu wspinać się po piętach. Co więcej, postraszył chłopaka, że jedna krzywa mina, po której pozna, że kłamie, i od razu odpala silnik, by zawieźć go na komendę.

– Wiem – odparł skruszony, rozmasowując obolałe biodro.

– Czemu uciekałeś?

– Bo jesteś z psiarni – rzucił do policjanta i wzruszył ramionami, że musiał tłumaczyć oczywistą oczywistość. Szulin był właścicielem dwóch połączonych ze sobą mieszkań i kiedy usłyszał pukanie do drzwi do lokalu numer dwadzieścia pięć, i okazało się, że to policja, postanowił wymknąć się drugim wyjściem.

– Gdybyś nie miał nic na sumieniu, nie uciekałbyś, to proste, nie? – polemizował Tymon.

– Taaa... życie generalnie jest zajebiście proste. Mordercy i bandziory idą do paki, a niewinni nie powinni się niczego obawiać – rzucił z sarkazmem młody, rozmasowując obolałe ramię. Jak nic pojawi mu się gigantyczny siniak.

– Dobra, chłopie, nie będziemy się bawić w kotka i myszkę. Mów, co przeskrobałeś, i co wiesz o śmierci Igi Dąbrowskiej. Chyba że chcesz wyłądować na komendzie albo na dołku na cztery osiem.

– A niby za co? – odparł buńczucznie.

– Nie martw się, paragraf zawsze się znajdzie – pogroził mu Hanter.

– Iga została zamordowana – wypalił, a w oku zakręciła mu się łza. – To znaczy, specjalnie zamordowana. Z premedytacją.

Tymon dopiero teraz zauważył, że chłopak ma podkrążone oczy i jest wychudzony, jakby od kilku tygodni nic nie jadł.

– Kto ją zamordował? – Oparł się łokciem o kierownicę i spojrzał na młodego uważnie.

– Nie wiem. – Jacek skrył głowę w ramiona i zaczął szlochać. – Ktoś tam ją zabił, bo chciała odejść, ale naprawdę nie wiem kto. Gdybym wiedział, gdybym tylko wiedział, to bym go... – nie dokończył.

– Słuchaj, jesteś w nie najlepszym stanie. – W Hanterze odezwała się nagle wrażliwsza strona. – Masz kogoś, kto może się tobą zaopiekować? Kto mógłby cię doglądać? Nakarmić? Jadłeś coś ostatnio w ogóle?

– Nie mam, nie mam już nikogo – chłopak rozkleił się całkowicie. – Ona była wszystkim, co miałem, i zabrali mi ją, bo chciała od nich odejść.

– Jacy oni?

– Ludzie z sekty. Chyba wiesz, że mieszkała w osadzie? – Popatrzył na policjanta, upewniając się, że zdobył chociażby podstawowe informacje.

– To dlatego wdarłeś się do osady kilka dni temu i wymalowałeś napis na murze? – Poznał, że trafił. Przynajmniej w tym temacie brat Albert go nie okłamał. Pomimo że nie wspomniał o napisie, mówił prawdę co do obecności Jacka w osadzie. – To dlatego uciekałeś? Myślałeś, że przyszedłem cię zamknąć za wandalizm?

– Kto wie, o co jeszcze mnie oskarżają i czy nie jesteś na ich usługach. Przyznaję, że ten napis zrobiłem ja. Tylko tyle mogłem zdziałać, choć tak naprawdę pozabijałbym ich wszystkich! – Jego głos stał się głośniejszy i przepełniony nienawiścią. – Piorą ludziom mózgi, pozbawiają radości życia, wymagają absolutnego posłuszeństwa. Ty uważasz, że to normalne? Bo jak dla mnie takie coś powinno podlegać pod psychiczne znęcanie się i być ścigane z urzędu – niemal krzyczał.

– Słuchaj... – Tymon próbował nieco go ostudzić. – Ja wiem, że to chore, ale przecież ci ludzie są tam z własnej woli. Zawsze mogą odejść. Znam nawet jedną dziewczynę, która tak zrobiła.

– Dobre! – Jacek prychnął mu w twarz. – W dupie byłeś i gówno widziałeś. Takim jak ty wydaje się, że to wszystko jest takie proste. A zresztą po co gadać. Iga chciała odejść i dlatego ją zabili. Mówiła mi, że się boi. Nie chciała zdradzać szczegółów. Twierdziła, że wszyscy tam na górze są podli, ale jeden z nich jest wyjątkowym sukinsynem i ona musi pokazać to światu. Błagałem ją, żeby to zostawiła, żeby po prostu odeszła. Mogłaby przecież mieszkać u mnie. Zaopiekowałbym się nią. Namawiałem, ale ona bała się, że i tak ją dopadną.

– Ona miała tylko piętnaście lat. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że to karalne – upomniał go.

– Kurwa, jak ty nic nie rozumiesz. Zajmujesz się sprawą, a nie masz podstawowego pojęcia o osobach, które przesłuchujesz, co? Powtarzam ci, że nie chcieli jej puścić. Zrobili z niej wariatkę. Okej, była trochę inna. Fantazjowała, ale kto by nie uciekał w nierealny świat, żyjąc w takim miejscu.

– Byłem u jej lekarza. Powiedział, że Iga naprawdę chorowała na schizofrenię.

– Ha! – Jacek podniósł ręce w teatralnym geście. – Wielka wyrocznia polskiej psychiatrii doktor Robert Gawryło. Cud, kurwa, współczesnej medycyny.

– Wiesz o nim coś, czego ja nie wiem? – Tymonowi nie podobał się ton chłopaka, ale na razie postanowił go nie hamować. Być może w tym stanie powie coś więcej, niż wtedy gdy opanowałyby emocje.

– Pewnie sporo – przyznał z sarkazmem. – Ale najważniejsze jest to, że co niedziela popierdala na spotkania do Sali Królestwa.

– Należy do sekty? – Tymon zdziwił się nie na żarty.

– Brawo, Sherlocku.

– Grzeczniej, proszę. Mam dziś zły dzień i nie chciałbym się na tobie odegrać – pogroził mu, bo młody go wkurzał. Z drugiej strony Tymon przyznał chłopakowi rację. Nie odrobił lekcji, bo i jak, siedząc całymi dniami w osadzie. Po rozmowie będzie musiał zadzwonić do Olgi Balickiej z prośbą o garść informacji. Trzeba przyjrzeć się bliżej członkom sekty. – Ostatnie pytanie: jakim samochodem jeździsz?

– Chyba nie myślisz, że to ja ją potrafiłem?

– Po prostu odpowiedz. Ostatnio mam już dosyć głupich słownych sporów.

– Ośmioletnim passatem combi.

– Kolor?

– Czarny.

– Dzięki. Możesz iść – powiedział i odprowadził go wzrokiem.

Ten sam dzień, dom Olgi Balickiej, Jelenia Góra-Sobieszów

Ledwo odłożyła Zuzię na popołudniową drzemkę, zadzwonił telefon. Przekląła w myślach, podbiegając na palcach do kuchennej wyspy. „Oby jej nie obudził, oby jej nie obudził” – zaklinała.

– Halo? – wyszeptła. Nie zdążyła spojrzeć na wyświetlacz. Miała nadzieję, że to Kornel. Potrzebowała z nim porozmawiać, wyzalic się, poskarżyć na zmęczenie i nadmiar domowych obowiązków i oczywiście, dowiedzieć się, co u niego, ale głos, który usłyszała, nie należał do niego.

– Cześć, Olga – Tymon intuicyjnie też zaczął szeptać. – Masz jak rozmawiać?

– Tak, czekaj. Tylko znajdę odpowiednie miejsce. – Pomału udała się w stronę drzwi na końcu korytarza.

Weszła do pokoju i usiadła w uszaku. W końcu mogła przez chwilę odpocząć i spokojnie pogadać. Cieszyła się, że Ola przebywała poza domem. Po wczorajszym wydarzeniu w osadzie długo leżała przy niej, czekając, aż zaśnie. Dziewczynka była całkowicie roztrzęsiona, na szczęście dzisiejszego ranka wstała już z humorem i oznajmiła, że ciocia Elwira zabiera ją na basen i lody. Jak dobrze, że dzieci potrafią tak szybko przerzucać uwagę na inne sprawy.

– Dobrze, że dzwonisz. Mam nowe informacje w sprawie Igi.

– O! To dawaj! – Zamilkł, czekając na to, co powie. Był ciekaw, czego udało jej się dowiedzieć.

– Godzinę temu dzwonili technicy kryminalistyczni. Potwierdzili, że grupa krwi znaleziona na miejscu zbrodni jest zgodna z grupą krwi Igi. Na dokładne badania genetyczne trzeba będzie jeszcze chwilę poczekać.

– Okej, to w sumie dobra wiadomość – przyznał. – Znaleźli coś jeszcze?

– Tak, odcisk opon. Zrobili ekspresowe odlewy i niedługo uzyskają bieżnik.

– Super. Jak otrzymasz konkrety, to prześlij na maila. Kiedy będę miał sposobność, sprawdzę, co i jak.

– Okej. Tymon? – zagaiła.

– No?

– Siedzi mi w głowie to, co stało się wczoraj w osadzie. No, kurde, tam były dzieci! Wciąż zastanawiam się, jak to ugryźć, ale nic nie wymyśliłam.

– Chcesz wszcząć postępowanie w tej sprawie?

– Chciałabym uchronić ludzi z osady przed podejmowaniem takich decyzji oraz innych przed ich konsekwencjami, rozumiesz?

– Olga, to nie jest kwestia rozumienia. Facet sam się podpalił, przeżył, nikomu poza nim nic się nie stało. Brak podstaw do działania. – Westchnął. Zaczynał dostrzegać problemy, o których mówił mu przed chwilą Jacek. – Sekta robi ludziom wodę z mózgu i pozostaje przy tym bezkarna – tłumaczył dalej.

– A narażenie na utratę życia i zdrowia?

– Dobrze wiesz, że paragraf sto sześćdziesiąty stosuje się na wniosek pokrzywdzonego. Ktoś musiałby się tego domagać, a potem ciągać dzieci po sądach i komisariatach, żeby zeznawały. Jako matka zrobiłabyś to Oli?

– Nie – przyznała. – Chcę, żeby jak najszybciej o tym zapomniała.

– No właśnie. Ale może uda nam się dobrać do nich inaczej... – Tchnął iskierkę nadziei. – Tylko potrzebuję od ciebie informacji.

– Co mam sprawdzić?

– Wszystko na temat Jacka Szulina, Marcina Zabłockiego, Alberta Mleccki i Kazimierza Durana. Tak naprawdę nie wiem, czego szukamy. Może to, co uzyskasz, rozjaśni nam drogę.

– Okej, zapisałam.

– Ach, i dopisz jeszcze Justynę Oleś i Kingę Sawicką.

– A kto to?

– Dwie dziewczyny, które zniknęły z osady w ostatnim roku. Oficjalnie odeszły same. Może uda ci się je znaleźć i z nimi porozmawiać?

– Postaram się.

Popołudnie, Sala Królestwa, Karkonoska Osada

Auaaa! – brat Marcin zawył z bólu, kiedy przewodniczący starszyny wymierzył mu nagły, niespodziewany policzek. – Za co? – zapytał powalony na kolana. Podłoga była zimna i brudna, i od razu, gdy jej dotknął, poczuł obrzydzenie.

– Już ty dobrze wiesz, za co – odburknął Albert. – I żebym cię więcej przy niej nie widział! – Pogroził mu palcem.

– Powiedziała ci? Ta sprzedajna suka wypaplała ci wszystko przy pierwszej możliwej okazji? – Nie wierzył własnym uszom. Jak to możliwe, że tak zastraszona kobieta miała odwagę i czelność, by na niego donieść?

– Nie pograżaj się! – Kazimierz powstrzymał go gestem dłoni. – I lepiej nie wstawaj. Leż krzyżem i módl się, żeby Pan wybaczył ci winy. A następnym razem zważ na to, że wchodząc do czyjejś chaty, jesteś na podsłuchu, który sam tam umieściłeś.

Kazimierz nie pierwszy raz stwierdził z niesmakiem, że brat Marcin jest niedorozwiniętym troglodytą, który nie potrafi opanować chuci. Wszyscy byli tylko ludźmi i każdego kusił Szatan, ale inteligentny człowiek nie narażałby całej wspólnoty. Problem nie polegał na tym, że chciał przespać się z kobietą, która niekoniecznie wyrażała na to zgodę. Takie rzeczy robił już wcześniej, ale tym razem zawinił głupotą, dopuszczając się przemocy, kiedy w osadzie mieszka policjant. Na szczęście Joanna nigdy nie zgłosiłaby skargi na żadnego brata ze starszyny, za bardzo chciała spotkać się z rodzicami. Za dużo mogłaby stracić. Kazimierz doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– A co wy jej tak bronicie? – Marcin położył się krzyżem na zimnej posadzce. Jego gruby, okrągły brzuch sprawiał, że ciało kiwało się na boki. Opięta koszula podeszła nad pępek i na gołej, owłosionej skórze poczuł przejmujące zimno. – Nie wiecie, że ona kręci też z tym policjantem? Nie

zdziwiłbym się, gdyby przyjechali tu razem. W tym jej całym powrocie i nawróceniu nic się kupy nie trzyma – wykrzyczał z rozżaleniem.

Starszy mężczyzna z siwą brodą zwrócił twarz ku górze i wymamrotał coś cicho. Czekał, aż Pan obdarzy go łaską cierpliwości. Już dawno nie zdarzyło mu się stracić nad sobą kontroli, ale dziś, kiedy Kazimierz przyniósł mu nagrania z chaty Joanny, nie wytrzymał. Może powinien zdegradować brata Marcina. A może po prostu odesłać go na jakiś czas do innego zboru? Takie kilkumiesięczne zsyłki praktykowano w każdej religii i miały służyć przemyśleniu swojego zachowania i postanowieniu poprawy. Wiedział, że nie może zbyt długo odkładać tej decyzji, ale nie był do końca przekonany, czy będzie słuszna.

– Zamilcz – rozkazał w końcu z politowaniem. – Nie odkryłeś, bracie, Ameryki. Od dawna o tym wiemy. I dlatego nie możesz tknąć jej palcem, rozumiesz? – Patrzył na leżącego na ziemi bez pewności, czy Marcin pojął, o co chodzi.

Zabłocki spojrział na kolegów z niedowierzaniem. Czyżby skrywali przed nim jakieś sekrety? Dlaczego? Przecież Rada Starszych powinna trzymać się razem. Dzielić wszystkimi przemyśleniami i wspólnie ustalać strategię postępowania z wiernymi.

– Zostaw ich w spokoju. Komisarz Hanter pomaga nam rozwiązać sprawę śmierci Igi. Dostał wszelkie potrzebne wskazówki, by dojść do odpowiednich wniosków, ale jeżeli wejdiesz mu w drogę i skrzywdzisz kobietę, na której prawdopodobnie mu zależy, wszyscy możemy mieć przez to kłopoty. A Pan Bóg nie wybaczy nam kolejnych błędów. Już i tak za dużo się ostatnio wydarzyło. Potrzeba nam spokoju i stabilizacji, abyśmy mogli bez przeszkód prowadzić owieczki na pastwisko Pana. – Wzniósł ręce ku niebu i złączył je w geście modlitwy.

– Musimy być czujni. – Kazimierz Duran sprawiał wrażenie przejętego słowami Alberta. – Owieczki zaczynają błądzić.

– To prawda – przytaknął zaniepokojony Albert. – Gdzie dziś był syn Roberta Słowińskiego? Przygotowaliśmy całe kazanie oparte na jego historii, na pędzie za demonami śmierci i zniszczenia skrytymi pod

płaszczkiem niewinnej zabawy. A chłopak nie przyszedł – rzucił chłodno z rozczarowaniem.

– Matka powiedziała, że Miłosz źle się czuje i został w domu – odezwał się z podłogi brat Marcin. – Ponoć dostał gorączki i nie mógł przyjść.

– A jednak szkoda, że się nie zjawił. Dużo by wyniósł z dzisiejszej lekcji pokory i posłuszeństwa. Mam wrażenie, że w jego głowie kotłuje się jeszcze wiele znaków zapytania. Obym się mylił, ale obawiam się, że z tym chłopakiem mogą być w przyszłości problemy.

– Następnym razem do niego dotrzemy, bracie Albercie – odparł Kazimierz. – Następnym razem...

Wieczór, dom państwa Dąbrowskich, Karkonoska Osada

Tuż po zmierzchu Tymon wstąpił do rodziców Igi. Zdziwił się, widząc, że ich dom niemal niczym nie różni się od jego. Składał się z jednej izby o surowym wystroju. W zasięgu wzroku nie było żadnych widocznych rzeczy osobistych odróżniających ich siedzibę od lokali dla turystów. Zachodził w głowę, jak to możliwe, że spali tu wszyscy razem.

– Przenieśliśmy się tutaj po śmierci naszej córki – wyjaśniła Mirosława Dąbrowska.

Była kobietą o delikatnej, niemal pergaminowej skórze, wyglądała wątłe. Jedyne kolorytu dodawały jej kręcone włosy w kasztanowym, ciepłym odcieniu. Patrząc na nią, Hanter miał wrażenie, że nigdy nie wychodziła na światło dzienne. Ruszała się powoli, jakby każdy krok i gest sprawiały jej ból. Ale to rozumiałe, skoro kilka tygodni temu pochowała córkę. Kiedy podała herbatę, przycupnęła na kuchennym taborecie przy prowizorycznym blacie.

– A mogę zapytać dlaczego? – Hanter wrócił myślami do kontekstu rozmowy.

– Tak zdecydowała Rada Starszych – pospieszył z odpowiedzią Tomasz. – Tu będzie nam teraz lepiej. – Ton jego głosu nie zdradzał żadnego wahania. Z całą pewnością wierzył w to, co mówił. I nie miał ochoty o tym dłużej dyskutować.

Tymon mógł tylko przypuszczać, że chodziło o odcięcie ich od wspomnień o dziecku, które już nie żyło. O stworzenie czegoś w rodzaju nowego początku. Ale czy faktycznie zwierzchnikom sekty wydawało się, że to takie proste? Ot, wystarczy zmienić lokal na taki, w którym nie mieszkali z dzieckiem, by zniknął ból po jego stracie? Hanter nie miał jeszcze dzieci, ale był pewny, że gdyby miał i gdyby spotkało go coś takiego, nie zapomniałby o swoim cierpieniu do końca życia.

– W czym możemy pomóc? – inicjatywę przejął ojciec Igi, mężczyzna w średnim wieku o nieprzeciętnej posturze. Gdyby Tymon miał zgadywać, jaki wykonuje zawód, uznałby, że pracuje jako drwał i na co dzień buszuje w lesie.

– Niestety, dostałem potwierdzone informacje – zaczął wprost – że państwa córka została zamordowana, a jej ciało celowo przeniesiono w inne miejsce, by zatrzeć ślady. To z całą pewnością nie był wypadek.

Spojrzał na nich wnikliwie i jedynie na twarzy matki dostrzegł wyraz bólu i cierpienia. Mąż kobiety nie okazywał żadnych emocji. Zupełnie tak, jakby ta informacja wcale go nie obeszła.

– To nie ma już żadnego znaczenia – powiedział oschle, niemal surowo. – Było, minęło. Trzeba żyć dalej. Bóg tego od nas wymaga.

– Nie ma dla państwa znaczenia, że to nie był wypadek, a zabójstwo? – Tymon aż się zapowietrzył.

– Nasza córka nie żyje. – Mężczyzna spojrzał na niego surowo. – I może tak jest lepiej... – Zasepił się.

– Słucham? – Komisarz nie wierzył w to, co usłyszał. Był zbyt wzburzony, by prowadzić dalej rozmowę. Milczał przez chwilę, rozważając, czy odcięcie emocjonalne ojca Igi nie jest jakąś formą mechanizmów obronnych. Może wycierpiał już nadto. Może nie ma siły do tego wracać. Ale dalsza część spotkania wyprowadziła go z błędu.

– Nasza córka chorowała – wyjaśniła kobieta, zerkając na męża. Sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się, czy w ogóle powinna się odzywać. Czy może zdradzić tak intymną informację o ich rodzinie.

– Tak, wiem. Cierpiała na schizofrenię, ale...

– Żadne ale – przerwał mu mężczyzna i uderzył pięścią w stół. – Przynosiła nam wstyd – podniósł głos. – Opowiadała niestworzone rzeczy o naszej wspólnotce. Niby wszyscy wiedzieli o jej chorobie, ale i tak fama poszła na całą Jelenią. Ludzie wytykali nas palcami, wyśmiewali. Przez nią nigdy nie mogłem awansować na pomocnika.

– Chyba pan trochę przesadza. – Tymon zatrzymał gestem dłoni jego słowotok, bo miał już szczerze dosyć tego faceta. – Nie wydaje mi się, żeby za murem jakoś specjalnie się o was mówiło. A pan...

- Iga przynajmniej się teraz nie męczy. - Matka starała się załagodzić sytuację, ale widząc gniewne spojrzenie męża, przeprosiła i wyszła do łazienki.

Podział na role żeńskie i męskie oraz pełnione w związku z tym funkcje w rodzinie był w tym małżeństwie aż nadto widoczny. Mirosławie Dąbrowskiej nie wypadało odzywać się bez wyraźnego znaku od męża. Hanter zdziwił się i jednocześnie zaczął zadawać sobie pytanie, czy w ten sposób zachowywały się tu tradycyjne małżeństwa. Czy ta cała słodkopierdząca otoczka, którą karmiono turystów w osadzie, to zwykła ściema, a rzeczywistość wygląda zgoła inaczej. Czy ludzie są tu zastraszeni, pozbawiani własnego zdania, majątku i zdrowego rozsądku? Mężczyzna, który się podpałił, też zarzucał niewiernym, że przez nich zmieniają się zasady i łamane są święte prawa wspólnoty. Bełkotał jak opętany, jak religijny fanatyk, gotów ponieść najwyższą ofiarę.

- Czy ma pan jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógłby pragnąć śmierci pana córki?- zapytał wprost Hanter. W końcu musi odbębnić swoje i iść dalej. Nie zamierzał spędzić w tym domu ani minuty więcej niż to konieczne.

- Pan Bóg - odpowiedział mężczyzna, jakby to była najbardziej oczywista odpowiedź na świecie.

- Słucham? - Tymon aż się zapowietrzył. Pochylił się w stronę mężczyzny i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Skoro moje dziecko nie żyje, to znaczy, że Bóg tak chciał i nie nam to oceniać. Gdyby było inaczej, żaden morderca nie stanowiłby zagrożenia. Wiara wymaga poświęceń, wymaga ofiar. I my taką ofiarę ponieśliśmy. Bo Bóg tak zdecydował. Gdyby wszystko w życiu było proste, łatwe i przyjemne, jak udowodnilibyśmy Panu naszemu, że zasługujemy na zbawienie i życie wieczne?

Zza drzwi łazienki dobiegły ich odgłosy płaczu. Mirosława Dąbrowska nie potrafiła powstrzymać emocji. Jej ból i żal po stracie córki oraz tutejsza codzienność, z którą musiała się mierzyć, stały się dla Tymona bardzo odczuwalne.

- Pan tak na poważnie? - Głos Hantera brzmiał już wyraźną irytacją.

– Dobrze, że Iga nie żyje. – Mężczyzna spojrzał mu spokojnie w oczy i wytrzymał niemal całą wypowiedź bez mrugnięcia okiem. – Jest u bram raj. Jest szczęśliwa. Bóg zdjął z niej wszystkie choroby. A to oznacza, że i nam powinno być z tego powodu lżej. I tak właśnie jest.

– Czy nazwisko Szulin coś panu mówi? – Tymon wolał zmienić temat, by nie strzelić rozmówcy w pysk.

– Tak – odparł z pogardą i wyraźnie się wzdrygnął. – Chciał, żeby Iga opuściła naszą społeczność. Nazywał nas sekta, hejtował, wyzywał i nachodził. Robił jej z mózgu sieczkę, a już wcześniej i tak nie miała po kolei.

– Nachodził? – policjant wolał się przyczepić do czegoś, co wydawało się choć trochę konstruktywne.

– Tak. Zwłaszcza Igę. Dlatego ostatnio zabraliśmy ją ze szkoły. Przeszła na domowe nauczanie, bo ten chłopak cały czas za nią chodził i czekał przed budynkiem, aż skończy lekcje, a potem kładł jej do głowy pełno jadu, pogardy i nienawiści do swoich braci i sióstr. Iga i tak była pomyłona – stwierdził bez ogródek. – Nie potrzebowała wiele, by zmaćił się jeszcze bardziej jej chory umysł. Ten człowiek kupił wręcz identyczne auto jak nasze, by odbierać ją ze szkoły i wieźć przez miasto, nie wzbudzając ciekawskich spojrzeń naszych braci i sióstr mieszkających za murem. Nasza społeczność jest bardzo zgrana. Od razu by do mnie dotarło, że córka wozi się z jakimś mężczyzną po mieście, gdyby prowadził inny samochód.

„Czytaj: ciekawska i donosicielska społeczność” – Tymon przetłumaczył sobie tę wypowiedź na własny sposób. Nic, tylko ciągła inwigilacja i zero prywatności.

– Ale czy chce pan powiedzieć, że córka nie życzyła sobie odwiedzin tego chłopaka? – zdziwił się. Do tej pory wydawało mu się, że byli w sobie zakochani i to z nim zamierzała uciec.

– Na początku może i tego chciała. Dużo błędziła i okrywała nas hańbą, pokazując się z nim na ulicy. Porządna dziewczyna nie powinna być sam na sam z chłopakiem. Ale potem zrozumiała, że źle robi, i kiedy usiłowała zerwać wszelkie kontakty, on zaczął ją nachodzić i być coraz

bardziej agresywny. Nie przyjmował żadnej odmowy. Wiele razy wdzierał się do osady i jej szukał. Ostatnio często się kłócili, słyszałem z opowieści, że kilka razy ją szturchnął i wtedy ona powiedziała „stop”. Odsunęła się od niego i zażądała zakończenia znajomości.

– Uważa pan, że byłby w stanie ją zabić? – Tymon próbował sam odpowiedzieć sobie na to pytanie, ale nie miał pojęcia. Kiedy przeszłuchiwał chłopaka, uznał, że jego uczucia i intencje wobec Igi odznaczały się szczerością, a on sam zdawał się wystraszony i załamany tym, co się stało. Jednak w tej sprawie Tymon zaczął już przyzwyczajając się do myśli, że nic nie jest takie, jakie wydawało się na początku. Jacek Szulin faktycznie darzył Igę silnymi uczuciami. Być może zbyt silnymi. Obsesyjna miłość i zabójstwa w afekcie nie należały do rzadkości, westchnął.

– Jeżeli tak było, to my musimy mu wybaczyć. Bóg ukarze go, kiedy nadejdzie pora.

Ktoś niespodziewanie otworzył drzwi chaty, które z hukiem uderzyły o ścianę.

– Miłoszek! – krzyknęła przestraszona kobieta ze zmierzwionymi włosami. Pojawiła się niczym zjawa wyłaniająca się z ciemności. – Miłoszek zniknął! Widzieliście go gdzieś? Pomóżcie, proszę!

– Bóg jest sprawiedliwy. – Zganił ją wzrokiem Tomasz Dąbrowski, podnosząc się z krzesła.

– A Jego sprawiedliwość dosięgnie i nas – odpowiedziała przestraszona. – Wybacz mi, bracie, brak zwyczajowego powitania, ale nigdzie nie ma mojego syna. Czy widzieliście go dzisiaj? – Była spanikowana i złękniiona, ledwo stała na trzęsących się z nerwów nogach.

– Wracaj, siostrze, do swojej chaty i czekaj na wieści. Rozpytam w okolicy. Nie godzi się, żeby kobiety wychodziły po zmroku. – Tomasz Dąbrowski chciał już chwycić kurtkę wiszącą na wieszaku, kiedy przeszkodził mu Tymon.

– Co to za bzdury, do jasnej cholery! Czy wy żyjecie w jakimś pieprzonym średniowieczu? – wrzasnął, nie wytrzymując już tego przedstawienia. Miał głęboko w poważaniu to, czy obrazi ich uczucia

religijne lub czy pogwałci zasady panujące w tym miejscu. Ewidentnie coś tu nie grało i nie zamierzał tańczyć, jak mu zagrają. – Nazywam się Tymon Hanter, jestem policjantem – wyjaśnił, podchodząc do szlochającej kobiety. – Proszę mi wszystko opowiedzieć. Kiedy widziała pani syna ostatni raz, czy coś go martwiło, czy ostatnio zachowywał się jakoś inaczej? I ile ma lat?

– A możemy porozmawiać u mnie w domu? – zapytała ze łzami w oczach, przerzucając wzrok z Tymona na Tomasza i z powrotem. Służba i stanowisko komisarza nie były dla niej autorytetem, ewidentnie musiała wykonywać polecenia braci w wierze.

– Dobrze, chodźmy – ustąpił Hanter. – Proszę mi dać znać, gdy coś ustalicie – zwrócił się do ojca Igi.

Noc, stara rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry

Miłosz drżał z zimna i ze strachu i gdyby ktoś zapytał go, czy bardziej mu zimno, czy bardziej się boi, nie umiałby odpowiedzieć. Wydarzenia z ostatnich paru godzin pamiętał jak przez mgłę. Wilgoć, wszechogarniające zimno, niewygodne i twarde kamienie pod murem, ciemna postać, która pojawiła się nie wiadomo skąd, i towarzyszące temu wszystkiemu okropne uczucie, dreszcz przeszywający całe ciało. Miał ciarki na ciele i nie mógł złapać przez chwilę oddechu, nie mógł krzyknąć, choć bardzo chciał zawołać mamę, ani nawet ruszyć się z miejsca. Postać podniosła go, jakby był lekki jak piórko, zniosła do auta i dała do powąchania jakąś chusteczkę, która wcale ładnie nie pachniała, ale Miłosz bał się powiedzieć o tym na głos. Potem zasnął i obudził się dopiero tutaj.

Nie wiedział, gdzie był, nie poznawał tego pomieszczenia. Wokół panował półmrok i musiał mrużyć oczy, żeby lepiej dostrzec szczegóły. Brudne, białe ściany, na których widniały ciemne i czerwone plamy, podłoga z wyblakłych kafelków ułożonych w śmieszny wzór. Haki przyćepione do wiszących pod sufitem rur i jakieś maszyny. Miłosz widział kiedyś w domu u koleżanki mamy krajalnicę do chleba. Dawno temu, kiedy mama jeszcze mogła spotykać się z koleżankami, ale pamiętał tę sytuację bardzo dobrze, bo urządzenie wysoce go wtedy zaciekało. Maszyna umieszczona na długim stole bardzo mu ją przypominała. Była jednak dużo większa i potężniejsza. Miłosz zaczął się zastanawiać, jak wyrośnięty musiały być chleb, żeby dało się go tutaj pokroić. Przez kilka sekund zaśmiewał się w głos, wyobrażając sobie jego wielkość, ale już po chwili jego śmiech zmienił się w zawodzący szloch. Chciał do mamy.

– Mamusiu! – krzyknął, próbując uwolnić ręce z więzów. – Mamusiu! – Jego płacz rozszedł się i odbił echem od ścian. – Mamusiu, ratuj mnie! – Gardło zaczęło go boleć od krzyków, oczy piekły od płaczu, a w nadgarstki wżynał się sznur. – Mamusiu!

– Nie śpisz? – spytał mężczyzna, podchodząc do chłopca. Jego głos nie przebił się przez krzyki dziecka, ale gdy tylko Miłosz go zauważył, w pomieszczenia zapanowała głucha cisza.

Malec zastygł w bezruchu ze strachu, tak przerażała go ciemna postać. Przypominała wyglądem potwora. To znaczy ten człowiek miał na głowie maskę przywodzącą na myśl potwory z najgorszych opowieści z zakazanych ksiąg. Łysa, biała głowa, po której spływały strużki krwi, gałki oczne w wytrzeszczu, płyty rozdartej skóry, przez które przebiegały się kości policzkowe, i to, co zatrważało go najbardziej – zęby jak u dzikiego zwierzęcia. Krzywe, ostre i żółte. Miłosz wiedział, że to tylko maska, i starał się powtarzać to sobie w myślach, ale i tak bardzo się bał. Potwór istniał naprawdę. To o nim mówiła Iga. Miłosz poczuł na nogach najpierw przyjemne ciepło, a chwilę potem zimny dreszcz. Spuścił wzrok zawstydzony.

– Nie bój się, mały człowieku. – Potwór podszedł do niego i spojrzał na plamę moczu na podłodze. – Nie zabiję cię dzisiaj – obiecał.

A potem stało się coś, co pozwoliło Miłoszkowi myśleć, że potwór jest dobry, że dba o niego i chce, aby był szczęśliwy. Rozwiązał mu ręce, okrył go kocem i z tekturowego pudełka wyciągnął białą, mięciutką i ciepłą kuleczkę. Łzy przestały kapać z oczu chłopca, a na jego ustach zagościł cień uśmiechu.

– Czy to piesek? – zapytał nieśmiało.

– Tak, to piesek dla ciebie. – Potwór zbliżył szczeniaka do twarzy chłopca, tak by poczuł miękkość jego sierści.

Była tak gładka, że Miłosz nie wiedział, do czego może ją przyrównać. Może tylko do włosów mamy, kiedy użyje odżywki, a potem pozwala mu je rozczesywać?

– Mogę się z nim pobawić? – zapytał z nadzieją w głosie. Nigdy w życiu nie miał psa. Rodzice nigdy się nie zgadzali, mówiąc, że to obowiązek, że

teraz, tuż przed nadejściem apokalipsy, ważniejsze są inne sprawy.

Potwór położył mu pieska na dłoniach. Mała mordka podniosła się z ciekawością i na chłopca spojrzała para okrągłych, czarnych oczu. Dokładnie tak samo okrągłych jak pięć złotych, które Miłosz wrzucił niedawno do skarbonki.

– Jaki jesteś śliczny – wyszeptał do małej, coraz bardziej ruchliwej kulki.

– Jak chcesz, możesz nadać mu imię – zaproponował potwór. – Tylko pamiętaj, że to dziewczynka.

Oczy Miłoszka rozbłysły radością i nadzieją. Będzie mógł nazwać pieska! Jak cudownie! Dostał pieska, któremu może nadać imię. Nigdy w życiu nie był chyba tak szczęśliwy.

– Beza, nazwę ją Beza, bo jest taka biała jak ciastka, które czasem robi mama. – Przez ułamek sekundy, kiedy pomyślał o mamie, zrobiło mu się znowu smutno. Ale przecież potwór nie może być tak do końca zły. Przecież dał mu Bezę. Więc na pewno nie zrobi mu krzywdy. I już niedługo wraz z Bezą wróci do mamy, do domu.

W tym samym czasie, Karkonoska Osada

Dziesiątki płonących pochodni i co najmniej tyle samo latarek ze sztucznym światłem rozświetlało rozległe tereny osady. Wokół unosiła się gęsta mgła, co sprawiało, że należało być bardzo uważnym. Gdyby nie okoliczności, można by rzec, że widok ten był wręcz ujmujący. Miał w sobie magię i czar niespotykane w świecie za murem. Niemal wszyscy zostali zaangażowani do poszukiwań Miłosza. Komisarz Tymon Hanter przejął dowodzenie. Podzielił ludzi na kilka sporych grup i każdej zlecił przeczesywanie innego sektora. Na szczęście brat Albert dysponował dokładną mapą całego terenu i nie było to trudne. Każdy wiedział, co ma robić. Polanę Wiernych razem z dwoma kobietami przeczesywała Joanna. Pukały od drzwi do drzwi, pokazując zdjęcie chłopca. Sprawdzały też pustostany. Tymon z początku zakładał, że cała akcja powinna zająć do dwóch godzin, ale osada była większa, niż mu się wydawało.

- Miłosz! - Nawoływania braci i siostr rozchodziły się po okolicy. - Miłoszku, gdzie jesteś?

Jeżeli chłopiec pozostawał przytomny, nie mógł ich nie słyszeć.

- Miłoszku! - Z ust poszukiwaczy ulatniały się obłoki białej pary - noc była zimna. Temperatura przy gruncie mogła oscylować w okolicy zera stopni Celsjusza. Jednak tempo poszukiwań i emocje z nimi związane rozgrzewały wszystkich zaangażowanych.

- Jeżeli do godziny go nie znajdziemy, wzywam posiłki - zapowiedział stanowczo Tymon.

Brat Albert, idący koło niego, nie odparł nic. Kipiało w nim wiele emocji. Ostatnio wszystko się waliło. Ludzie zatracali wiarę, dzieci nie słuchały rodziców, żony podważały zdanie mężów. Czuł się pokonany. Pomalu dochodził do wniosku, że był złym przywódcą. Winy należy

najpierw szukać w sobie, a dopiero potem na zewnątrz. Wszak ryba psuje się zawsze od głowy. Wiedział o tym doskonale.

- Dobrze - odpuścił. Początkowo zarzekał się, że ani jeden funkcjonariusz więcej nie wejdzie do ich osady. Ale zbyt wiele się już zdarzyło, za dużo mu się wymykało, by dalej mógł kontrolować wszystko sam. Tliła się w nim jeszcze tylko iskierka nadziei, że mały Słowiński wyjdzie zaraz zza krzaków i powie wszystkim, że to taki żart. Modlił się o to. W myślach żarliwie przepraszał Boga za swoją nieudolność. To on zaprosił do osady niewiernych. To on pozwolił na to, by mieszkali razem z nimi. Początkowo uważał, że to świetny pomysł. Ludzie zza muru zobaczą, że bycie w społeczności jest dobre, i zapragną do nich dołączyć. Ale po wszystkim, co się wydarzyło, po śmierci Igi, podpaleniu się Hieronima, zniknięciu Miłosza i kilku innych zaginięciach pełnoletnich już dziewczyn, zrozumiał, że to błąd. Nie był w stanie kontrolować wszystkiego. Niewierni wyniszczają wszystko, czego się dotkną. W piersi poczuł kłujący, silny ból. Przystanął i złapał się instynktownie za klatkę piersiową.

- Nic ci nie jest? - Tymon się zatrzymał. Jego zmartwioną twarz oświetlała pochodnia. „Jeszcze tylko zawału mi tu brakuje” - pomyślał. Już chciał sięgnąć po telefon, żeby wezwać pomoc, kiedy przypomniał sobie, że nie ma tu zasięgu. Cholera jasna! Nigdy się do tego nie przyzwyczai.

- Nie, nie. - Albert dał mu znak ręką, żeby szedł dalej. - Przystanę tu i się pomodłę. Bóg z pewnością nam pomoże.

Tymon pokiwał z niedowierzaniem głową i poszedł dalej. Powinien już się przyzwyczaić do ich totalnej bezradności w obliczu problemów i rzucania całej odpowiedzialności na siłę wyższą. Może tak jest im łatwiej, może i w tym szaleństwie jest metoda, ale on jej nie uznawał.

- Poczekaj! - Głos Joanny dobiegł go gdzieś z boku. - Hanter! Stój! - Podbiegła do niego zdyszana. Miała rozmięzwione włosy i wypieki na policzkach. Jej oddech był nader przyspieszony.

Nakazał ludziom iść dalej ustaloną trasą. Potem do nich dołączy. Chyba że Aśka przynosi dobrą nowinę. Szczerze mówiąc, bardzo na to

liczył. Choć rozum podpowiadał mu, że tego dziecka tu nie ma i to nie może być żaden przypadek.

– Co jest? Znalazłaś go? – zapytał z nadzieją.

– Nie. Moim zdaniem nie ma go w osadzie – odparła. – Przeszukałyśmy z kilkoma kobietami wszystkie domy na Polanie Wiernych. Zapytałyśmy każdego turystę. Chłopiec po prostu rozpląnął się w powietrzu. Mam złe przeczucia... – Głos jej zadrżał. Po części z żalu za Miłozsem, po części z powodu spotkania przed chwilą swojej mamy. Siedziała w chacie z Mirką Dąbrowską. Opiekowała się nią, pocieszała i parzyła herbatę każdemu, kto przyszedł zziębnięty z dworu. Kiedy Aśka weszła do środka, spojrzała na nią, a w jej oczach rozbłysnęły łzy. Nie spuściła wzroku. Posłała córce lekki uśmiech i odebrała od niej to samo. Boże! Jak bardzo Aśka chciała się w tym momencie do niej przytulić. Podejść do niej, przyłgnąć do jej ramion i poczuć się bezpiecznie jak mała dziewczynka, która jest dla matki całym światem. Ale wiedziała, że nie może. To nic, wmawiała sobie. Mama na nią popatrzyła. Przesłała jej wiele mówiące spojrzenie. Kochała ją. Tylko nie mogła, nie potrafiła tego okazać. W przeszłości też była raczej oziębła. Chciała, by jej córka wyrosła na kobietę z twardymi zasadami. Dobrą i posłuszną siostrę. By odnalazła szczęście w prostym, religijnym życiu. Ale Aśka nie była ani zasadnicza, ani posłuszna. Była inna, a inności tutaj nie akceptowano.

– Może trzeba będzie sprowadzić nurków. – Tymon spojrział w kierunku jeziora.

– Co? – Aśka błędziła myślami w zupełnie innym miejscu niż tam, gdzie znajdowało się jej ciało.

– Jeżeli go nie odnajdą w tych laskach i zagajnikach, to niestety może być na dnie – stwierdził ze smutkiem.

Powiew silnego zimnego wiatru omiółł ich zmarzniętych i zawył w koronach drzew. Joannę ogarnął dojmujący lęk.

– Oby to nie była jego dusza wylaniająca się z jeziora – powiedziała do siebie po cichu. Pomimo kwestionowania religii tej społeczności wierzyła, że dusze po śmierci dalej żyją. Nie miała pojęcia, co się z nimi dzieje, czy idą do nieba, zostają na ziemi jako duchy czy dostają nowe ciało, ale

wierzyła, że coś musi być po tym życiu na ziemi. Przecież to wszystko nie może się tak po prostu kończyć. Zawsze też przerażały ją horrory z udziałem duchów, bo podejrzewała, że część z tych strasznych historii może być prawdziwa. Czy duch Miłoszka nawiedzałby ich? Czy miałby powód?

Hanter nie zrozumiał wszystkiego, ale te kilka rozszyfrowanych słów wystarczyło, żeby spojrzeć na nią z niepokojem. Widok setek pochodni w ciemnym lesie przypominał mu cmentarne obrazy w Świątyni Zmarłych. Nawet zapach wydawał się podobny.

– Nie wierzę w takie bzdury – odpowiedział. – Ale jeżeli chłopiec wyszedł o świcie i nie wziął ze sobą kurtki, to o ile żyje, może znajdować się w stanie hipotermii.

– O świcie? Wszyscy mówią, że zniknął, kiedy rodzice byli w Sali Królestwa. Ponoć został w domu, bo źle się czuł.

– Matka skłamała. Myślała, że młody nie chce iść na mszę, czy jak to nazywacie, i dlatego uciekł. Starszyzna pytała się, czemu się nie zjawił, a ona, bojąc się konsekwencji dla syna, skłamała, że został w domu z gorączką. Kiedy nie wrócił do chaty po południu, wystraszyła się i zaczęła go szukać – wyjaśnił.

Oboje zamilkli i nagle zapadła między nimi, głucha, krępująca cisza. Ktoś musiał ją w końcu przełamać.

– Sprawdziłeś te dziewczyny, o których ci mówiłam? – Szli dalej i Aśka wolała znaleźć temat do rozmowy, by milczenie nie stało się nazbyt krępujące. By nie pochłonęły jej wyobrażenia o duchu Miłosza błędzącym po osadzie. Albo by nie myśleć za dużo o człowieku, który szedł koło niej.

– Pracuję nad tym. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie wiem. Tymon, tu się naprawdę dzieje coś złego. – Zadrzała. – Co, jeżeli Miłosz się nie znajdzie? Albo znajdą go martwego przy drodze jak Ige? – przeraziła się.

– Sprawdzaliście w domach starszyzny? – Nie przyjmował do wiadomości takiego rozwiązania. Nawet jeżeli grasuje tu morderca, to nie zabiłby w ten sam sposób. To byłoby bez sensu.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Nie wolno nam. To teren, na który nie mamy wstępu bez specjalnego zezwolenia. Żadna z sióstr nie odważy się tam wejść, nie pytając wcześniej o zgodę.

– Ja się odważę. Chodź. – Chwycił ją mocno za rękę i pociągnął za sobą. – Wobec prawa wszyscy jesteśmy równi. I jak mówię, że trzeba przeszukać wszystkie domy, to znaczy, że wszystkie, a nie tylko sługusów – zdenerwował się. Że też w każdej społeczności są ludzie, którzy z własnej woli ślepo oddają się pod rządy innych.

Kiedy zbliżali się do Polany Wiernych, zobaczyli wzmożony ruch. Przy domu Słowińskich zrobiło się zamieszanie. Usłyszeli podniesione, radosne głosy, oklaski i poklepywanie po plecach.

– Jest! Jest! Znalazł się! – wykrzykiwali bracia, nawołując innych poszukiwaczy, by wracali. Kobiety płakały albo śmiały się z radości i wkoło czuć było atmosferę wspólnoty i przywiązania.

Hanter spojrział na Aşkę zdziwiony i pobiegł tam. W środku zastał zapłakaną, szczęśliwą matkę trzymającą w ramionach swojego syna i ojca leżącego krzyżem na ziemi z oddaniem dziękującego Bogu. Miłosz zdawał się być roztrzęsiony i wystraszony. Starał się nie patrzeć na ludzi ani z nimi nie rozmawiać. Jego blond loki wystawały zza matczynego swetra, w którym krył twarz. Hanter podziękował za poszukiwania i wyprosił wszystkich ze środka. Wolał zostać sam z rodziną Słowińskich. Wiedział, że zbyt wielu obecnych może sprawić, że chłopiec nie będzie chciał mówić.

– Miłoszku, ktoś cię skrzywdził? – Ukląkł przy nich, próbując wydobyć przynajmniej te najważniejsze informacje. Jeżeli ktoś taki istniał, trzeba było działać od razu. Być może znajdował się jeszcze w okolicy.

Chłopiec nie odpowiedział. Krył się nadal w matczynych ramionach i nie miał zamiaru ich opuszczać.

– Miłoszku, czy ktoś zrobił ci coś złego? – powtórzył pytanie Tymon.

Miłosz pokręcił przecząco głową.

– Schowałem się – powiedział po cichu trzęsącym się głosem. Cały dygotał, co zważywszy na skąpe ubranie i chłód za oknem, było w pełni zrozumiałe.

– Co zrobiłeś? Schowałeś się? – Hanter próbował zrozumieć.

– Tato mówił, żebym wymyślił sobie pokutę. Poszedłem na zimny dwór i siedziałem tam cały dzień. Nie mogłem nic mówić, bo Bóg by się na mnie obraził i sprowadził cierpienie na moich braci i moje siostry – dukał, szcękając zębami i pociągając nosem. Tymon nie mógł wiedzieć, że to ze strachu, a nie z zimna.

Przerażony ojciec uniósł głowę znad podłogi i spojrzał w kierunku dziecka. Tymon zastanowił się, czy Słowiński bardziej bał się tego, że przez jego głupotę syn mógł stracić życie, zamierzając na mrozie, czy że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności jako rodzic.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Tymon i pogładził chłopca po wyciągniętej gołej nóżce, ale chłopiec momentalnie się odsunął.

Hanterowi coś tu nie pasowało, jakiś element układanki nie znajdował się na swoim miejscu, ale nie potrafił teraz rozeznaczyć o co chodzi. Chłopiec przywarł mocno do matki i zaczął płakać.

– Kocham cię, mamusiu – mówił poprzez łzy. – Kocham cię najbardziej na świecie. I nigdy nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził! – Na przemian łapał bezdech i szlochał. Nikomu nie udało się go uspokoić.

Aniela Słowińska nie wytrzymała napięcia i też się rzewnie rozplakała. Nie było sensu dłużej tam siedzieć. Tymon postanowił wrócić do swojej chaty i odpocząć. Dzień przeżył bardzo intensywnie i musiał zresetować umysł, by rano spojrzeć na wszystko logicznie.

– Możliwe, że przyjdę jutro, porozmawiamy spokojnie – zapowiedział. – Wyśpij się, młody człowieku, i niczym się nie martw. Napędziłeś nam stracha, ale najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło. – Uśmiechnął się i wyszedł.

Wracając po ciemku do swojej kwatery, poddawał się coraz większemu zmęczeniu. Nie tylko fizycznemu, ale i psychicznemu. Spędził niemal tydzień w miejscu, w którym nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym. W którym nie działał telefon, internet, nie było telewizji czy radia. Początkowo zaskoczyło go, że przez kilka pierwszych dni faktycznie odpoczął i zdystansował się od problemów z zewnątrz, ale teraz czuł się jak więzień. Odizolowany, pozbawiony możliwości spontanicznego

kontaktu z rodziną i przyjaciółmi, odcięty od wszelkich rozrywek i przyzwyczajzeń. Zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że ludzie wytrzymują tu latami. Chyba faktycznie musi chodzić o głęboką, niepodważalną wiarę, bo inaczej nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek chciał tak żyć. Noc była ciemna. Z oddalonych zakątków osady wracali do domów ostatni poszukiwacze. Ale większość znajdowała się już w swoich chatach. On też marzył tylko o tym, by przyłożyć głowę do poduszki i odpłynąć w niebyt.

- Przestań się szarpać, do cholery, myślisz, że kim ty tu jesteś?

Usłyszał stłumiony, choć agresywny głos i szamotanie za winklembudynku. Przystanął jak wryty i nasłuchiwał.

- Może i masz tu jakiś pieprzony immunitet, ale nie potrwa to długo, a wtedy zobaczysz, że znajdę cię i dokończę to, co zacząłem - obiecał z furją.

Tymon rozpoznał Marcina Zabłockiego i jego serce od razu zaczęło pompować krew ze zdwojoną siłą. Ten gnój znowu kogoś napastował. Zmarszczył czoło, podwinął rękawy i wyłonił się zza zakrętu. Widząc przypartą do ściany Aşkę, wpadł w szał. Nie mógł i nie chciał się opanować. Momentalnie doskoczył do mężczyzny, odciągnął go na stronę i strzelił mu w twarz z taką siłą, że tamten upadł na ziemię. To Tymona nie powstrzymało, bił go i kopał jeszcze jakiś czas, musząc rozładować złość, dopóki Aśka go nie odciągnęła.

- No dalej, wstawaj, pieprzony gwałcicielu - starał się nie krzyżeć. Nie zamierzał wzbudzać sensacji, ale trudno było mu się opanować. - No dalej!

- Ta kurwa nie jest tego warta - wymówił słabym głosem Zabłocki, ocierając krew kapiącą mu z ust. Zdawał się ledwo żywy, a mimo to nie ustępował. I wtedy dostał takiego kopniaka w jaja, że zawył z bólu.

- Spróbuj choć raz się do niej zbliżyć na odległość mniejszą niż cztery metry, a cię zajebię - obiecał, pochylając się nad nim Tymon. - Chodź! - Wyciągnął rękę w kierunku kobiety i zabrał ją do swojego domu. W tej chwili miał głęboko w dupie tutejsze zasady.

Poniedziałek, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Masz chwilę? – Jakub Zdanowicz zapukał do drzwi, za którymi siedziała Olga.

– Tak, całe miliony chwil! – Wyszczrzyła zęby i wskazała palcem na stos ułożony z akt na jej biurku. Był isticie imponujący.

– Prokurator Szatanik kazała ci się z tym zapoznać? – Wytrzeszczyła oczy w zdumieniu. Słyszał o niej niejedno, choć sam nie miał jeszcze przyjemności pracować z nową królową jeleniogórskiej prokuratury.

– A jakże – przyznała Olga, odchylając się na obrotowym krześle. Rzykowała, bo wysłużony fotel na kółkach mógł się zaraz przewrócić. – Nie znając wcześniejszych metod działania sprawy, czyli sprzed dziesięciu lat, bo Czerwiński to recydywista, nie będę wystarczająco skuteczna przy jego ściganiu – wyrecytowała, udając jej głos. – Ale palicho z nim. Co masz? – Spojrzała na grubą, czerwoną teczkę w jego dłoni. Kiedy zleciła mu zebranie danych, nie spodziewała się, że zrobi to tak szybko ani że znajdzie aż tyle.

– Posprawdzałem wszystko, o co prosiłaś, i poszedłem trochę dalej. – Usiadł koło niej na wolnym krześle. Nie wyglądał jak policjant. Raczej jak student ostatniego roku jakiejś technicznej uczelni, przychodzący do swojego promotora złożyć pracę magisterską. Ruda, zmierzwiona czupryna, dżinsowa kurtka i jakiś taki nonszalancki, luzacki styl bycia. To z pewnością odróżniało go od innych funkcjonariuszy. A już na pewno od innych informatyków, którym bliżej było z wyglądu do facetów z tłustymi, przylizanymi kitkami i koszulami w kratę.

– O, Zdanowicz, młody człowieku – znów zacytowała wspomnianą już wcześniej prokurator Szatanik. – Być może będą z ciebie ludzie. – Zaśmiali się oboje.

– Słuchaj, tu masz dane wszystkich trzech mężczyzn: Alberta Mleczi, Marcina Zabłockiego i Kazimierza Durana. Zwłaszcza ich stan majątkowy, który no – zagwiżdżał przeciągle – mógłbym określić właśnie tak. Co więcej, wszyscy trzej założyli pięć lat temu fundację Osada, która, jak się zapewne domyślasz, gromadzi fundusze na rozwój i poprawę jakości życia mieszkańców. Przejrzyj w wolnej chwili – rzucił z sarkazmem, zerkając na jej zawałone biurko.

– Jaaasne – odpowiedziała przeciągle.

– Ale takich rewelacji mogliśmy się spodziewać. Natomiast to, co mnie zaciekało, to sprawa tych dziewczyn, Justyny i Kingi. W urzędach stanu cywilnego nie ma wzmianki o tym, by wyszły za mąż, zmieniały dane osobowe czy rodziły dzieci. Nigdzie nie znalazłem też choćby mandatów za parkowanie przez ostatni rok. Nie są zameldowane nigdzie w Polsce, to znaczy, wiadomo... – Zacerpnął powietrza. – To są popularne nazwiska, ale po sprawdzeniu wszystkich danych okazuje się, że nie o tę Sawicką i Oleś nam chodzi. Nie znalazłem również informacji o zatrudnieniu.

– A ludzie w osadzie nie mają meldunku? – zainteresowała się.

– Mają, ale one zostały wymeldowane przez właściciela z powodu wyprowadzki – wyjaśnił.

– Nie przez rodziców? – Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego badawczo.

– Nie. Były już pełnoletnie, a ich rodzice nie są właścicielami domów, w których żyją – rzucił jako ciekawostkę.

– A kto jest? – dociekała.

– Różnie. Po części ci trzej, ale głównie jakiś Antoni Maurowski. To czubek całkowicie odklejony od rzeczywistości. – Jakub przewrócił oczami. – Facet stoi na czele Kościoła Dzieci Dnia Apokalipsy w Polsce. Ma się za cholernego proroka. Czasem przyjeżdża do Jeleniej na takie jakby wizytacje. Namawia do życia w czystości i ubóstwie, a sam podróżuje klasą biznes i posiada kilka mieszkań w ciepłych zakątkach świata. Działka, na której znajduje się osada, należy do niego. W wolnej chwili – odchrząkał znacząco – wejdź sobie na TED-a. Umieścił tam bardzo wiele niezwykle ciekawych przemówień.

Olga tylko szerzej otworzyła oczy ze zdziwienia.

– Ma nawet wypasione ranczo tu blisko, w lasach koło Borowic.

– Tych Borowic przy Jeleniej Górze?

– No – potwierdził. – Ale nie on jest w tej sprawie najważniejszy, a znikające dziewczyny – zawrócił rozmowę na właściwy tor.

– Czyli co? – Olga się zastanowiła. – Hanter ma rację, sugerując, że mogło spotkać je coś złego?

– Wszystko możliwe. Obie dziewczyny zniknęły krótko po swoich osiemnastych urodzinach, w odstępie około sześciu miesięcy. A przynajmniej tak podał Albert Mleczek podczas wymeldowania w urzędzie. Myślę więc, że albo wyjechały za granicę, chcąc uciec jak najdalej od tego całego syfu, albo zabójca czekał na to, by osiągnęły odpowiedni wiek, bo wtedy można powiedzieć, że uciekły i nie chcą być znalezione.

– Hm... Ciekawe – przyznała. – Coraz ciekawsze...

– Idąc dalej tym tropem... – Zawiesił głos.

– Poszedłeś dalej? Kurczę, Kuba, stajesz się przodownikiem pracy – pochwaliła go i od razu poczuła zawód samą sobą. Przez zmęczenie życiem osobistym nie miała już takiej werwy do pracy jak kiedyś.

– Miałem wczoraj spokojny dyżur, to poszperałem. I jak już tak szperałem, to stwierdziłem, że wyszukam inne podobne przypadki, ale nie z osady.

– W sensie?

– Sprawdziłem zgłoszenia zaginięć dziewczyn w podobnym wieku z Jeleniej Góry i okolic. Ludzie z sekty mieszkają też w mieście, myślałem, że coś znajdę. Ale nie. Od nich nikt już nie zaginął. Pamiętasz sprawę Agaty Kuriaty?

– Tej zaginionej siedemnastolatki z Przesieki?

– Właśnie. Wyszła z domu dwa lata temu i do tej pory nie wróciła. Nie mamy pojęcia, co się z nią stało. Dziewczyna po prostu wyparowała.

– No i co z nią? – Olga pochyliła się w stronę aspiranta.

- Chodziła do klasy z Justyną Oleś, czyli tą zaginioną z osady. - Postukał palcem w teczkę z jej danymi.

- O cholera. Coś jeszcze?

- Półtora roku temu sąsiedzi zgłosili zaginięcie młodej dziewczyny z Jeleniej Góry. Dziewiętnastolatka Aneta Boładź. Wyszła na spacer z psem i nie wróciła. Pies też nie.

- Nie miała rodziny?

- Nie. Mieszkała sama. Przeprowadziła się z jakiejś wsi pod Poznaniem. Pozostałe dziewczyny ze zgłoszeń o zaginięciu zostały odnalezione. Żywe lub martwe... - Westchnął, przypominając sobie sprawę z dusicielem.

- Czy Agatę i Anetę łączyło coś z Dziećmi Dnia Apokalipsy?

- Zupełnie nic.

- Kurczę... - Westchnęła. - Trzeba się temu przyjrzeć bliżej. Sprawa zaczyna się robić, jakby to ująć, rozwojowa - tym razem zacytowała bohaterkę filmu Kogel-mogel, który wczoraj wieczorem obejrzała sobie dla relaksu w oczekiwaniu na wieczorny telefon od męża, który i tak nie zadzwonił. - A o tym Jacku Szulinie coś wiesz?

- Nic ciekawego. Normalny młody człowiek. Niekarany. Niedawno stracił rodziców i mieszka sam. Nie mamy nic w policyjnym systemie, co mogłoby nas zaciekawić z kryminalnego punktu widzenia. Jest czysty.

Poniedziałek, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry

Potwór wszedł do ubojni i wciągnął w płuca wilgotne powietrze. Pachniało ziemią, pleśnią i krwią. Zastygł na chwilę w bezdechu i zamknął powieki. Wypuszczając powietrze, otworzył oczy. Poczł rozchodzące się po ciele drobne dreszcze. „Przyjemne uczucie” – pomyślał. Bardzo przyjemne. Podszedł do starego, wykafelkowanego, długiego stołu. Lata swojej świetności miał już dawno za sobą, ale to bez znaczenia. Wciąż znakomicie spełniał swoją rolę. Wyposażony w przesuwany mechanizm, pozwalający na przemieszczanie się w jedną i drugą stronę metalowej, szybko obracającej się tarczy, stół nadal był sprawny. Z łatwością przecięłby kości każdego, największego nawet zwierzęcia. Opuszkami potwór dotknął zastygniętej na ostrzu kropli krwi. Zmrużył oczy. Rozcierając krew kciukiem po palcach, miał wrażenie, że ledwie widzialna czerwona maź rozpuszcza się na jego skórze pod wpływem ciepła dłoni. Zbliżył ją do ust i oblizął. Rozkosz, to właśnie poczuł. I wzmożone pożądanie, chęć na więcej i więcej. Był gotów, by znów zapolować. W jego umyśle kiełkowała już nowa wizja, we krwi zaczęła krążyć adrenalina. Lubił ją nazywać hormonem podniecenia i ekscytacji, bo właśnie tak się czuł, kiedy wiedział, że zbliżają się łowy.

Już niedługo znów zapoluje. Najbardziej lubił buntowniczkę. Poskramianie ich z nieugiętej na początku woli walki i siły sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Najpierw obserwował je przywiązane do haków w ubojni przez kilka dni, znęcał się psychicznie, torturował, a kiedy w ich oczach dostrzegał rezygnację, kiedy słyszał, że błagają go o śmierć, spełniał ich prośby. Był panem ich życia i śmierci. Był tym, który jednocześnie odbiera im tchnienie i obdarowuje tak upragnioną ulgą od cierpienia. Podniecenie, które go ogarniało w momencie ostatniego oddechu ofiary, nie da się z niczym porównać. Orgastyczne, ekscytujące

doznanie. Niemal boskie. Zaciśniętą dłońią uderzył się w pierś i odskoczył z bólu. Musi się pilnować. Nie może popełnić żadnego błędu, zwłaszcza teraz kiedy w osadzie prowadzone jest śledztwo.

Silny ból przeszył jego pierś jeszcze raz. Zupełnie jakby ręka, która go bije, nie należała do niego i uderzała go z furją, krzycząc: „Uważaj! Opanuj się! Nie popełniaj błędów!”. Jakby karała go za to, że wczoraj przytargał tu tego chłopca. Skrzyżował ramiona, chcąc powstrzymać samego siebie przed kolejnymi łowami. Okej! Okej! Po prostu nie mógł się powstrzymać. Kiedy zobaczył go pod murem zziębniętego, w samym podkoszulku i przykrótkich szortach, z wyrazem determinacji w oczach, poczuł, że musi go zabrać. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Nie wiedział, dlaczego to robi, nie miał żadnego planu. Zadziałał instynktownie, ale przecież dopuszczanie instynktu do głosu bez przeprowadzenia szczegółowego przygotowania jest głupie. A on nie był głupi. Był inteligentnym i skrupulatnym człowiekiem. I doskonale wiedział, że zabranie Miłosza to błąd. Błąd, który mógłby go dużo kosztować, gdyby nie zadbał o milczenie chłopca.

Ten sam dzień, Polana Wiernych, Karkonoska Osada

Tymon nie rozumiał, co się działo. Dwie minuty temu zapukała do jego drzwi siostra Marlena, jak się przedstawiła, z informacją, że jakaś policjantka czeka na niego przed murem. Nie pozwolono jej wejść, ponieważ brat Albert zakazał wstępu do osady wszystkim ludziom spoza wspólnoty. Ale nie to wprawiło go w stan zadumy, a fakt, że po polanie kręciło się sporo turystów ubranych w ortalionowe kurtki, z plecakami na plecach.

– Coś się dzieje? Jakies pospolite ruszenie? A może wycieczka? – rzucił niby żartem do wychudzonej, na oko trzydziestoletniej kobiety, w beżowej sukience i takim samym płaszczu. Co bardziej religijne siostry w zborze nosiły się zawsze tak samo i czesały włosy w kok lub warkocz, na który wkładały wiązany pod brodą czepek. Zdał sobie sprawę z tego, że żadnej przedstawicielki płci żeńskiej nie widział tutaj z rozpuszczonymi włosami. Oczywiście poza turystkami. Marlena prowadziła go do bramy. Zastanawiał się dlaczego. Przecież całkiem dobrze zna to miejsce i mógł iść sam. Najwyraźniej musiała dostać takie zadanie.

– Niewierni mają nakaz opuszczenia osady – powiedziała z ewidentną satysfakcją w głosie.

– Turyści? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak, bracie, turyści. – Zatrzymała się, kiedy doszli do kamiennego muru. – Masz dziesięć minut. Po tym czasie otworzę bramę i jeżeli cię nie będzie, to ją zamknę i już cię nie wpuszczę – zakomunikowała.

Nie chciał z nią polemizować. Widział, że ta odrobina władzy, którą dostała, sprawia jej niemałą satysfakcję, ale nie miało to najmniejszego sensu. Mógł ją zapytać o to, dlaczego akurat on może zostać, skoro też jest niewiernym, ale przecież ta kobieta wykonywała tylko polecenia.

– Kto wydał takie zarządzenie? – zapytał dla pewności.

– Brat Albert – odrzeka i przekręca klucz w zamku.

Z powodu złej pogody, która nie sprzyjała pogaduchom na dworze, Olga zamruwała na niego światłami swojego niebieskiego volva, zapraszając, by wsiadł do auta.

– Cześć! Przywiozłam ci parę istotnych informacji. Trzymaj. – Przekazała mu opasłą teczkę mieszczącą w sobie kilka mniejszych.

– Od razu konkret. Lubię takie kobiety – zażartował, choć wcale nie było mu do śmiechu. W osadzie coś się działo i obawiał się, czy ta izolacja od świata zewnętrznego nie utrudni mu zadania.

– Nie mam czasu na pierdolety – wyjaśniła dosadnie. – Zarobiona jestem.

– A tak w skrócie? Powiesz mi coś czy od razu zasiąść do czytania?

– Myślę, że to, co w tezcze, musisz przeczytać, by wszystko sobie poukładać, ale zdobyłam też informację, której tam nie znajdziesz.

– Czuję się zaciekawiony. – Spojrzał na nią z ukosa. W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale pani komisarz była całkiem niezłą babką. Szczupła, może trochę nawet za szczupła, o efektownych rysach twarzy i ciemnych, długich włosach. Nie zamierzał jej uwodzić, stwierdził po prostu fakt. Chyba w jego wieku, ale przez notorycznie widoczne zmęczenie wydawała mu się starsza i dojrzalsza niż on.

– Kiedy do ciebie jechałam, zadzwonili chłopcy z drogówki. Poprosiłam ich o przeszukanie kamer z monitoringu miejskiego z nocy, kiedy zabito Ię. Oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem okolic bliskich miejscu zdarzenia.

– I?

– Dokładnie w tym pasie nie ma monitoringu, ale tej samej nocy auto podobne do opisywanego, czyli srebrny mercedes, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty, przejechał dwa razy ulicą Wojska Polskiego. Podążał w kierunku dworca PKP koło godziny dwudziestej, a wracał koło drugiej. Niestety, na samym dworcu kamery nie działają.

– Olga, z całym szacunkiem, ale takich starych aut może być w Jeleniej pełno. Dlaczego w ogóle rozmawiamy o tym konkretnym?

- Pasuje do opisu, ma urwaną gwiazdę i popatrz. - Wyciągnęła telefon i pokazała mu otrzymane w wiadomości zdjęcie. Było niewyraźne, ale Tymon i tak zdołał rozpoznać kierowcę.

- Jacek Szulin? Dobrze widzę? - W jego głowie krążyło teraz milion hipotez i każda stała w sprzeczności z pozostałymi. - Przecież on ma inne auto. Passata, ciemnego chyba. A nawet jeżeli jechał takim, to stacja kolejowa znajduje się zupełnie gdzie indziej niż miejsce wypadku. Nic nam to nie daje.

- Po pierwsze, tak. Z numerów rejestracyjnych wynika, że to Jacek Szulin. Po drugie, chłopak mieszka tu od urodzenia i świetnie zna miasto. Może chciał sobie zapewnić alibi. Orientował się, gdzie jest monitoring. Pojechał w kierunku PKP, by na końcu drogi skręcić w szutrową ścieżkę i zawinąć w stronę osady, trasą bez kamer? No, nie wiem, tak tylko gdybam. Ale sprawdziłam i jest to możliwe, wyjeżdża się drogą na południe przez pobliską wieś.

- Nie wydaje ci się to jednak naciągane? - Sam się zastanawiał. Z drugiej strony co podejrzany robiłby na stacji kolejowej przez sześć godzin?

- Słuchaj, normalnie bym może i go nie podejrzewała, ale chłopak kupił to auto rok temu i dziwnym trafem sprzedał je przed tygodniem. Nie wydaje ci się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności?

- Skurwiel, powiedział mi, że ma passata - Hanter wkurzył się, bo wyszedł na idiotę. Uwierzył przesłuchiwanemu na słowo, a powinien zlecić sprawdzenie tego, skarcił się w myślach.

- I nawet nie skłamał - poinformowała go Olga. - Passata kupił dwa lata temu i nadal jest jego właścicielem. Zapomniał tylko wspomnieć o mercedesie. Ciekawe, nie?

- Cholera, ojciec Igi powiedział mi, że Jacek miał na jej punkcie obsesję i dziewczyna, choć początkowo była mu przychylna, to jednak później zaczęła się go bać i nie chciała dłużej się z nim spotykać.

- No i masz motyw. Nie wiem tylko, czy to nie za proste. Ale z drugiej strony, większość zbrodni przecież właśnie taka jest. Prosta, prymitywna, nieskomplikowana.

- Racja – przyznał.

- To co robimy?

- Możecie go zgarnąć na komendę? Przyjadę na przesłuchanie, jak tylko ogarnę sprawy w osadzie – zaproponował. – A co z tymi dziewczynami? Bo jeżeli to ślepy zaułek i wszystko z nimi okej, to może bez sensu, żebym dalej siedział wśród tych świrów?

- No i to kolejny temat – powiedziała, głęboko wzdychając.

- Nie znalazły się – od razu odgadł.

- Nie. A do tego zaginęły jeszcze dwie kolejne w tym samym wieku co dziewczyny należące do sekty – dodała.

- Hm... I tu pojawia się pytanie, czy taki Jacek Szulin mógłby się okazać seryjnym mordercą.

- Nie znam go, nie podpowiem. Jakby co, współpracujemy ze świetną panią psycholog. Może mogłaby pomóc, chociaż bez odnalezienia ciał nie wiem, czy jest w stanie sporządzić profil psychologiczny sprawcy.

- Psychologa to ja będę potrzebował, jak stąd wyjdę – skwitował, sprawdzając na zegarku, ile czasu minęło. Spozrzegł, że ustalone dziesięć minut właśnie dobiegło końca. – Słuchaj, przejrzy te teczki i w tej sytuacji chciałbym jeszcze pojechać do faceta, który się podpalił. Może powie nam coś więcej. Skoro obarczał niewiernych winą za wszystkie plagi zesłane na osadę, chcę wiedzieć, co według niego się tam dzieje. Może rzuci jakieś nowe światło na śledztwo.

- Okej. Nie zaszkodzi przepytac. Tyle że w tej sprawie im głębiej gmerasz w szafie, tym więcej trupów znajdujesz. Aż strach pomyśleć, czym to się skończy.

- Trzymaj! – Wyciągnął z kieszeni małą, niebieską krótkofalówkę.

- Co to? – zdziwiła się.

- Walkie-talkie. Niby dziecięca zabawka, ale ma zasięg do pięciu kilometrów. Za murem nie działa sieć komórkowa, ale takie krótkofalówki owszem. Jak będziesz chciała pogadać, podjedź pod mur i przyciśnij ten przycisk.

- Dobrze to wymyśliłeś – pochwaliła go, z uznaniem kiwając głową.

– Jakoś trzeba sobie radzić – pożegnał ją z uśmiechem.

Pogratulował sobie w myślach, że wpadł na ten pomysł, kiedy ostatnio wyszedł z osady. Kupił dwa komplety. Jeden, by być w kontakcie z policją, drugi by dać go Aśce. Miała niedługo wyjechać, ale wolał, by do tego czasu pozostawała bezpieczna. Przekazał jej urządzenie wczorajszej nocy po incydencie z Marcinem. Teraz był o nią spokojniejszy.

Ten sam dzień, budynek A, Karkonoska Osada

Aśka dotknęła schowanej w kieszeni krótkofalówki. Obszerna spódnica doskonale kryła małe urządzenie i kobieta pierwszy raz ucieszyła się, że zamiast obcisłych legginsów, do których była przyzwyczajona na wolności, tutaj musiała nosić właśnie taki strój. O dziwo, po ostatniej nocy nie została za karę oddelegowana do sprzątanania obory, a jedynie toalet i sali dysput w budynku A. Przyszła wcześniej niż powinna, bo nie mogła spać. Woląa też zająć czymś ręce, by nie myśleć za dużo. Pomieszczenia w budynku pozostawały jeszcze puste i Aśka uznała, że to idealny moment na porannego papierosa. Oczywiście palenia w osadzie surowo zakazywano, ale jej udało się przemyścić jedną paczkę, z której zostały już tylko trzy mentolowe sztuki. Schowała się w pomieszczeniu na miotły, gdyby któraś z dwóch innych oddelegowanych do sprzątanania siostr podobnie jak ona przyszła wcześniej. Otworzyła małe, wąskie okienko i odpaliła papierosa. Już z pierwszym głębokim zaciąganiem się poczuła rozchodzącą się po ciele błogość. W życiu poza murem nie przepadała za papierosami, ale jako młoda dziewczyna uwięziona w sekcie paliła dosyć często. To był jej wyraz buntu, a zarazem czynność przynosząca chwilową ulgę. Po wypaleniu pierwszego zastanowiła się, czy nie skusić się na jeszcze jednego, ale doszła do wniosku, że nie może się ich tak szybko pozbyć. Nie wiedziała, ile jeszcze będzie musiała czekać na widzenie z rodzicami. Zaczęła nawet rozważać, czy powinna czekać. Bo właściwie co jej to da? Kilka zamienionych słów, może nawet jakiś uścisk czy wspólnie zjedzony posiłek? A potem znowu długie lata rozłąki, bo przecież nie zamierzała żyć w tym syfie. Przez sekundę przemknęło jej przez myśl, że będzie to boleśniejsze przeżycie niż obecne milczenie, do którego przywykła. Szybko odgoniła to spostrzeżenie. Nawet jeżeli miałoby tak być, to chce

się z nimi pożegnać. Ostatni raz usłyszeć ich głos, poczuć bliskość, ciepło skóry, uścisk ramion, przytulić się. Jeden, ostatni raz.

Przez kratkę od wentylacji doszły ją jakieś szepty. Podniosła się z podłogi i nasłuchiwała. Dziś sprzątała z dwiema młodymi dziewczynami. I to pewnie one zaczęły już pracę. Aśka weszła po cichu na stół ustawiony pod ścianą i przysunęła ucho do kratki. Teraz słyszała niemal wszystko dokładnie.

– Mówię ci, że się go boję – mówiła poważnym głosem jedna. – Podobno ma niedługo przyjechać.

– Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. Zrobił ci coś kiedyś? – podpytywała druga.

– Nie, ale boję się, że zrobi. Zawsze patrzy na mnie jakoś tak dziwnie. Wiesz, jak ten chłopak ze *Strachu*, co się w Reese Witherspoon kochał, jak mu tam było?

– Ciszej, zwariowałaś! – zganiała ją koleżanka.

– No co, przecież jesteśmy same.

– A jak ktoś przyjdzie i usłyszysz, że oglądamy za murem niedozwolone filmy, zamiast zbierać owoce, to wiesz, jak nas ukarzą? – zapytała szeptem, który, o dziwo, rozchodził się po pomieszczeniu wyraźniej niż normalny głos.

– Przecież nikogo tu nie ma.

– A zresztą. Głupia jesteś. Ja to bym chciała, żeby prorok tak na mnie patrzył – wyznała rozmarzona.

Potem obie dziewczyny umilkły. Najwyraźniej wzięły się do sprzątanania. Aśka zeszła ze stołu i po cichu wyszła ze schowka. Zanim przyszła do sióstr, trzasnęła głośniejszymi drzwiami wejściowymi, żeby pomyślały, że dopiero weszła do budynku.

– Bóg jest sprawiedliwy – zaszczębiotała radośnie.

– A Jego sprawiedliwość osiągnie i nas – odpowiedziały chórem.

– Jak się macie, siostry?

– Cieszymy się, że do nas wróciłaś – powiedziała ta, w której głosie Aśka wyczuła rozmarzenie.

- Ja też się cieszę, że odnalazłam drogę do Pana - zapewniła. - A jak się dziś żyje młodym kobietom w osadzie?

Zaczęła zadawać pytania. Dużo pytań. Starła się, żeby rozmowa przebiegała naturalnie i bez presji. Dobrze wiedziała, że ludzie w osadzie dostrzegali więcej, niż mogli ujawnić, ale ona umiała świetnie czytać między wierszami. Poza tym siostra siostrze zawsze coś podszeptnie. O wiele więcej niż policjantowi zza muru.

Popołudnie, dom Tymona, Karkonoska Osada

Brat Albert wszedł bez pukania, co wprawilo Hantera w konsternację i przyspieszyło i tak już wysoki, po paru ostatnich odkryciach, puls. Nie zdążył nawet pochować porozkładanych na podłodze akt. Jednak przewodniczący starszyny nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Usiadł na krześle przy stole z poważną miną i zaczął mówić.

– Widzę, bracie, że pracujesz. To dobrze. Ufam, że jesteś już bliski znalezienia sprawy. – Spojrzał na policjanta z wyczekiwaniem.

– Zabójcy Igi, tak. Ale jeżeli chodzi o pobicie siostry Joanny, to radzę ci, bracie, poszukać wśród swoich – odpowiedział bez ogródek Tymon.

– Wady i zalety brata Marcina znam doskonale – zaskoczył go. – Jestem pełen skruchy i zapewniam, że zostanie mu wymierzona odpowiednia kara. Nie chciałem wprowadzać cię w błąd, sam dowiedziałem się niedawno – wytłumaczył. – Zrobię z tym porządek.

– Mam nadzieję, że kara będzie adekwatna do czynu – naciskał. Choć jakoś nie wierzył w to, że Marcin dostanie to, na co zasłużył.

– Będzie. Ale ty musisz niedługo wyjechać. – Ton jego głosu był surowy, ale nieobcesowy. – Obiecałem to Bogu. Obiecałem Mu, że jeżeli Miłosz znajdzie się cały i zdrowy, wszyscy niewierni wyjadą stąd następnego dnia.

– Bóg z pewnością chce, żebym znalazł zabójcę – polemizował. Był nieco zirytowany wizytą Alberta. Czy przylaźł tutaj tylko po to, by go poganiać i dać do zrozumienia, że nie jest mile widziany?

– Bóg zna zabójcę i ukarze go na sądzie ostatecznym. – Albert wstał z krzesła i zwrócił się w kierunku wyjścia. – Masz dwa dni. Po tym czasie musisz wyjechać. Nie możesz tu dłużej przebywać.

– Nie. – Tymon też wstał i ruszył ku niemu. – Nie wydaje mi się, żebys to był ty, choć mogę się mylić. Ale obiecuję ci, że dowiem się, co tu się

dzieje, bo nie chodzi już tylko o jedną Igę Dąbrowską, ale również o inne zaginione dziewczyny – oświadczył. – Umowa jest taka, że nie wtrącasz się, współpracujesz i dajesz mi swobodnie pracować.

Oczy brata Alberta stawały się coraz okrągłejsze, a twarz coraz silniej wyrażała zdziwienie i dezaprobatę.

– Bracie Tymonie, chyba należałoby zakończyć twoją wizytę u nas już dziś – przerwał, chcąc pokazać, kto rozdaje karty na tym terytorium.

– Dobrze, ale wtedy wprowadzę ci tu sztab ludzi z technikami kryminalistycznymi, prokuratorem i całym zastępem śledczych i obiecuję, że nie wyjdą stąd aż do rozwiązania sprawy.

Dopiero teraz zobaczył w rozmówcy niepewność. Mężczyzna się wahał. Ważył w myślach, które rozwiązanie będzie dla niego lepsze i czy groźba rzucona przez komisarza ma szansę zostać zrealizowana.

– Jestem również święcie przekonany, że urząd skarbowy bardzo ucieszyłby się, gdyby poznał te informacje, które znam ja – wyszczerzył się do przywódcy.

– Szantaż jest narzędziem tchórzy – odpowiedział tamten.

– Być może. Ale nie boję się ciebie, ale tego, co potrafisz zrobić z umysłami ludzi. Za pięć minut chcę tu mieć klucze do domów, w których mieszkały zaginione. Łącznie z Igą. Ta chata, do której przeprowadziliście jej rodziców, mnie nie interesuje. Chcę zobaczyć pokoje dziewczyn i porozmawiać z rodzicami i znajomymi Justyny Oleś i Kingi Sawickiej. Dasz mi też dwa komplety kluczy do bramy wjazdowej. Nie zamierzam prosić się o pozwolenie na dziesięćminutowe wyjścia. – Zacerpnął tchu. – I jeszcze jedno – oznajmił stanowczo i bezdyskusyjnie – pozwolisz rodzicom Aśki na rozmowy z córką. Takie są moje warunki, inaczej będziesz tu miał niezły cyrk, a wszystko pięknie przedstawione w lokalnych i krajowych mediach.

Brat Albert wydawał się być w szoku. Ewidentnie potrzebował jeszcze chwili, by przyswoić sobie wyartykułowane przed chwilą żądania. Zawahał się, czyby nie zaprotestować, pokazać temu młokosowi bez krzty wiary, jak należy postępować, ale nie był głupi. Wiedział, że nie może pozwolić sobie na skandal w osadzie. Zbyt wiele rzeczy mogłoby wyjść na

jaw, a urażona duma przywódcy nie stanowiła wystarczającego powodu, by zaryzykować.

- Dobrze - powiedział z rezygnacją. - Zakończ sprawę i wyjedź jak najszybciej.

Po kilku minutach klucze, wraz z zaznaczonymi na mapie obiektami, do których pasowały, leżały na stole Hantera. Dopiero teraz komisarz poczuł się w swoim żywiole.

Popołudnie, dom Państwa Słowińskich, Karkonoska Osada

Wnocy chłopiec dostał gorączki. Może nie jakiejś bardzo wysokiej, bo było to trzydzieści osiem stopni, ale wystarczyło, żeby Miłosz spędził cały dzień w łóżku, trzęsąc się i co rusz wzywając mamę.

– Będzie dobrze, kochanie – mówiła, całując go w czoło, na którym co jakiś czas kładła zimny okład, szmatkę nasączoną wodą z octem – jej niezawodny sposób na zabicie temperatury.

Ale tym razem pomimo ochłodzenia temperatury ciała o jeden stopień Miłosz ciągle się trząsał. Zachowywał się też inaczej niż zwykle, jakby bał się rozłąki z matką. Obsesyjnie trzymał się jej spódnicy, nie pozwalając oddalać się nawet na chwilę, a o wyjściu z domu nie było już w ogóle mowy.

– Nie odchodź! – Łapał ją za rękę i płakał. – Zostań ze mną, mamusiu, proszę.

– Pójdę tylko po warzywa do zupy, żeby zrobić ci pyszny, zdrowy rosółek – zapewniała, całując go w czoło.

Ale on zaczynał wtedy krzyczeć i tak przeraźliwie płakać, że nie mogła go zostawić. Przytuliła mocno syna i pozwoliła, by pomimo południowej pory zasnął w jej ramionach. Ewidentnie tego potrzebował. Sen to najlepsze lekarstwo. Jednak sen Miłoszka nie był spokojny i kojący. Co chwila chłopiec wiercił się, powieki mu drgały i wydawał dziwne dźwięki, jakby śniło mu się coś bardzo, bardzo złego. Zastanawiała się wtedy, czy go nie obudzić, nie powiedzieć, że przecież ona tu jest i wszystko będzie dobrze. Ale kiedy na chwilę się uspokajał, żal jej było go budzić i odbierać mu tak potrzebny w chorobie odpoczynek.

Nie mogła wiedzieć, że kiedy tracił ją z oczu, przenosił się do starej rzeźni, że znowu przebywał z potworem i na nowo doświadczał wszystkiego, co wydarzyło się wczoraj.

- Jesteś grzecznym i ładnym chłopcem – powiedział potwór, po czym kucnął i wyciągnął do niego dłoń w czarnej rękawiczce. Musnął jego delikatną, gładką skórę i wydał dziwny dźwięk – coś na kształt jęku, jakiego Miłosz jeszcze nigdy nie słyszał.

- Nie! – wrzasnął nagle potwór, zabierając rękę. – Nie możesz!

Przestraszony chłopczyk przytulił mocniej Bezę do siebie.

Mężczyzna poderwał się z miejsca i zaczął krążyć po pomieszczeniu, wymawiając zdania niemające dla chłopca żadnego sensu.

- Nie, to chore. Nie możesz! Nie teraz, kiedy w osadzie jest policja. Ty pierdolony zbrodźcu! – Ciemna postać przystanąła i zaczęła z całej siły uderzać się w klatkę piersiową. Miłosz był przerażony. Ale dopiero kiedy potwór znów na niego spojrzął, chłopiec zamarł w bezruchu. Przestał nagle płakać, wiercić się, a nawet myśleć. Z każdym krokiem stawianym przez potwora w jego kierunku omiatało go lodowate powietrze, które powodowało coraz silniejsze unieruchomienie, wręcz skostnienie jego ciała.

- Kogo najbardziej kochasz na świecie, mój mały? – zapytał znów łagodnie, ale tym razem Miłosz nie pomyślał, że potwór jest dobry. Uznał, że upiorny, przerażający i budzący grozę. Miłosz zaczął się trząść z zimna i strachu.

- Mamusię – odpowiedział i poczuł, że wzbiera w nim ogromna tęsknota i żal. Tak bardzo chciał być teraz w ramionach mamy. Tak bardzo chciał poczuć jej ciepło.

- Powiem ci, co zrobimy – oznajmił potwór. Jego głos nadal brzmiał spokojnie i Miłosza bardzo dziwiło to, że człowiek może tak szybko zmieniać nastrój. Niczym aktor w teatrze kukielkowym, do którego poszedł w pierwszej klasie, w czasach, kiedy jeszcze rodzice mu na to pozwalali. Tak naprawdę to był jego pierwszy i ostatni raz w tym miejscu. Potem zakazano mu wszelkiej rozrywki. Ale i tak milion razy bardziej wolałby być teraz w domu niż tutaj. Nawet w tym nowym, surowym i niefajnym domu, gdzie wszystko było drewniane, łóżko niewygodne i nie miał swojego pokoju, by się pobawić. „Już nigdy nie będę się na nic

skarżył” – przysiągł Bogu w myślach. – „Tylko, błagam, zabierz mnie do mamy”.

– Zawiozę cię do domu – oznajmił potwór i Miłosz po raz kolejny w życiu doznał mocy Pana. – Ale nie możesz nikomu powiedzieć, że tu byłeś, rozumiesz? – Głos potwora stał się nagle surowy.

– Nie powiem, przysięgam, że nie powiem – zarzekał się.

Potwór wziął od niego białą, puchatą kulkę i pogłaskał ją po grzbiecie. Znowu spojrzał na chłopca.

– Wiesz, co się stanie, jeżeli powiesz, że tu byłeś? Albo że mnie spotkałeś? Wiesz, co się stanie z twoją mamą?

Przez ciało chłopca znowu przebiegły zimne, nieprzyjemne dreszcze. Chciał zabrać Bezę z jego rąk, bo widział, że potwór za mocno ją ściska, a piesek zaczyna piszczeć z bólu. Ale bał się ruszyć. Bał się, że jego reakcja może jeszcze bardziej zaszkodzić Bezie. A przede wszystkim bał się, że jeżeli to zrobi, to potwór nie zawiezie go do mamy.

– Jeżeli komukolwiek powiesz, że mnie spotkałeś, twojej mamie stanie się to! – Ścisnęła mocniej kark psa.

Po starej rzeźni rozległ się odgłos łamanych kości. Odbijał się od ścian i ranił uszy chłopca. Ale dopiero widok truchła zwierzęcia, krojonego przez tarczę maszyny znajdującej się na stole, sprawił, że Miłosz stracił przytomność.

– Miłosz... Synku! Synku! – Docierało do niego z daleka. Przetarł oczy i zobaczył pochyloną nad sobą mamę. Miała zmartwioną minę i głaskała go po głowie.

– Mamusiu! – Rzucił się na nią z płaczem. Tulił najmocniej, jak umiał, wdychał tak dobrze znany zapach jej ubrań. A mimo to nadal czuł zagrożenie.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że już po wszystkim, że jest bezpieczny. Potwór przywiózł go wczoraj z powrotem do osady i pozwolił mu wrócić do domu.

– Mamusiu, nie zostawiaj mnie. Nigdzie nie idź! – Przyłgnał do niej jeszcze mocniej. – Musisz być ciągle ze mną...

Ten sam dzień, dom Justyny Oleś, Karkonoska Osada

Tymon Hanter nie musiał używać klucza, który zostawił mu brat Albert. Teresa Oleś już na niego czekała, uchyliwszy drzwi. Kiedy wszedł do środka, gotowała właśnie wodę na herbatę i ściągała z gazowego palnika miedziany imbryk. Nie spodziewał się tego. Był przekonany, że po wyprowadzce córki rodzina również zamieszkała w innym domu, tak jak rodzice Igi.

– Mam nadzieję, że się, bracie, napijesz – powiedziała, po czym zalała wrzątkiem wrzucone do kubka suszone owoce.

– Dziękuję, bardzo miło z pani strony. – Rozejrzał się po chacie. Znów czuł się policjantem, a nie udającym turystę potencjalnym wiernym, wolał zachować oficjalny ton. Pomieszczenie zdawało mu się większe od domu państwa Dąbrowskich. – Czy Justyna miała swój pokój? – zapytał zaintrygowany, widząc dwie pary drzwi przy bocznej ścianie salonu.

Kobieta uśmiechnęła się smutno i usiadła obok. Nie spieszyła się. Nie była też przestraszona i nie wydawała się przesadnie religijna. Właściwie nie mógł odgadnąć, jaka jest, ale bardzo go ciekawiła. Z pozoru wtopiona w społeczność, a jednak do niej niepasująca.

– Proszę. – Podała mu herbatę i upieczone dzień wcześniej ciasto. – Tak, Justyna miała swój pokój. Taki był warunek naszej przeprowadzki tutaj – wyjaśniła.

– Warunek? Nie rozumiem. Myślałem, że wszyscy mają nakaz życia w jednakowych warunkach. Że wszyscy są równi i tak dalej.

– Wszyscy, którzy wyrażają na to zgodę – powiedziała spokojnie.

Wyglądała na jednocześnie pogodzoną z losem, jak i zbuntowaną. Tymona uderzyło to spostrzeżenie. Ta dwoistość budziła jego zainteresowanie.

– Wy się nie zgodziliście... – Nie dokończył. Chciał dać jej szansę, żeby sama opowiedziała mu o sobie, o tym, co ją boli, zamiast przekazywać przygotowane i ustalone ze starszyzną treści. Brat Albert musiał napomknąć, że odwiedzi ją komisarz. Inaczej nie czekałaby na niego.

– Widzisz, za murem żyliśmy w dostatku. Mieliśmy piękną willę, mój mąż był biznesmenem. Flota jego firmy spedycyjnej jeździła do dwudziestu europejskich krajów. Niczego nam nie brakowało. Ale ciągle nie było go w domu. Z biegiem lat odkrywałam coraz to nowsze romanse, robiłam awantury. Justynka dorastała w dobrobycie, ale każdy dzień stanowił dla niej udrękę, bo widziała nieszczęśliwych i ciągle kłócących się rodziców.

Tymon przewrócił oczami. Początkowa nadzieja na szczerą rozmowę przerodziła się w pewność, że ta kobieta również uraczy go historią zbawienia i odkrycia własnego szczęścia poprzez wstąpienie do sekty. Jak to, do cholery, jest możliwe, że wszyscy ci ludzie gadają, jakby ich mózgi uległy zac zadzeniu. Obiecał sobie, że jeżeli za dwie minuty nie usłyszy żadnych konkretów, przerwie jej. Tymczasem Teresa mówiła dalej.

– Byłam bardzo samotna. Wojtka nigdy nie było w domu, bo dużo podróżował w interesach, Justysia po szkole jeździła na niezliczone zajęcia pozaszkolne. A ja siedziałam sama, w pustej złotej klatce. Mąż nie chciał, żebym pracowała. Wolał mieć pewność, że mogę się poświęcić wychowaniu dziecka. Ale ja zamiast korzystać z możliwości, jakie dawało mi życie, czułam się coraz bardziej przygnębiona. Popadałam w depresję, zaczęłam pić i przestałam kontrolować swoją agresję. Poszłam po leki do psychiatry i to on powiedział mi o takiej społeczności, w której będę mogła się odnaleźć.

– Mówi pani o doktorze Robercie Gawryle? – Pierwszy raz podczas tej opowieści Tymon zaciekał się tym, co mówiła.

– Tak, znasz go, bracie? – Teresa się zdziwiła.

– Rozmawiałem z nim, prowadząc sprawę zabójstwa Igi Dąbrowskiej.

Gospodyni wzdrygnęła się, jakby po jej ciele przeszedł dreszcz bólu lub strachu.

- Więc to jednak prawda - powiedziała ze smutkiem głębszym, niż mógł się spodziewać. - Kobiety w osadzie mówią dużo, choć nie zawsze konkretnie. Ale widzę, że w tej kwestii niczego nie pomyliły...

- Tak. Iga została zamordowana i podejrzewam, że było to zabójstwo z premedytacją, choć jeszcze ustalam szczegóły zbrodni.

- I myślisz, że moja Justynka też, prawda? - Spojrzała na niego, jakby doskonale wszystko rozumiała, jakby wiedziała więcej od niego i mogła mu wiele wyjaśnić.

Ta rozmowa nie będzie chyba taka bezowocna, jak się obawiał.

- Nie wiem, ale istnieje takie prawdopodobieństwo - przyznał. - A ty co myślisz? - przeszedł z nią na ty. Po ostrej wymianie zdań z Albertem obiecał sobie, że przestanie się bawić w mówienie do obcych ludzi „siostrzo” i „bracie” i zacznie się zwracać per pan i pani. Ale pochłonięty rozmową zapomniał o konwenansach.

- Ja też tak myślę - przyznała.

Oczy Tymona otworzyły się szerzej.

- Justyna była, jaka była - kontynuowała opowieść, a on jej nie przeszkadzał. - Przez swoje trudne dzieciństwo często się buntowała. Nie należała do grzecznych i ułożonych dziewczynek. We wczesnych nastoletnich latach weszła w złe towarzystwo, zaczęła pić i brać narkotyki. Mój mąż wdał się w interesy z jakimś podejrzanym typem zza wschodniej granicy. Zainwestował duże pieniądze i stracił wszystko. Wojtek popadł w paranoję, mówił, że ten człowiek chce od niego więcej pieniędzy, że grozi mu śmiercią. Dobrze, że dom był zapisany na mnie i mieliśmy rozdzielność majątkową, bo jestem pewna, że wszystko byśmy stracili. W tym czasie już od roku chodziłam na spotkania do Kościoła Dzieci Dnia Apokalipsy. Znalazłam tam przyjaciół, wsparcie i odkryłam, że najważniejsza w życiu jest bliskość tych, których kochasz, spokój i bezpieczeństwo, i postawiłam rodzinie ultimatum. Justynie groził pobyt w szpitalu na przymusowym odwyku, Wojtka ścigała mafia. A brat Albert powiedział, że wszystkim się zajmie, że zapewni nam bezpieczeństwo i wsparcie. Postanowiliśmy spróbować być znowu rodziną, ale na innych warunkach. W zamian za miejsce w osadzie i bezpieczeństwo oddaliśmy

dom. Widzę zdziwienie na twojej twarzy, bracie – powiedziała, patrząc na jego mimikę. – Każdy człowiek zza muru by się dziwił, ale była to najlepsza decyzja w naszym życiu. Chyba nigdy wcześniej nie byliśmy ze sobą tak blisko, jak przez pierwsze dwa lata tutaj. Razem, z dala od cywilizacji, narkotyków, zbirów i różnych przekrętów. Zdani na własne towarzystwo. Okazano nam wiele wsparcia, pokazano, jak można żyć inaczej, spokojniej i w pełni szczęścia. Wcześniej miałam pieniądze, ale nie miałam rodziny. To tutaj ją odzyskałam.

– W takim razie... – Tymon nie wiedział, jak sformułować pytanie.

– Dlaczego się posypało? Dlaczego nie wyglądam na szczęśliwą? Dlaczego uważam, że zabito mi dziecko? – dokończyła Teresa.

– Tak – potwierdził. – Nie rozumiem.

– Ja też nie... – Westchnęła. – Ale coś tu się dzieje złego.

– Co masz na myśli?

– Ludzie z osady są dla ciebie wspaniali, ale tylko do czasu, gdy myślisz w ten sposób co oni. Każde odmienne zdanie, każde podważenie teorii Kościoła, każda wątpliwość rzucona razem z logicznymi argumentami wprawia ich w złość. Nie zawsze tak się działo. Gdy budowali osadę i nasza społeczność była trzy razy mniejsza, żyło się tutaj zupełnie inaczej. Ale teraz jest tak, jakby nie wytrzymywali ciśnienia, nie potrafili znieść presji i żyli w ciągłym stresie. A przecież to od tych emocji ludzie chcą uciec, decydując się na zamieszkanie tutaj. Kiedy Justyna zaczęła dojrzewać, zmieniać się w kobietę, często publicznie podważała ich wiarę.

Tymon zauważył, że matka dziewczyny podczas wypowiedzi nie użyła sformułowania „naszą wiarę”, tylko „ich wiarę”, co przywiodło mu na myśl kolejne kwestie do poruszenia.

– Wdawała się w burzliwe dyskusje. Początkowo tłumaczono jej wszystko spokojnie, ale potem zabrakło im już do niej cierpliwości. Tym bardziej że podburzała innych. Chciała odejść. Marzyła o tym, od kiedy miała szesnaście lat, ale nie mogła odejść, bo wciąż była niepełnoletnia. Jednak kiedy skończyła osiemnaście lat, po prostu wyszła z domu i już nie wróciła. Napisała list, że wyrzeka się wiary i nie chce mieć nic wspólnego z tą społecznością.

– Dlaczego więc myślisz, że została zamordowana?

– Bo to dobre dziecko było. – Po raz pierwszy w jej oczach pojawiły się łzy. – Dużo przeszła, ale wyszła na ludzi. Po prostu miała swoje zdanie i chciała żyć normalnie. Była dojrzała i zaradna. Wiedziała, że zostanie wykluczona, ale zawsze powtarzała nam, że nie będzie trzymać się od nas z daleka i że znajdzie sposób, by nas odwiedzać i się z nami spotykać. My ciągle wierzyliśmy. Wydawało nam się, że to właśnie wiara uratowała naszą rodzinę, że Justysia przechodzi jakąś formę buntu, ale kiedyś zmądrzeje. Ona wiedziała, że nie będziemy mogli się do niej odzywać, ale nie zrażała się tym. Twierdziła, że jej te zakazy nie będą obowiązywały. Miała zapał do życia i wolę walki o siebie. Ale od czasu zniknięcia nie skontaktowała się z nami ani razu.

– Jak zamierzała się utrzymywać?

– Dostała pięćdziesiąt tysięcy od brata Alberta. Planowała wynająć mieszkanie, skończyć liceum i pracować w restauracji w weekendy. To też był warunek naszej przeprowadzki. Zabezpieczenie dla dziecka, które po osiągnięciu pełnoletności może będzie chciało odejść. Gdyby powinęła jej się noga, mogła jechać do mojej kuzynki Beaty, która była gotowa ją przyjąć, ale Justyna nigdy tam nie dojechała.

– Nie wydaje ci się, że pięćdziesiąt tysięcy to zbyt duża suma jak na sektę żerującą na majątku innych?

Po jej twarzy przebiegł ironiczny uśmiech.

– Nasz dom wart był dwa miliony. Pięćdziesiąt tysięcy to naprawdę niewiele i tylko tyle udało mi się wynegocjować, przychodząc tutaj. I tak, masz rację. To jest sekta żerująca na nieszczęściu i pieniądzech swoich wiernych. Zrozumiałam to dopiero niedawno. Dokładnie w momencie, kiedy zostaliśmy sami, a nasze dziecko oficjalnie zostało wykluczone. Kiedy coś od ciebie chcą, jesteś w centrum uwagi. Kiedy nie masz już nic do zaoferowania, żyjesz w tej społeczności pozostawiony sam sobie.

– To czemu tu jesteś? Dlaczego nie odejdziesz? – nie rozumiał.

– Odpowiedź jest prostsza, niż myślisz. – Westchnęła. – Jeżeli istnieje choć minimalna szansa na to, że moja córka żyje, będzie mnie szukała

właśnie tutaj. Nie mogę odejść, póki nie zyskam pewności. – Położyła mu dłoń na rękę i spojrzała z nadzieją. – Dasz mi ją?

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby odkryć, co tu się dzieje. Ale musisz mi powiedzieć o wszystkich swoich podejrzeniach i obserwacjach. Wiem, że Justyna nie była jedyna, prawda?

Kobieta pokiwała potwierdzająco głową, ale się nie odezwała.

– Pójdziemy na spacer? – zaproponował, kiedy przypomniał sobie, że z całą pewnością są podsłuchiwani.

– Wezmę tylko cieplejszy płaszcz. – Wstała z miejsca i podeszła do szafy.

– A gdzie jest twój mąż? – zaciekawiał się komisarz.

– Wojtek odszedł pół roku temu. Zamierzał jej szukać – powiedziała i przerwała wystraszona hukiem spadającego zdjęcia w szklanej antyramie.

Hanter zbliżył się do ściany i kucnął. Podniósł fotografię, pozbierał kawałki potłuczonego szkła i wyrzucił je do śmieci.

– Piękna dziewczyna, prawda? – Teresa również spojrzała na zdjęcie swojej uśmiechniętej córki, wolnej od wszelkich zmartwień, bezpiecznej i szczęśliwej. Wiele by dała, żeby choć jeszcze raz zobaczyć córkę właśnie taką.

– Tak – zgodził się Hanter, przypatrując portretowi. Nie chciał robić matce przykrości, dla każdej kobiety własne dziecko jest najładniejsze na świecie, ale Justynę należało raczej zaliczyć do chłopczyc niż klasycznych piękności. Obrócił fotografię i poczuł, jak spinają mu się wszystkie mięśnie. Na rewersie ujrzał czerwony, rozmywający się napis: „Moja piąta”. Momentalnie odłożył zdjęcie na podłogę.

– Co to jest?! – krzyknęła przerażona kobieta. Zasłoniła usta dłońmi, powstrzymując się przed piskiem.

– Chyba krew. Nie ruszaj. – Odsunął ją. – Masz w domu jakiś foliowy worek? – Rozejrzał się dookoła, jakby tak oczywista rzecz leżała w zasięgu ręki.

Nieco później, dom Tymona, Karkonoska Osada

Wrócił tylko na chwilę, by zabrać dokumenty, telefon i kluczyki od auta. Musiał pojechać na jeleniogórską komendę, zawieźć materiał dowodowy. Był podekscytowany, bo odkryty przez przypadek dowód rzucał na sprawę nowe światło. Ktoś zabijał dziewczyny z osady. Być może zabijał również te z okolicy. Ale z osady z całą pewnością. Co więcej, morderca prawdopodobnie nie czuł skruchy, a wręcz chełpił się swoimi dokonaniem. Jeżeli potwierdzi się fakt, że podpis wykonany został krwią Justyny Oleś, to będą mieli do czynienia z zabójcą, który jest równie niebezpieczny, jak zuchwały. Być może zaburzony psychicznie. Kto normalny wieszalby zdjęcie zabitej przez siebie kobiety w domu jej rodziców, w dodatku z podpisem z jej krwi?

– Rasowy seryjniak – odpowiedział sam sobie. Chwycił walkie-talkie i nacisnął przycisk wzywający Aśkę. Musiał poprosić ją o przysługę. Przystała na nią bez problemu, a nawet odniósł wrażenie, że ucieszyła się, że jej potrzebuje.

Kiedy w odległości kilkudziesięciu metrów od muru uzyskał zasięg telefonii komórkowej, natychmiast wybrał numer Olgi.

– Hej, co jest? – Pani komisarz wydawała się zdenerwowana i Tymon doszedł do wniosku, że to chyba nie był najlepszy czas w jej życiu. Przez moment zastanawiał się nawet, czy zawracać jej głowę, ale sprawa stała się na tyle istotna, że musiał. Opowiedział jej pokrótce, co się wydarzyło.

– O, cholera. Już jadę na komendę – odpowiedziała, szukając pośpiesznie w szafie jakiegoś czystego ubrania. – Zawiozę tylko córki do siostry i zaraz będę. – Poczula buzującą w jej żyłach adrenalinę.

– Spoko. Udało ci się ściągnąć na komendę Jacka Szulina? Od razu bym go przesłuchał. – Chciał złapać dwie sroki za ogon.

- Nie. Od wczoraj nikt go nie widział. Nie wiemy też, czy nocował w domu. Ale zleciłam cogodzinny patrol. Jak tylko zaświeci się światło w jego mieszkaniu, dadzą nam znać.

- Kurde, w tej sprawie zbyt wiele jest niepasujących do siebie elementów. Myślisz, że to on zabił Ige? - Cały czas coś mu nie grało. Do tej pory uważał, że ma całkiem dobrego nosa do ludzi, ale nie wiedział, co myśleć o tym chłopaku.

- Nie mam pojęcia. Przyznam szczerze, że nie znalazłam w ogóle czasu, by zająć się tą sprawą, i nie liczyłam na taki obrót wydarzeń. Chyba trzeba będzie stworzyć grupę dochodzeniową, ale to się wiąże z wejściem do osady. A ty działasz na zlecenie Wrocławia i teoretycznie *incognito*.

- Tak, tyle że wszyscy już o mnie wiedzą. Ale nie chciałbym robić większego szumu, niż to jest potrzebne. Jeszcze nie teraz. Jeżeli to nie Szulin, jeżeli zabójca żyje w społeczności, to może się wystraszyć i dobrze ukryć, kiedy zrobimy nalot. Na razie poprosiłem Teresę Oleś o dyskrecję. Oczywiście Albert wie, że rozmawialiśmy, ale wołałbym, żeby ludzie nie gadali. Myślę, że obecnie nie biorą mnie na poważne. Nie orientują się, że współpracujemy na większą skalę, i zajmują się swoimi wewnętrznymi problemami. Lepiej, żeby tak zostało. Im będą czuć się swobodniej, tym więcej błędów mogą popełnić i tym więcej informacji ujawnić.

- Twoje śledztwo, twoja decyzja. Choć zastanawiam się, co na to powie prokurator - rzekła. - Widzimy się na komendzie.

W tym samym czasie, Karkonoska Osada

Brat Albert modlił się żarliwie przed tym spotkaniem. Prosił, by Bóg obdarzył go mądrością i udzielił mu wsparcia. Szukał odpowiedzi na wiele pytań, ale Stwórca nie chciał mu ich objawić. Zbyt wiele razy mu już pomagał, być może teraz celowo wystawił go na próbę wiary. Mężczyzna potarł dłońmi skronie. Głowa bolała go od kilku dni. Rozumiał, że to kara za nieumiejętne zarządzanie osadą. Jeszcze nigdy tyle spraw nie wymagało jego interwencji i jeszcze nigdy nie nagromadziło się wśród wiernych tyle wątpliwości. Wizyta komisarza nie sprzyjała umacnianiu w wierze, ale Albert wiedział, że gdyby go wyrzucił, ściągnąłby na siebie dużo większe zło. Miał tylko nadzieję, że prorok się nie dowie. Że najwyższy przedstawiciel Pana na ziemi nie ukarze go za nieudolność i nie odbierze władzy nad społecznością. To byłaby jego porażka. Myśl o utracie wiernych, których przez tyle lat ściągął w to miejsce, bardzo bolała.

– Bóg jest sprawiedliwy – spokojnie, lecz stanowczo przywitał go mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze. Wyglądał niczym prezes dużej międzynarodowej korporacji. Zresztą tym właśnie była dla niego osada.

– A Jego sprawiedliwość dosięgnie i nas. – Głos brata Alberta zawibrował z nerwów w pomieszczeniu. Zawstydził się tym faktem, ale drugiego pierwszego wrażenia nie mógł już zrobić.

– A więc mówisz, że macie pewne problemy – zaczął prorok.

Był mężczyzną wysokim i silnym, o przyjaznej i miłej aparycji, jednak Albert doskonale wiedział, że w jednej chwili potrafił przeradzać się w istną bestię. Znał takich, którzy doświadczyli jego złości, choć większość wiernych uważała go za człowieka światłego i dobrego, niosącego słowo Pana ku wiecznemu zbawieniu.

– Nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić, najwyższy – powiedział, pochylając przed nim głowę w geście uniżenia. Nie rozeznawał, czy sam w to wierzy, ale obiecał sobie, że zrobi wszystko, żeby przekonać do tego proroka.

– Waham się, czy osada nadal powinna pozostawać pod twoim przywództwem... – Zamyślił się. – Bardzo dużo zdziałałeś, bracie, ale ciężar obowiązków za bardzo cię przygniata. Nie jesteś już pierwszej młodości i sędzę, że trzeba zastanowić się nad twoim następcą – oznajmił spokojnie.

– Ależ proroku! – wykrzyknął. Od razu pożałował podniesionego tonu, lecz było już za późno. – Pokornie poddam się twojej woli, najwyższy. Ale czy mogę zapytać, skąd ta decyzja?

– Słyszałem o zabójstwie i policjancie, który tutaj mieszka, oraz o tym, że wypędziłeś turystów.

Albert spojrział na niego zdziwiony. Zaczął szybko rozważać, który z jego zastępców miał czelność iść na skargę do proroka. Marcin, to jasne. Tylko on jest na tyle głupi, by nie myśleć o konsekwencjach swych czynów. Kazimierz jest zbyt inteligentny i za bardzo ceni sobie spokój. On, gdyby żywił do niego jakieś zastrzeżenia, załatwiłby to osobiście.

– Od kilku tygodni przebywam na swoim ranczo – powiedział prorok, rozwiewając jego podejrzenia. – Ludzie gadają, tego nigdy nie zmienisz. Zwłaszcza wśród wiernych za murem aż huczy od plotek.

– Zapanuję nad tym, obiecuję. W następną niedzielę wygłoszę odpowiednie kazanie. A policjant niedługo kończy dochodzenie. Nasza siostra Iga zginęła w potwornym wypadku. To straszne, ale takie rzeczy się zdarzają i wtedy przyjeżdża policja. Co do turystów, to obiecałem Bogu... – umilkł. Już chciał wyznać prawdę, ale zdał sobie sprawę, że musiałby się przyznać do zniknięcia chłopca, czyli do kolejnej porażki. – Obiecałem Bogu, że zostaniemy sami na jakiś czas, żeby przypomnieć sobie nasze wartości – skłamał i w tym samym momencie uświadomił sobie, że będzie musiał ponieść konsekwencje za kłamstwo. Ale teraz godził się z sytuacją, byle nie narażać się na złość proroka. – Ludzie byli zmęczeni kontaktem z niewiernymi. – Pomyślał o bracie Hieronimie.

O nim też nie mógł wspomnieć i miał szczerą nadzieję, że historia o podpaleniu nie dotarła do uszu jego rozmówcy. Ale czy prorok nie był wszechwiedzący? Czy nie słyszał i nie widział więcej od innych? Przecież sam zawsze to im powtarzał.

– Dosyć! – Prorok uderzył otwartą dłonią w stół, a huk rozbrzmiał po sali narad. Mężczyzna podniósł się z krzesła i powolnym krokiem podszedł do brata Alberta. – Mówiłem ci już kiedyś, że nie toleruję nieudolności – wysyczał. Jego gładkie, delikatne rysy zniekształciła w mgnieniu oka złość.

Brata Alberta przeszły ciarki. Poczuł, jak sztywnieje. Od zawsze uważał, że w proroku jest nie tylko boskość i łaska, ale i jakieś ciemniejsze i mroczne siły, które go przerażały. Przełknął głośno ślinę i drżącym głosem zapewnił:

– Jeszcze dziś złożę rezygnację. Pokornie dziękuję Bogu za lata posługi, którą mogłem tu pełnić. – Ukłękł i pocałował stopy najwyższego zaraz po Bogu.

– Dobrze. – Prorok wyprostował się zadowolony. – W osadzie najważniejszy jest spokój i potrzebujemy kogoś, kto go zaprowadzi. Wyznacz następcę – polecił. – Ty wiesz najlepiej, kto temu podola.

Brat Albert odetchnął z ulgą. Przynajmniej w tej kwestii prorok jeszcze mu ufał.

Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Dzięki, że przyjechałaś mimo późnej pory. – Tymon usiadł w małej salce konferencyjnej, do której zaprowadziła go Olga.

– Nie ma sprawy, ale powiem wprost. Dzwoniłam do prokuratora Kowalika i powiadomiłam go o wszystkich podejrzaniach. To pod nim jest sprawa Igi Dąbrowskiej.

– Rozumiem. Chcesz przejąć dochodzenie?

– Nie, wręcz przeciwnie. Skoro nie działasz już *incognito* i nadal prowadzisz śledztwo w terenie, powinienesz oficjalnie prowadzić je też u nas. Na zasadach współpracy komend. Kowalik nie ma nic przeciwko. Tu masz jego wszystkie dane do kontaktu. – Podała mu wizytówkę Roberta.

– Okej, rozumiem, że trzeba to uporządkować.

– Właśnie. Przekażę ci też ludzi do pracy. To znaczy Kubę, jego już poznałeś. Jest informatykiem i aspirantem, od jakiegoś czasu pracuje w naszym zespole. I Żanetę. Ona będzie odpowiadała za wszystkie biurowe kwestie.

– Biurowe?

– No, wiesz, kopie, notatki z zebrań grupy dochodzeniowo-śledczej, sporządzanie raportów, kontakt z prokuratorem w sprawie konieczności wystawienia nakazów. Robert Kowalik mi ufa i powiedział, że zaufa też tobie. Informuj go w razie konieczności. Kiedy nic się nie dzieje, pracujesz dalej, nie zwracając mu głowy – wyjaśniła pokrótce.

– Macie tu asystentkę grupy? – Zagwizdał z uznaniem. – A ja byłem pewny, że to takie zadupie.

– Tylko uważaj! – Pogroziła mu palcem. – Żaneta jest pod moją ochroną. A poza tym to dobra i wrażliwa dziewczyna. Nie rozpędzaj się.

– Widzę, że moja sława dotarła i tu – zauważył z sarkazmem. – Na kiedy będą wyniki badań z laboratorium kryminalistycznego? – zapytał,

przekazując jej schowane w foliowy worek zdjęcie.

– Dziś ktoś od nich po to przyjedzie. Myślę, że maks czterdzieści osiem godzin, ale zobaczymy, jak to się uda zrealizować. Na kiedy wyznaczyć pierwsze spotkanie z grupą?

– Na dzień, w którym przyjdą wyniki. Wyślijcie jakiś patrol, który będzie najbliżej osady. Niech mi dadzą znać.

– Kurde, nie można tego cholerstwa zakłócającego sieć komórkową jakoś wyłączyć?

– Pewnie można, ale to niezgodne z prawem. Na swoim terenie Dzieci Dnia Apokalipsy mogą robić, co chcą.

– I jak widać – robią – stwierdziła Olga, przyglądając się zawartości foliowego worka.

– Przepraszam, mogę?

Zza drzwi małej konferencyjnej wystawała głowa młodej kobiety. Dopiero po chwili Tymon ją rozpoznał.

– Wejdz – polecił niezadowolony. Nie tak się z nią umawiał. Przyrzekła zadzwonić i powiedzieć mu, czy coś znalazła. A ona wparowała sobie na komendę jakby nigdy nic. I teraz będzie miał przez to problemy. Cała Aśka, pomyślał. Mogli sobie ustalać do woli, a ona i tak działała po swojemu. Postanowił nie okazywać zdenerwowania przy pani komisarz i zachować kamienną twarz. – To jest Joanna Bator. Mieszka w osadzie.

Olga spojrzała na kobietę z zaciekawieniem, a potem przerzuciła wzrok na Tymona. Jej mina mówiła wszystko.

– Joanna Bator? Zaraz, zaraz... Czy to nie pani zgłosiła komisarzowi Hanterowi, że Iga Dąbrowska mogła zostać zamordowana?

– Tak, to ja, przynaję się bez bicia – powiedziała niby ugodowo, a jednak zaczepnym tonem.

Olga była pewna, że nie wszystko w tym śledztwie toczy się zgodnie z procedurami, ale wolała zachować swoje przemyślenia dla siebie. Przynajmniej do chwili, kiedy nie zostaną z Hanterem sami.

– Masz coś? – Ewidentnie zirytowany Hanter poderwał się z krzesła.

– Spokojnie, bo pan komisarz jeszcze wrzodów na żołądku dostanie – zganiała go Aśka, czym tylko jeszcze bardziej go zdenerwowała.

Już chciał jej coś odpowiedzieć, kiedy zobaczył, że wyjmuje z torebki reklamówkę, w której jest zdjęcie.

– Trochę zajęło mi przeszukanie pudeł po Kindze. Jej rodzice nie czekają na powrót dziecka marnotrawnego i wszystkie jej rzeczy pochowali. Co ciekawe – popatrzyła na towarzyszy – kiedy pokazałam im zdjęcie Kingi wyszperane z kartonów i zapytałam, dlaczego nie wisi na ścianie, odparli, że fotografię dostali od ojca Alberta, kiedy Kinga postanowiła odejść z osady. Życzył, by mieli córkę zawsze przy sobie, bo dzieci, na które się czeka, wracają po jakimś czasie z wykluczenia i zaczynają na nowo wierzyć. Ale oni wiedzieli, że Kinga nie wróci. Byli na nią źli, że wybrała życie bez kontaktowania się z nimi. Schowali fotografię razem z innymi jej rzeczami.

– Pokaż! – Tymon chwycił za siatkę.

W tym samym momencie Olga wyciągnęła z szuflady biurka niebieskie, nylonowe rękawiczki. Włożyła je, a dwie kolejne podała komisarzowi. Ostrożnie położył przedmiot na biurku i odsunął zatrzaski z antyramy. Szklana szybka odskoczyła delikatnie. Zsunął ją na bok i odwrócił fotografię. Ich oczom ukazał się czerwony, rozmyty napis: „Moja szósta”. Teraz byli już pewni, że ścigają seryjnego mordercę.

– Wiedziałem! – Tymon uderzył pięścią w stół z podekscytowania. – Byłaś u rodziców Igi? – Spojrzał z nadzieją na Aśkę.

– Tak, ale niczego takiego nie znalazłam.

– To znaczy zdjęcia? – upewniła się Balicka.

Hanter potwierdził skinieniem głowy. Zaczął przechadzać się po sali i intensywnie myśleć.

– A w starym domu też byłaś? – Podrapał się po kilkudniowym zarostie. Przez ostatnie wydarzenia nie miał czasu ani głowy do tego, by się golić.

– Byłam – potwierdziła. – Wzięłam klucze, które zostawiłeś mi w donicy przy drzwiach. Ale przeszukanie nie trwało zbyt długo. Chata jest całkowicie pusta, przygotowana na nowych lokatorów.

- Cholera. - Położył dłonie na skronie i intensywnie nad czymś się zastanawiał.

- Może to jeszcze za świeża sprawa? - podsunęła pomysł Balicka. - Może zabójca mieszka w osadzie i wiedział, że będziecie teraz drażnić temat Igi. Wolał nie ryzykować. Myślisz, że to ten brat Albert? - zwróciła się do Tymona.

- Gdybym miał typować, to nie, ale z drugiej strony, wszystko jest możliwe. Albert to z pewnością człowiek, któremu zależy na wizerunku wspólnoty i który pójdzie na wiele kompromisów, by jak najszybciej się nas pozbyć. Pytanie tylko, czy robi to, bo wierzy, że tylko tak utrzyma wspólnotę Dzieci Dnia Apokalipsy bez rozłamu, czy ma coś do ukrycia.

- Jeżeli założymy, że to on, to trzeba go dobrze przeszukać i przydzielić ogon. Jeżeli to ktoś inny, zadanie jest utrudnione. Przez tyle miesięcy domy potencjalnych ofiar odwiedzało pewnie sporo ludzi. Każdy mógł zrobić ten napis.

- Ale pisać krwią w domu rodziców dziewczyny, którą się zamordowało? - wtrąciła się Aśka. - Trzeba by być jakimś pieprzonym psychopata.

Dopiero teraz przypomnieli sobie, że nadal tu jest. Tymon nie musiał czekać na znak od Olgi. Od początku widział, że nie podoba jej się ta sytuacja, i doskonale rozumiał dlaczego. Było mu głupio, że tu weszła. Może nawet czuł się zawstydzony.

- Asiu, dzięki za pomoc. Wracaj do osady, ja zostanę i jeszcze popracuję - powiedział to jak najłagodniej, nie chcąc wdawać się w niepotrzebne spory. Pomimo krótkiej znajomości zbyt dobrze znał jej charakter i zapędy do wszczynania słownych konfliktów.

Dziewczyna i tak posłała mu pogardliwe spojrzenie typu: poważnie?

- Nie ma za co... - Obróciła się na pięcie i skierowała w stronę drzwi. - I oczywiście do usług - rzuciła wymownie.

Po sekundzie usłyszeli głośny trzask zamykanych drzwi.

- Ma charakterek - skwitowała Olga.

- Dasz to do techników? - Tymon starał się zmienić temat.

- Serio? Nie pogadamy o tym? - Przyjrzała mu się uważnie.

- O czym? - udawał, że nie wie, o co chodzi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji. A może właśnie dlatego nie życzył sobie o tym rozmawiać.

- Wprowadzasz do śledztwa cywila, wrzucasz tę dziewczynę w środowisko potencjalnie zagrażające życiu, zlecasz zadania i udajesz, że nie ma o czym gadać? - Założyła ręce na piersi, czekając na wyjaśnienia. Nie zamierzała mu odpuszczać.

- Słuchaj, ja nad nią nie panuję - przyznał, przyjmując przy tym obojętną postawę ciała. - Chciała, to przyjechała. Można powiedzieć, że odwiedza mieszkających tam rodziców. Niby jak mam jej tego zabronić? To wolny człowiek jest. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Przynajmniej nie zlecaj jej zadań. Ona nie jest policjantką - naciskała Olga.

- Wiem, *sorry*. Podekscytowałem się tym znaleziskiem i postanowiłem jak najszybciej przyjechać na komendę. Nie miałem pojęcia, czy znalazłbym coś w drugim domu. Wolałem nie tracić czasu. Ale przynajmniej ci absolutną rację. - Podniósł ręce do góry, jakby się poddawał. - Tylko jej mogłem tam zaufać, ale dobrze, więcej tego nie zrobię.

- Okej - odpuściła, wyciągając z kieszeni wibrujący telefon. - Balicka, mów! - Zdawała się zniecierpliwiona, a może po prostu przemęczona.

Tymon przyglądał się jej z zaciekawieniem. Próbował wychwycić choć strzępki rozmowy, ale mężczyzna po drugiej stronie relacjonował za szybko i za cicho. Musiał poczekać, aż skończy.

- Jedziesz! - rzuciła do Tymona, chowając do worka leżące na biurku fotografie.

- Gdzie? - Zaskoczyła go.

- Na Noskowskiego. Do mieszkania Jacka Szulina. Aspirant z patrolu donosi, że w środku właśnie zaświeciło się światło.

- A ty?

- Oddam to technikom i wracam do dzieci. Sprawa jest oficjalnie twoja. Nie musisz już pracować pod przykrywką, więc przejmujesz

dowodzenie. Ja mam za dużo własnej roboty i osobistych problemów, by dalej się w to mieszać. Powodzenia! – Poklepała go po ramieniu i wyszła pospiesznie z sali.

bbDystans między komendą a mieszkaniem podejrzanego nie był duży, więc Tymon nie zdążył przemyśleć poszczególnych punktów planu, które krążyły mu po głowie. A krążyło ich dużo. Był podekscytowany, może nawet nieco pobudzony. Jak po jakichś dobrych prochach. Doskonale pamiętał ten stan, choć od wielu lat już nie brał. Właściwie nie wiedział, skąd przyszło mu to porównanie. Stał na czerwonym świetle przed skrzynką w dzielnicy Zabobrze i zacisnął powieki. Musi opanować emocje, uporządkować myśli, działać racjonalnie. Początkowo chciał zgarnąć Jacka Szulina na komendę, postraszyć trochę, by chłopak do wszystkiego się przyznał. Pytanie tylko – czy miał do czego? Czy byłby zdolny do wielokrotnego zabójstwa? Czy pasował do obrazu psychopaty, czerpiącego satysfakcję z uśmiercania? Jakoś mu to nie grało. Ale z drugiej strony, okłamał go bez mrugnięcia okiem. Mimo wszystko Hanter postanowił porozmawiać z nim w domu. Może trochę z wygody, a może dlatego, że tak naprawdę nic jeszcze na niego nie znaleźli.

– Dzień dobry, panie komisarzu. – Młody, barczysty blondyn podszedł do Tymona, gdy ten tylko podjechał i wyciągnął odznakę. – Aspirant Adam Kowalewski – przedstawił się. – Komisarz Balicka mówiła, żebyśmy na pana poczekał i towarzyszył w zatrzymaniu.

– Nie będzie żadnego zatrzymania. Pójdziemy tylko porozmawiać, chyba że sprawa przybierze niespodziewany obrót – powiedział bez zbędnych konwenansów. – Wtedy masz być gotów do akcji. Zrozumiano?

– Tak jest, panie komisarzu. – Młody niemal zsalutował. – Światła świeciły się dokładnie przez pięć minut – odczytał z notatki – po czym zgasły, ale obiekt nie wyszedł z klatki. Wydawało mi się, że zanim nastąpiła ciemność, firanka w jednym z pomieszczeń się poruszyła.

– Dobrze, chodźmy – Hanter spojrział na zegarek. Było po dwudziestej drugiej, więc pomyślał, że Jacek Szulin mógł po prostu pójść spać. Chociaż istniało prawdopodobieństwo, że zauważył funkcjonariusza

i uciekł z mieszkania. Adam Kowalewski jednak nie wyglądał na takiego, który by to przeoczył.

Wdrapali się na ostatnie piętro. Winda nadal nie działała, co akurat stanowiło okoliczność sprzyjającą. Jeśli mężczyzna postanowiłby uciec właśnie tą drogą, nie daliby rady. Na klatce nikogo nie minęli. Hanter kazał aspirantowi poczekać na ostatnim półpiętrze i podszedł do drzwi. Tym razem do tych właściwych, środkowych. Zapukał kilkukrotnie, ale ze środka nie wydobył się żaden dźwięk. Zadzwoił. Nie chciał wołać, że jest z policji. O tej porze mogłoby się zrobić niezłe zbiegowisko, a wścibscy sąsiedzi w niczym by nie pomogli. Odwrócił się do stojącego niżej policjanta.

– Jesteś pewien, że nie wychodził?

– Pewien, jak niczego innego – oznajmił.

– A ktoś inny?

– Co ktoś inny, panie komisarzu?

– No, czy ktoś inny wychodził z klatki od chwili zgaszenia światła?

Młody chłopak pomyślał przez chwilę. Zdawał się być skrupulatny, choć intelektem na pewno nie grzeszył. Tymon nieco się zirytował.

– Nie – odparł w końcu. – Z całą pewnością nie.

Wyglądało na to, że Jacek Szulin był w mieszkaniu, ale nie chciał ich wpuścić. Tymon przywarł do drzwi, żeby lepiej słyszeć potencjalne odgłosy i w tym samym momencie drzwi ustąpiły pod jego ciężarem. Zaskoczyło go to.

– Halo? – zawołał przez próg. – Tu komisarz Tymon Hanter. Panie Jacku, chciałbym chwilę porozmawiać.

Cisza.

– Wchodzimy? – zwrócił się do chłopaka obserwującego go ze schodów.

– Nie mamy podstaw prawnych, panie komisarzu – odpowiedział z przejęciem. Widać było, że sytuacja go niepokoi.

– Słyszysz? – zapytał Hanter. – Tam ktoś woła pomocy, muszę wejść! – skłamał i przekroczył próg mieszkania.

Chciał zapalić światło, ale po pstryknięciu włącznika w mieszkaniu nadal było ciemno.

- Odłączyli ci prąd, bo nie opłaciłeś rachunków, Szulin? - rzucił w przestrzeń. - Jesteś? Chcę tylko porozmawiać. - Wyciągnął telefon komórkowy i włączył latarkę. Trzymał go w lewej dłoni, w prawej glocka. Sytuacja nie należała do standardowych i wolał czuć się ubezpieczony, tak na wszelki wypadek. Przypomniawszy sobie, że ten lokal składa się z dwóch połączonych ze sobą mieszkań, co dawało Szulinowi wiele możliwości ukrycia się, ucieczki, a nawet ataku.

- Wyjź! - krzyknął. - Wiem, że mnie okłamałeś. Chcę wyjaśnić sprawę.

Otworzył drzwi pierwszego pomieszczenia z prawej strony. Poświecił do środka. Kuchnia w zasadzie nowoczesna, ale nie jakaś wymyślna. Wszedł, rozejrzał się dokładnie i wyszedł. Nikogo. Dalej salon. Raczej obszerny, kwadratowy, z meblami, które Tymon pamiętał jeszcze z czasów swojego dzieciństwa. Drewniana, masywna ława stała przy skórzanym, przetartym narożniku. Duży stół wraz z sześcioma krzesłami znajdował się pod oknem. Hanter podszedł do okna na balkon, poświecił na zewnątrz. Nie zobaczył nic poza kilkoma przewróconymi doniczkami. Wrócił na korytarz i podszedł do kolejnych drzwi. Kopnął, a te także się otworzyły, poświecił do środka. Pojedyncze łóżko, biurko ustawione pod oknem, biała szafa - pokój urządzone w dziwnym klimacie, jakby dziewczęcym? Z całą pewnością nie należał do właściciela. Pomimo ciemności Tymon zauważył, że utrzymany był w kolorze jasnioletowym. Podszedł do wiszących na ścianie zdjęć. Przyświecił telefonem.

- Co jest, do cholery? - Po ciebie przebiegł mu dobrze znany dreszcz.

W tym samym momencie z głębi pomieszczenia dobiegł go huk, a chwilę potem z korytarza odgłos szybkich kroków. Obrócił się i chciał rzucić w pogoń, ale pod nogami wyrósł mu zwinięty w rulon dywan. Wyrznął jak długi. Przed nim przemknął jakiś cień, a po kilku sekundach usłyszał głuchy łomot z klatki schodowej.

- Stój, policja! - krzyknął i rzucił się w stronę wyjścia. Ale kiedy dopadł do schodów, zobaczył na nich tylko powalonego aspiranta

Kowalewskiego.

– Zaskoczył mnie, panie komisarzu. Skoczył na mnie ze schodów, kopnął w twarz i pognał na dół. Zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, już go nie było. To jakiś diabeł, a nie człowiek, jak matkę kocham, panie komisarzu.

– Dasz radę wstać?

– Tak, tak. – Mężczyzna wyglądem przypominający karka z osiedlowej siłowni podnosił się właśnie z miną cierpiącego dwulatka.

– Jak to możliwe, że taki chuderlak jak Szulin bez najmniejszego problemu cię powalił? – zapytał wprost, bo coś mu się nie zgadzało.

– No, bo ja stałem tyłem, panie komisarzu, pisałem z dziewczyną. Nie chciałem, żeby pan zobaczył, co robię, gdyby wyszedł pan niespodziewanie z mieszkania, więc się obróciłem i on to wykorzystał, skoczył na mnie. No, w szoku byłem, co ja mogę więcej powiedzieć – przyznał ze skruszoną miną.

Hanter zaklął w myślach i wyszukał w telefonie numer do Żanety. Odczekał kilka sygnałów, które wydawały mu się wiecznością.

– Hej, tu komisarz Tymon Hanter – powiedział po usłyszeniu kobiecego powitania nagranych na automatyczną sekretarkę i sygnału dźwiękowego. – Załatw mi, proszę, nakaz aresztowania Jacka Szulina. Napaść na policjanta na służbie – wyjaśnił powód. – I potrzebna mi będzie też zgoda prokuratora na przeszukanie jego mieszkania. Gdybym był poza zasięgiem, przyślij kogoś do osady. Dzięki, cześć.

Młody Szulin zaczął go irytować. Chłopak ewidentnie nie uczył się na błędach. Drugi raz w tym samym miejscu wykręcił mu numer. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest bardziej wkurwiony na niego za kolejną taką akcję, czy na siebie, że dał się znowu podejść. I to takiemu smarkaczowi.

– Panie komisarzu, co robimy? – Usłyszał niepewny głos funkcjonariusza.

– Jedź do szpitala. – Spojrzał na chłopaka. – Krew z boku głowy nie przestaje ci lecieć. Weź taxi, nie prowadź sam w tym stanie.

- Nie. Dam radę - odpowiedział aspirant, nie chcąc wyjść na kompletnego cieniasa. Jednak pod wpływem rugającego wzroku Hantera odpuścił. - Tu w klatce obok mieszka mój brat. Poproszę, by mnie zawiózł.

- Dobra!

Tymon sięgnął do kieszeni, wyciągnął parę nylonowych rękawiczek, włożył je i znów włączył latarkę w telefonie. Wszedł ostrożnie do mieszkania, nie chcąc zacierać żadnych śladów. To, co zobaczył na ścianie w dziewczęcym pokoju, było zbyt ciekawe, by czekać do oficjalnego przeszukania. Ale najpierw musiał zadbać o lepsze oświetlenie. Poszukał w przedpokoju szafki z korkami. Nie umiał jej zlokalizować, dopiero kiedy otworzył przesuwną szafę, jego oczom ukazały się białe drzwiczki. Jacek Szulin zadbał o to, by w domu panowała ciemność. Hanter przesunął w górę małą, szarą wajchę i w tej samej sekundzie w przedpokoju i w jednym z pokoi nastąpiła jasność. Wyłączył latarkę, nie chcąc, żeby telefon za szybko się rozładował. Poszedł do jasnofioletowej sypialni, nacisnął włącznik światła i przyjrzał się fotografiom wiszącym na ścianie. Ze zdjęcia na wprost spoglądała na niego roześmiana twarz Igi Dąbrowskiej. Jej ciemne oczy promieniały szczęściem i ciepłem. Zdjął delikatnie antyramę ze ściany. Położył na stoliku i otworzył zatrzaszki.

„Moja siódma”.

Dokładnie tego się spodziewał. Czerwony, rozmazany napis wyglądał identycznie jak poprzednie. Ten sam styl pisania wielkich liter na całej powierzchni rewersu fotografii, ten sam charakter pisma. Ale dlaczego zdjęcie Igi nie wisiało w domu jej rodziców, jak w przypadku dwóch pozostałych ofiar? Zaczął intensywnie myśleć. Zbyt mało czasu minęło od chwili jej śmierci? Jacek Szulin nie chciał ryzykować ponownego wtargnięcia do osady, zwłaszcza że przebywał tam policjant? Ojciec Igi nie przyjął fotografii? A może Jacek sam siebie postrzegał za najbliższą osobę Igi. Jedyną, która pomimo odebrania jej życia będzie płakała po jej śmierci? Motyw był oczywisty, nie chciała z nim być. Nie chciała opuszczać osady, choć początkowo zapewne dawała mu złudne nadzieje. To pewnie dlatego przygotował ten pokój. By z nim zamieszkała. Ale ona

odmówiła w ostatnim momencie i postanowił ją zabić. Być może wcale tego nie pragnął, może nie miała być jego ofiarą, ale zadziałał w afekcie. Coś musiało pójść nie tak, skoro ciało zostało porzucone i znalezione na drodze.

Jedno Tymonowi nie pasowało. Wcześniejsi świadkowie twierdzili, że dostali zdjęcia od brata Alberta. To mu się nie spinało. Czy to znaczyło, że mężczyźni pozostawali w zмовie? Czy tak naprawdę zabójców było dwóch? Hanter stwierdził, że nigdy nie będzie w stanie pojąć, co się dzieje w głowach psychopatycznych morderców. Nikt o zdrowych zmysłach tego nie zrozumie.

Zrobił kilka pstryknięć telefonem komórkowym temu portretowi, po czym podszedł do ściany. Pośród zdjęć, na których Jacek i Iga robili śmieszne miny, jedno przykuło jego uwagę, gdy wszedł tu po raz pierwszy. Grupowe zdjęcie Jacka Szulina z siedmioma roześmianymi dziewczynami. Zrobione chyba na wycieczce w niskich partiach górskich. Rozpoznał pięć z nich: Igę, Kingę, Justynę, Anetę i Agatę, choć znał je tylko z policyjnych akt lub fotografii znalezionych w ich domach. Kim były pozostałe dwie, nie miał pojęcia. Ale z całą pewnością te dziewczyny już nie żyły. I umarły najpierw... A przynajmniej tak założył dla porządku. Brakowało mu tylko zdjęć z podpisami: „Moja pierwsza” i „Moja druga”. Co do trzeciej i czwartej będzie musiał poprosić o nakaz przeszukania rodzinnych domów dziewcząt, ale to tylko formalność, bez wątplenia zdjęcia wiszą gdzieś tam na ścianie.

Zanim zadzwonił do komendanta Michalika w celu wyznaczenia człowieka do pilnowania wejścia do mieszkania Szulina, przeszedł się jeszcze po wszystkich pomieszczeniach. Wolał się upewnić, że nie znajdzie tu żadnej dogorywającej ósmej ofiary, która przez jego zaniechanie straci życie. Ale nie znalazł nikogo. Miał już chwycić za telefon, gdy w pokoju, z którego najprawdopodobniej wybiegł Jacek Szulin, dostrzegł uchylone drzwiczki kratki wentylacyjnej na ścianie. Przyjrzał się im uważnie. Metalowa lub żeliwna, bogato zdobiona jak w starych wrocławskich kamienicach kratka wyraźnie odstawała od płaskiej powierzchni. Na podłodze dokładnie pod nią znajdowało się

krzesło. Leżało przewrócone. Podniósł je i ostrożnie postawił stopy na drewnianym siedzisku. Jego twarz nadal była za nisko, by mógł zobaczyć, co jest za kratką, ale rękoma bez problemu do niej sięgał. Włożył do wnętrza prawą dłoń, lewą opierając o ścianę. Wyczuł coś lepkiego po bokach, jakby pajęczynę. Wsunął dłoń głębiej i wymacał wąskie i długie naczynia. Jedno z nich przewróciło się na pozostałe, wydając odgłos szkła uderzanego o szkło. Tymon wspiął się na palce, żeby mieć większe pole manewru. Starał się wyciągać jedno po drugim, nie powodując żadnych uszkodzeń. Przekładał je do lewej dłoni, powoli i spokojnie, po czym znowu penetrował skrytkę. Szkło było zbyt delikatne, by wykonywać przy nim chaotyczne ruchy. Kiedy wyciągnął trzy, stwierdził, że musi zejść i odłożyć je w bezpieczne miejsce. Pozycja, w której pracował, nie była ani wygodna, ani stabilna, i w każdej chwili krzesło mogło się gibbonąć i przewrócić. Obejrzał dokładnie znalezisko i zamarł. Szklane naczynia wyglądały jak laboratoryjne fiołki napełnione czerwoną cieczą. „Krew!”, pomyślał z przerażeniem. Z pewnością nie mogło to być nic innego. Próbował przypomnieć sobie nazwę substancji, którą dodaje się do krwi, żeby nie krzepła, ale mu się nie udało. Serce zaczęło mu szybciej bić. Czy to krew zamordowanych dziewczyn? Właściwie nie miał już teraz wątpliwości. Odłożył fiołki na regał przy ścianie, przysunął z rogu pokoju biurko, dopiero teraz zorientował się, że to pomieszczenie musiało być gabinetem Szulina. Postawił na blat krzesło i wdrapał się na tę prowizoryczną konstrukcję. Tym razem znajdował się na tyle wysoko, by zobaczyć, jakie tajemnice skrywa wnęka. Czuł narastające napięcie. Jeżeli dobrze obstawiał, to znajdzie tam jeszcze cztery fiołki. Jasne światło telefonicznej latarki oświetliło wnętrze i Tymon omiótł je szybkim spojrzeniem. W rogu stała jeszcze jedna fiołka, ale poza nią już nic. Dla pewności wymacał wszystkie kąty.

– Zabrał trzy ze sobą – powiedział na głos. – Skurwiel, po to tu wrócił, by zabrać swoje trofea. By pozbyć się dowodów zbrodni. Ale go zaskoczyliśmy i nie zdążył...

Noc, dom Tymona, Karkonoska Osada

Pomimo wielkiego zmęczenia nie był w stanie zasnąć. Podekscytowanie dzisiejszymi odkryciami wzięło górę, w organizmie wciąż krążyła adrenalina, a do głowy napływały coraz to nowe pytania wymagające pilnych odpowiedzi. Jeżeli potwierdzi się, że to krew dziewczyn, które zaginęły, to odkryli zabójcę. I choć początkowo nie stawiał na Jacka Szulina, wiele lat w służbie nauczyło go, że czasem to właśnie najmniej oczekiwane hipotezy okazują się trafne. Ale co dalej? Przecież nie mieli żadnych zwłok, poza pochowanym ciałem Igi Dąbrowskiej. Czy obecne dowody wystarczą, by oskarżyć tego człowieka o siedmiokrotne zabójstwo? Aby oskarżyć, być może tak, ale nie, żeby skazać. Wiedział o tym doskonale. A więc następne, na czym musi się skoncentrować, to znalezienie ciał zamordowanych kobiet lub tego, co z nich zostało. Aneta i Agata zaginęły około dwóch lat temu. Po takim czasie w zależności od miejsca przechowywania ciało może się już całkiem rozłożyć... Cholera! Gdzie szukać?

Z zamyślenia wyrwał go odgłos uderzania w drzwi. Silne, mocne dudnienie. Zerwał się z łóżka i podbiegł, obawiając się, że to Joanna potrzebuje pomocy. „Dlaczego nie użyła walkie-talkie?”

– Co się stało? – Twarz Hantera wyrażała zarówno zmieszanie, jak i ciekawość. Takich gości zupełnie się nie spodziewał.

Aniela Słowińska stała przed nim w ciemności z miną błagającą o pomoc. Na rękach trzymała na wpół omdlałego syna. Cała drżała. W tym samym momencie Tymona nagle olśniło. Już wiedział, co nie pasowało mu w historii o pokucie Miłosza. Kiedy go znaleźli, chłopak był ciepły. Hanter pamiętał doskonale, że pytając, jak się czuje, dotknął wtedy jego nóżki. Jeżeli tak jak mały twierdził, cały dzień spędził skąpo odziany na dworze, powinien znajdować się w stanie hipotermii lub przynajmniej wyziębienia.

– Wejdźcie! – Otworzył szerzej skrzypiące, drewniane drzwi. Chciał przejąć chłopca i odciążyć udręczoną matkę, ale bał się, że Miłosz może to źle odebrać. Ktoś zrobił mu krzywdę, o której nie chce mówić, a w takich wypadkach ważne jest, żeby nie stwarzać dwuznacznych sytuacji.

Podprowadził kobietę do łóżka. Usiadła i położyła w nim syna. Spojrzała na dziecko ze łzami w oczach, pogłaskała po główce.

– Już dobrze, mój mały. Będzie dobrze. – Ucałowała Miłoszka w czoło, po czym zwróciła się do Tymona. – Musimy uciekać. Pomożesz nam?

– Tak – obiecał stanowczym głosem. – Załatwię wam mieszkanie i opiekę, ale powiedz, co się stało.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i się rozplakała. Zaczęły nią targać dreszcze. W końcu mogła dać ujście głęboko skrywanym emocjom.

Począł chwilę, rozumiejąc powagę sytuacji, ale przecież musiał wycisnąć z niej jak najwięcej informacji. Co, do cholery, działo się w tej osadzie? I czy przypadek Miłosza da się jakoś połączyć z zabójstwami dziewczyn? Pozornie te sprawy do siebie nie pasowały, ale intuicja i logika podpowiadały mu, że na tak małym obszarze, w zamkniętej społeczności jest niemal niemożliwe, aby te historie jakoś się nie zazębiały. Pytanie brzmiało: jak? Chciał poznać prawdę od razu, wyciągnąć ze Słowińskiej wszystko, czego się dowiedziała od syna, i ukarać tego, kto go skrzywdził. Rozumiał jednak, że musi dać jej chwilę, by ochłoneła, by przygotowała się do mówienia.

– Zaparzę herbatę, a ty odetchnij, zbierz myśli. – Podeszedł do czajnika i napełnił go wodą z kranu. Kątem oka popatrywał na łóżko. Obraz nędzy i rozpacz. Widok tych dwojga chwycił go za serce, aż poczuł przenikliwy ból. Miłosz leżał z otwartymi oczami, ale duchem był nieobecny. Aniela Słowińska próbowała odzyskać spokojny oddech, z kiepskim rezultatem.

– Ju... już... mi lepiej – przekonywała samą siebie, bo Hantera nie dałaby rady.

Podał jej herbatę. Drugą postawił dla Miłosza na stoliku nocnym.

– A więc dobrze, opowiedz, co się wydarzyło. Dlaczego uważasz, że musisz uciekać?

– Odkąd Miłoszek wrócił do domu po swoim zaginięciu, stał się jakiś inny. Generalnie już od jakiegoś czasu widziałam, że nie jest szczęśliwy. Wiem, że nasze ograniczenia i wiara wydają się nudne i nieatrakcyjne dla dzieci. Zwłaszcza jeżeli wkoło tyle pokus...

– Ale co stało się po jego odnalezieniu? – Hanter nie miał ochoty słuchać religijnych wywodów. Według niego rodzice należący do sekt krzywdzili swoje dzieci, nie dając im możliwości poznania świata przez zabawę i doświadczanie. Nie chciał się zrazić do Anieli. Ona też stała się ofiarą tej organizacji. Ale przecież przyszła do niego po pomoc, a on chciał jej tej pomocy udzielić.

– Coś się w nim zmieniło – powiedziała z przerażeniem w oczach. – Stał się lękliwy i płaczący. Ciągle trzyma się mojej spódnicy i nie pozwala wyjść samej nawet do toalety. Kilkadziesiąt razy dziennie mówi, że mnie kocha i nie chce, żeby coś mi się stało. Ale to jeszcze nie najgorsze. Dziś po południu odwiedziła nas Rada Starszych. Starsi martwili się o Miłoszka, chcieli sprawdzić, czy wszystko z nim dobrze. Specjalnie na tę okoliczność zrobiłam bezę, kiedy spał, bo odkąd wrócił, śpi dużo, również za dnia. Męczą go koszmary, czasem ma nawet gorączkę, choć w ogóle nie wygląda na chorego. Kiedy się obudził i zobaczył nas jedzących ciasto, zaczął przeraźliwie krzyczeć i rzucił mi się w objęcia! – Spojrzała na swojego rozmówcę. – Kiedyś bym go zganiła za takie zachowanie. Takiego wstydu narobić nam przy starszych... Ale dziś jestem przerażona... Tak nie zachowuje się mój syn. Coś złego się mu przytrafiło i albo zamieszkał w nim Szatan, albo Szatan jest wśród nas w osadzie i Miłosz go spotkał... – Na jej rękach pojawiła się jej gęsia skóra, a ciało przeszły dreszcz.

– Myślę, że to drugie może być prawdą – zauważył spokojnie. – Pomożemy wam, o nic się nie martw. Twój mąż wie? – zaciekał się.

– Nie. To przez niego Miłosz wyszedł na dwór rozebrany. – Zaciśnęła mocno powieki, starając się opanować budzącą się w niej złość. – Próbuję mu wybaczyć, ale to trudne. Odkąd objął funkcję pomocnika starszyny, zmienił się. Uciekamy bez jego wiedzy. Muszę chronić syna. Mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi tę decyzję.

- Powiedz mu chociaż, że wyjeżdżacie do kogoś z rodziny. Żeby nie robił niepotrzebnego zamieszania w osadzie – zaproponował.

- Dobrze, bracie, tak zrobię – zgodziła się posłusznie.

Tymon wyciągnął krótkofalówkę i zadzwonił po Aśkę. Przybiegła najszybciej jak mogła. Czekał na nią przed chatą, by móc spokojnie przedstawić sytuację.

- Co jest? – zapytał zdumiony, kiedy podeszła do niego. Ona też wyglądała jak siedem nieszczęść, a może szczęść? Właściwie to wyglądała tak, że nie wiedział, o co chodzi.

Przytuliła go mocno, na zmianę płacząc i się śmiejąc. Wpadł w konsternację. Tylu dziwnych i niezrównoważonych zachowań ludzkich jak w tej osadzie nie widział nigdzie. Spojrzał na nią z troską.

- Nic, nic... – Otarła dłonią spływające po policzkach łzy.

- Boże, dziewczyno, zwiariuję z tobą. – Hanter niczego nie rozumiał. Przepęniały ją emocje, których nie mógł odgadnąć.

Czy była smutna, czy szczęśliwa? Rozżalona czy radosna? Wiedział tylko jedno. Jeżeli ktoś ją skrzywdził, to rozszarpie go na strzępy. Wszystkie mięśnie spięły mu się tak bardzo, że niemal bolały. Był gotów biec, by znaleźć tego, przez kogo płakała, ale ona zamiast powiedzieć, kto ją skrzywdził, przywarła do niego raz jeszcze i wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał. Poczul spokój. Napięcie ustąpiło, oddech się uspokoił. Spojrzał ze zdziwieniem w jej oczy.

- Już dobrze. Wyluzuj. Już wszystko będzie dobrze... Widziałam rodziców. Rozmawiałam z nimi.

Chciał coś powiedzieć, o coś zapytać, żeby czynnie uczestniczyć w rozmowie, ale zamiast tego patrzył na nią bez ruchu jak posąg. Nie pojmował, co się z nim działo, i miał do siebie pretensje, że nie zachowuje się adekwatnie do sytuacji. Ale mimo to jego ciało się rozluźniło. Zdał sobie sprawę, że Asia jest jakaś inna. Pomimo przeżywanych emocji dawała mu spokój i ukojenie, bo sama zdawała się pogodzona z losem. W końcu. Może teraz ruszy z miejsca i zacznie żyć normalnie. Może nawet... Nie, nie czas teraz na takie przemyślenia.

- Jak było? – skoncentrował uwagę na jej odczuciach.

– Dobrze, źle, śmiesznie i tragicznie – wyliczała przejęta. – Wiesz co? – Spojrzała na niego, przenikliwie zawieszając głos.

– No co...

– Zdałam sobie sprawę z tego, że to nic nie zmieni.

– Jak to?

– Oni nigdy się nie zmieniają. Zawsze będą siedzieć w tej sekcji i ślepo wykonywać polecenia starszyny – mówiła ze spokojem, jakby tłumaczyła dziecku tabliczkę mnożenia.

– I nie jest ci z tego powodu smutno?

– Zrozumiałam jedno. Każdy ma swoje życie. I każdy wybiera drogę dobrą dla siebie. Muszę być wdzięczna za czas spędzony z nimi, nawet jeżeli był trudny i pełen bólu, bo w dużym stopniu mnie ukształtował. Ale teraz jestem dorosłym człowiekiem i nie mogę swoich emocji i czynów usprawiedliwiać trudnym dzieciństwem. Muszę pójść na przód. Wiem, że na swój sposób mnie kochają, i to mi wystarczy. Dziękuję ci! – Przytuliła się do niego.

– Za co? – naprawdę nie wiedział.

– To dzięki tobie miałam możliwość wrócić tu i to zrozumieć.

W myślach przemknęła mu riposta, ale nie chciał polemizować. Przyjął to, co mu przekazała.

– Cieszę się – powiedział zgodnie z prawdą. – Pamiętasz naszą umowę?

– Tak, jeszcze dziś wyjeżdżam – przyznała bez zbędnego gadania.

– Dobrze. Będę cię prosił o pomoc.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Mów, słucham.

– Musisz ich zabrać do siebie do domu. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie są, a przede wszystkim nie chcę mieszać w to mundurówkę. Podejrzewam, że Albert ma swoje wtyki w policji – mówił szybko. – Balicka wspominała, że zatrudniają jakąś dobrą psycholog. Jutro zadzwonię i poproszę, żeby ją do was wysłano. Może w spokoju uda się coś więcej z nich wydobyć. Ale teraz są za bardzo wystraszeni, powinni odzyskać poczucie bezpieczeństwa.

- Ale zaraz, zaraz... - Położyła mu dłoń na ustach, by zatrzymać słowotok. - O kim ty mówisz?

Otworzył drzwi i wpuścił ją do chaty.

- Aniela? - Aśka spojrzała na kobietę, podeszła do niej i mocno przytuliła. - Będzie dobrze, zaopiekuję się wami.

Kolejny dzień, sala konferencyjna Komendy Miejskiej Policji, Jelenia Góra

Spał tylko dwie godziny, co mocno odbiło się na jego twarzy. Miał spodpuchnięte oczy z wyraźnymi cieniami, ziemistą cerę i się garbił, ale z drugiej strony czuł ekscytację. Wiedział, że jest już blisko rozwiązania zagadki. Wyciągnął z torby kolejnego energetyka, którego kupił w drodze na komendę.

- Ej, nie pij tego świństwa - zganila go wchodząca do małej konferencyjnej Żaneta. - Dam ci magiczny napar, który cię pobudzi - powiedziała, wskazując na pchany przed sobą wózek gastronomiczny i uśmiechnęła się serdecznie. - Zobaczysz, przyznasz mi rację. Nie ma to jak kawa zajumana z gabinetu komendanta. - Jej śmiech zabrzmiał radośnie i Tymon pomyślał, że była to miła odmiana po dniach wypełnionych trudnymi emocjami.

Hanter spojrział na przekąski niczym małe dziecko na stoisko z lodami.

- I kanapki - skwitował z uznaniem. - Już dawno nie jadłem nic porządnego.

- No, to bierzcie i jedzcie z tego wszyscy - oznajmiła, widząc wchodzącego do sali Jakuba.

- Kochana moja, na ciebie zawsze można liczyć. - Rudowłosy mężczyzna, wyglądem przypominający playboya z rozkładówek kolorowych czasopism, puścił do niej oko.

To był ten pierwszy raz, kiedy Tymon pomyślał, że się starzeje. Nie miał już siły na romanse. Być może nawet spowaźniał? Zapytał samego siebie, czy można spowaźnieć w tydzień, ale nie znalazł odpowiedzi. Niewykluczone, że to tylko zmęczenie.

- Dobrze, że się nie spóźniłeś, bo czas nas goni - rozpoczął Hanter. - Jak zapewne wiecie, wczoraj wieczorem dostaliśmy informacje, że Jacek Szulin pojawił się w mieszkaniu. Pomimo że uciekł, znaleźliśmy tam

całkiem sporo materiału dowodowego. Niestety, podejrzewam, że chłopak wrócił tylko po to, by ukryć dowody, co częściowo mu się udało, i zamiast siedmiu fiolek z krwią potencjalnie zamordowanych kobiet mamy tylko cztery. Wszystkie dowody, łącznie ze zdjęciami z jego mieszkania oraz z domów znajdujących się w osadzie, zostały przekazane do analizy. Chciałem się z wami spotkać, dopiero jak będą wyniki, ale sytuacja jest na tyle rozwojowa, że muszę rozdzielić zadania, bo przestaję pomału ogarniać. – Westchnął i nabrał ponownie powietrza w płuca.

– Co mamy robić? – zapytał Jakub.

– Przede wszystkim ktoś powinien czuwać nad dokumentacją, która dotrze od kryminalnych. I myślę, że to musisz być ty, Żaneta. – Spojrzał na dziewczynę, a ona skinęła tylko głową na zgodę.

– Daj znać, kiedy będziesz wiedziała, czy krew znaleziona u Szulina to ta sama, którą pisano na rewersach zdjęć. Liczę, że dopisze nam szczęście i chociaż część się potwierdzi, bo nie mamy ani kompletu zdjęć, ani kompletu fiolek. Podejrzewamy, że nasz seryjniak zamordował do tej pory siedem dziewczyn. I również tylko podejrzewamy, że personalia pięciu z nich znamy. Co do dwóch pierwszych nie wiemy jeszcze nic. Najprawdopodobniej to ich twarze widnieją na grupowym zdjęciu zabranym z mieszkania Szulina.

– Zajmę się tym – zaoferował Jakub. – Wrzucę je w system rozpoznawania twarzy, może coś nam podpowie.

– Dobrze. Wracając do dziewczyn, których personalia znamy. Ustalmy chronologię wydarzeń, która kiedy zaginęła, a także gdzie mieszkała, bo nie wiem, czy to jest dla wszystkich jasne. – Popatrzył na zebranych.

– Dla mnie nie, dopiero zanurzam się w sprawę – przyznała Żaneta.

Tymon Hanter podszedł do tablicy na ścianie, chwycił niebieski flamaster i narysował długą linię, a na niej umieścił siedem kropek. Przy pierwszych dwóch postawił znaki zapytania.

– Tych dziewczyn nie znamy – powiedział.

Przy trzeciej kropce napisał drukowanymi literami: „Agata Kuriata, zaginęła dwa lata temu”.

– Trzeba przeszukać rodzinny dom pod kątem fotografii – polecił.

– Musimy pamiętać, że Agata Kuriata i Justyna Oleś chodziły razem do klasy – odezwał się Jakub. – Ale nie były przyjaciółkami. Obracały się w zupełnie innym środowisku.

– Racja – przyznał Tymon.

Przy czwartej kropce umieścił Anetę Boładź z adnotacją, że zaginęła półtora roku temu.

– Tu sytuacja jest podobna. Dziewczyna mieszkała poza osadą, samotnie. Trzeba sprawdzić jej lokum. Przejrzałem akta, które przywiozła mi do osady Olga, i nie znalazłem niczego, co by miało wspólny mianownik z pozostałymi. Myślę, że do szukania fotografii w obu miejscach wystarczy wysłać jakiegoś funkcjonariusza z terenu.

– Dobra, oddeleguję zaufaną osobę. – Jakub zanotował w notatniku w telefonie zadanie do wykonania.

– Piąta potencjalna ofiara to Justyna Oleś, mieszkanka osady, zaginiona rok temu. Szóstą jest Kinga Sawicka. Pół roku temu odeszła z sekty i ślad po niej zaginął. No i siódma, Iga Dąbrowska, zamordowana kilka tygodni temu. Tylko jej ciało mamy.

– Dlaczego? – zaciekała się asystentka.

– Właśnie... – Tymon się zamyślił. – Wypadek przy pracy? Może uciekała z miejsca, do którego ją zwabił? Może nasz seryjny, psychopatyczny zabójca musiał działać w pośpiechu?

– Ale dlaczego będąc w stanie ukryć ciało jak wcześniejsze, jedynie przeniósł je w inne miejsce? – Jakub nie mógł zrozumieć.

– Bo czuł do niej coś więcej niż do pozostałych? Chciał, by została odnaleziona i pochowana? Nie mam pojęcia – przyznał Tymon. – Ale Jacek Szulin twierdził, kiedy z nim rozmawiałem, że kochał Igę. Może dlatego jego *modus operandi* w tym przypadku był inny...

– To by nawet pasowało – zgodził się Jakub.

– To, co rzuca się w oczy, a myślę, że nie tylko mnie – Tymon wodził wzrokiem po współtowarzyszach – to to, że dziewczyny były zabijane w niemal równych półrocznych odstępach. Jeżeli Jacek Szulin będzie trzymać się swojej własnej reguły, to przynajmniej zyskamy pewność, że

nie skrzywdzi teraz żadnej dziewczyny. Co daje nam czas na odnalezienie go.

– Racja – znów odezwał się Jakub. – Gorzej, jeśli wyjechał już za granicę i nie zamierza wracać. Może powinniśmy sprawdzić takie możliwości? Mamy prokuratorski nakaz aresztowania, mogę się skontaktować z Interpolem. Sprawa jest świeża, więc jeszcze nie zdążyłem sprawdzić jego bilingów i miejsca logowania, ale ogarnę to po spotkaniu. Myślę jednak, że byłby kompletnym idiotą, gdyby korzystał ze swojego telefonu, wiedząc, że go szukamy.

– Działaj – polecił Hanter. – Dziś rano przeszedłem się po osadzie, pokazałem zdjęcia naszych dwóch potencjalnych ofiar numer jeden i dwa, ale nikt ich nie kojarzył, a to znaczy, że tam nie mieszkały.

– Co jeszcze nie wyklucza ich przynależności do sekty – jasno zauważyła Żaneta.

– Niby nie, ale patrząc na to, jak działał – uświadomił im Jakub – Szulin zaczynał od dziewczyn spoza sekty, dopiero przy Justynie Oleś przerzucił się na inny rewir. Czy ważne jest dla nas dlaczego?

– Wszystko może okazać się istotne. Iga miała w osadzie wielu wrogów. Wyśmiewano się z niej, głównie z powodu niestworzonych rzeczy, jakie opowiadała. Można by sprawdzić, czy nie weszła w konflikt z Justyną i Kingą, ale z drugiej strony, nic nam to nie da, jeżeli chodzi o aresztowanie Szulina. Dla nas najważniejsze są ciała. I to tym musimy się zająć. To nie jest etap typowania zabójcy. Jego już znamy. Brakuje tylko ofiar.

– Być może nam się nie uda. Wiesz, jaką powierzchnię zajmują tu lasy i pola? Mógł je zakopać dosłownie wszędzie.

– I to mnie właśnie martwi – przyznał. – Ale nawet jeżeli to niewykonalne, trzeba zebrać jak najwięcej dowodów. Dobrze wiecie, że i takie procesy się wygrywa. Skoncentrujmy się na dowodach, które go obciążają. Co ze śladami bieżnika z opon?

– Jest gotowy. – Żaneta podała mu wydrukowany raport.

– Dziękuję. – Chwycił kartkę, spoglądając na wzór, jakby liczył na nagłe oświecenie. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Z całą pewnością nie pasuje do volkswagena Szulina. Musimy jeszcze sprawdzić bieżnik tego auta, które sprzedał. Mamy dane kupującego i dosyć dużo szczęścia, bo mieszka pod Jelenią Górą. W Janowicach Wielkich, o ile dobrze pamiętam.

- Wyślijcie do niego techników z nakazem prokuratora - polecił Hanter.

- Okej, zajmę się tym. - Żaneta skinęła głową.

- Komisarzu Hanter. - Głos młodego mężczyzny wybrzmiał zza otwieranych drzwi.

- Co jest?

- Jacek Szulin został chwilę temu zatrzymany. Wiozą go do nas - poinformował funkcjonariusz.

- Czyżbyśmy mieli aż takie szczęście? - Hanter klasnął w dłonie, nie mogąc się doczekać przesłuchania gówniarza. Ostatnio nieźle się nim zirytował, a mimo to żałował chłopaka i dał się wpuścić w maliny. Teraz doceniał jego inteligencję. Może i był młodym człowiekiem, ale jeżeli dokonał tylu morderstw i wyprowadził ich początkowo w pole, to nie wolno go więcej lekceważyć. Komisarz wstał z krzesła gotowy do działania. - Kuba, tak w celu dopilnowania formalności, pojedź jeszcze do szpitala przesłuchać tego podpalacza Hieronima. Wątpię, żeby rzucił nowe światło, ale kto wie.

- Poczekajcie - zatrzymała ich Żaneta.

- Co jest? - Jakub spojrział na nią z ciekawością.

- Ja wiem, że już go mamy i brakuje tylko ciał, i może żadne psychologiczne dywagacje nie są potrzebne, ale czy nie byłoby dobrze poprosić Katarzynę Sarnecką o opinię albo stworzenie profilu psychologicznego naszego podejrzanego?

- Dziś i tak jej nie ma - zbył ją Tymon. - Poprosiłem Olgę, żeby ją gdzieś wysłała w innej sprawie - wyjaśnił ogólnikowo. - Poza tym czy profilu nie zleca się, by łatwiej było wytypować zabójcę, którego my już mamy?

- No tak, ale... - Żaneta nie odpuszczała.

- No, mów, co ci leży na wątrobie.

- Ta Iga mi tu w ogóle nie pasuje, a wam?

- To znaczy? - Tymon nie wiedział, o co może jej chodzić.

- Przecież nie tylko *modus operandi* jest inny, ale i wiek dziewczyny. Do tej pory średnia wynosiła osiemnaście lat, tak?

- Plus minus rok - przytaknął Jakub.

- No właśnie. A ona miała piętnaście. Ale to jeszcze nie wszystko. Przypatrzcie się dokładnie, jak te dziewczyny wyglądały. Czy widzicie tutaj jakiś klucz doboru?

- Każda była inna - odparł pospiesznie Tymon. - Też myślałem, że wybiera podobne, ten sam kolor włosów czy oczu. Ale nie widzę wspólnej cechy. Do tej pory nie wiem, co powoduje, że akurat te dziewczyny wybrał - przyznał.

- Jest coś, co je upodabnia i zarazem wyróżnia Igę - powiedziała niepewnie. - Pierwsze sześć było szczupłymi chłopczycami bez biustów, przyjrzyjcie się. - Postukała palcem w ich fotografie. - Wystające kości policzkowe, nie nosiły makijażu i moim zdaniem pasowały do schematu. Ale nie ona. - Wzięła do ręki zdjęcie młodej Dąbrowskiej. - Ona była lekko przy kości, o delikatnej dziewczęcej urodzie, do tego z dużym, jak na swój wiek, biustem. Nie chcę być złym prorokiem, ale coś mi tu nie gra - dokończyła.

- Masz rację. - Kuba studiował portrety. - Ale tak jak mówiliśmy, jej nie chciał zabijać. Chciał z nią być, tyle że ona go odrzuciła, i zadziałał w afekcie - wyjaśnił. - Dla mnie to jasna sprawa.

- Dzięki, Żaneto, za uwagi. - Tymon zbierał się do wyjścia. - Będę o nich pamiętał.

- Jasne.

bbPrzed wejściem do sali przesłuchań skorzystał z toalety i zadzwonił do Aśki. Nie chciał, by ktokolwiek słyszał ich rozmowę, więc wyszedł na policyjny parking i wsiadł do auta.

- No, hej - przywitała go przeciągle.

- Spałaś? Obudziłem cię? – Zupełnie zapomniał, że wczoraj dojechali późno na miejsce i mogła jeszcze odsypiać.

- Już nie, ale jeszcze leżę w łóżku. Mieliliśmy długą noc... – Ziewnęła.

- Domyślam się. Miłosz coś powiedział? Jak on się teraz zachowuje?

- Jeszcze trudno powiedzieć. Spał, kiedy przyjechałyśmy. Obudził się tylko, by wejść do mieszkania i coś zjeść. Potem, cały czas na rękach Anieli, zasnął ponownie. I nie słyszałam, by rano chodzili po mieszkaniu. Chyba jeszcze są w łóżku. Oddałam im sypialnię i położyłam się na kanapie, ale strasznie tu niewygodnie. – Zaśmiała się. – W każdym razie w domu spokój i cisza.

- To dobrze – przyznał. Ucieszył się, że Aśka wydaje się spokojna i radosna. Zupełnie inna niż przez ostatnie dni. – A jak ty się czujesz?

Zdziwiło go, że choć nie widział jej zaledwie przez parę godzin, autentycznie mu jej brakuje. Może to świadomość, że była w innym mieście, z dala od niego, tak zadziałała.

- Jest okej, naprawdę. – Więcej nie chciała nic powiedzieć.

- Dobrze. Słuchaj, poprosiłem rano Olę Balicką, wiesz, o kogo chodzi, poznałyście się ostatnio na komendzie, żeby wysłała do was psycholożkę, Katarzynę Sarnecką. Dostała ode mnie twój adres. Wpuść ją, proszę, może uda jej się czegoś dowiedzieć.

- Jasne. A jak sprawa?

- Mamy Szulina. Zaraz będę go przesłuchiwał. – Myślał, że się ucieszy, że odetchnie, skoro zabójca nie przebywa na wolności, ale ona milczała. – Ej, Asia, co jest? Wszystko gra?

- Ja nie wiem, czy to on...

- Dlaczego? Wszystko pasuje. Mamy pełno dowodów, teraz brakuje nam tylko ciała.

- Tymon, ja niby to wiem, ale Iga przekonywała, że potwór jest w osadzie. Przecież gdyby podejrzewała Jacka, to by tak nie twierdziła.

- Czasem po prostu nie wiemy, z kim spiamy. Nigdy nie znamy do końca ludzi, którym ufamy... Poza tym ona ci nawet o nim nie wspominała. Nie zastanawiasz się dlaczego?

– No dobra, nie wtrącam się, ale... – Westchnęła. – A zresztą.

– Muszę lecieć, dzwonią już po mnie. Buziaki. – Rozłączył się, nie czekając na jej odpowiedź. Zobaczywszy Jacka Szulina w kajdankach prowadzonego na komendę, poczuł nagły przypływ adrenaliny.

Zanim wszedł do sali, obserwował go chwilę przez weneckie lustro.

– Gdzie go zgarnęliście? – zapytał policjanta, który go przyprowadził.

– Na dworcu kolejowym, panie komisarzu. Patrolowaliśmy wszystkie punkty komunikacyjne i dopisało nam szczęście – wyjaśnił i wyprostował się z dumą.

– Hm... chyba jednak nie jest aż tak inteligentny, skoro zakładał, że ucieknie pociągiem w biały dzień – wymamrotał po nosem.

– Może myślał, że najciemniej będzie pod latarnią – odpowiedział chłopak, usłyszawszy jego szeptanie.

– Może...

Jacek Szulin wyglądał na zdezorientowanego. Jego przydługa blond czupryna pozostawała w nieładzie, rozbiegany wzrok przeskakiwał wciąż na inny punkt sali. Zachowywał się, jakby nie wiedział, co się dookoła dzieje. Zaciskał dłonie i pochylił tułów. Zdawał się załamany. Nie tego spodziewał się Hanter. Nie takich psychopatycznych morderców przesłuchiwał do tej pory. Zazwyczaj byli to pewni siebie ludzie, buńczuczni, pełni pogardy dla świata i przekonani o własnej wielkości. Zanim wszedł, zwrócił jeszcze uwagę na znamię na jego karku. Dawało się zobaczyć dopiero, kiedy Szulin schylał głowę, ale Hanter był pewny, że gdzieś już je widział. Czy to możliwe, że dostrzegł je już przy pierwszym spotkaniu, ale nie zarejestrował tego faktu?

– Komisarz Komendy Miejskiej we Wrocławiu, Wydział Kryminalny, Tymon Hanter. – Rzucił na biurko akta i usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę.

– Przecież wiem, kim jesteś, rozmawialiśmy już. – Mina chłopaka wydawała się nadal niepewna.

– To tak dla formalności, gdybyś chciał nam zarzucić, że ich nie dopilnowaliśmy – wyjaśnił. – Zostałeś zatrzymany w sprawie o zabójstwo

Igi Dąbrowskiej, ale mamy powody, by przypuszczać, że to nie jest twoja jedyna ofiara. Poza nią było jeszcze sześć innych. Myślę, że nie muszę wymieniać nazwisk, sam doskonale je znasz.

Spojrzał na chłopaka, ale ten zamarł w bezruchu. Otworzył szeroko oczy, jakby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał.

– Słuchaj, Szulin, to już nawet nie jest moment, kiedy mógłbym zaproponować: „Współpracuj, a dostaniesz mniejszy wyrok”. Z takimi obarczającymi dowodami starość spędzisz za kratami, o ile uda ci się jej dożyć. Ale, do cholery, okaz trochę człowieczeństwa i powiedz, gdzie ukryłeś zwłoki. Daj szansę rodzinom na godne pożegnanie swoich córek.

Chłopak zaczął trząść się z nerwów, a do oczu napłynęły mu łzy.

– Chcecie mnie w to wrobić? Zapłacili wam, tak? – Podniósł głos. – Ile wam dali za umycie rączek i zrzucenie winy na tego, który chciał ją chronić? – Teraz już niemal krzyczał.

– Radziłbym się uspokoić, chyba że lubisz być pacyfikowany – pogroził mu komisarz.

– Chcę adwokata – zażądał po chwili zastanowienia. – Niczego wam, psy, nie powiem bez obecności prawnika! – rzucił z nienawiścią.

– Oczywiście, masz do tego prawo. Chcesz po kogoś zadzwonić czy przydzielić ci jednego z urzędu? – Tymon nie tracił zimnej krwi.

– Nie znam nikogo i nie mam pieniędzy – wyznał z rezygnacją zatrzymany. – A z tym prawnikiem z urzędu sprawa jest już z góry przegrana, nie? – ocenił swoją beznadziejną sytuację. Nie pojmował, co takiego wydarzyło się przez ostatnie dwa dni, że rzeczy przybrały tak beznadziejny obrót. Bał się iść do więzienia, bał się, że zrobią mu to, co robią młodym, ładnym chłopakom, w dodatku skazanym za zbrodnie na dzieciach. Bo choć Iga liczyła piętnaście lat, to z pewnością gliny szybko dorobią niestworzone historie, co z nią wyczyniał, i rozsieją ploty po więzieniu. Czy tak ma się skończyć jego życie? Nie, to nie może być prawda! Poczuł, jak z nerwów trzęsą mu się nogi. Próbował to opanować, ale nic nie pomagało.

– To może zacznij współpracować – zachęcił go łagodniejszym tonem Hanter. Zastanawiał się, co jest nie tak, bo ewidentnie w tym nędznym

obrazie Jacka Szulina coś mu nie pasowało.

– Ja jej nie zabiłem – powiedział stanowczo. – To nie ja, rozumiesz? Nie ja... – Wytrzeszczył na rozmówcę przerażone oczy.

– Dobrze, nie ty... W takim razie po prostu porozmawiajmy. – Hanter zaczął rozważać, czy chłopak nie cierpi na coś w rodzaju rozszczepu osobowości. Co prawda, nigdy w swojej policyjnej karierze nie natknął się na taki przypadek, ale przecież zdarzają się i takie osoby. – Czemu wczoraj uciekałeś?

– Co? – Szulin zmrużył oczy, nie dowierzając.

– Wczoraj koło godziny dwudziestej drugiej, kiedy przyszedłem do twojego mieszkania przesłuchać cię, uciekłeś, zabierając część obciążających cię dowodów. Nie zdążyłeś zabrać wszystkich, bo cię nakryliśmy. Słuchaj – zirytował się – jeśli mamy rozmawiać, to szczerze, inaczej to bez sensu.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, Jacek Szulin zaczął się głośno śmiać, a z oczu popłynęły mu łzy. Wyglądał jak szaleniec, który nie jest w stanie opanować buzujących skrajnie różnych emocji.

– Nie rozumiem, powiedziałem coś śmiesznego? – Tymon spoważniał. Nie miał ochoty bawić się z psycholem.

– Wczoraj? – Jacek śmiał się i płakał jeszcze głośniej. – Wczoraj wieczorem byłem w Warszawie na spotkaniu rekrutacyjnym – oświadczył w końcu. Wiedział, że dopisało mu szczęście. Strach przed niesłusznym oskarżeniem przerodził się nagle w ulgę i poczucie odrealnienia. Zdawał sobie sprawę z tego, jak łatwo jest kogoś oskarżyć. Jak łatwo w jednej chwili zrujnować komuś życie. Był wycieńczony emocjonalnie i fizycznie po ciężkim dniu i rzeczywiście nie panował już nad emocjami. Podróż pociągami, choć powinna trwać jedynie cztery godziny, faktycznie trwała dziesięć. O pierwszej w nocy stanęli na torach w szczerym polu i czekali. Najpierw poszła pogłoska, że to przez samobójcę, który rzucił się pod kolej, ale później okazało się, że złomiarze rozebrali część torów i wszystkie pociągi musiały czekać, aż odpowiednie służby naprawią szkody. Do Jeleniej wrócił więc wykończony. A mimo to Jacek Szulin uznał, że tego dnia miał cholerne szczęście, bo zrozumiał, że to

oskarżenie to pomyłka i że jest w stanie to udowodnić. A to znaczyło, że był uratowany.

Ten sam dzień

Wiedział, że to będzie dziś. Od samego rana czuł w ciele znajomy dreszcz. Bóg go wzywał. Żądał kolejnej ofiary, dowodu na jego niczym niezachwianą wiarę. Już czas... szeptał mu do ucha. Dziś wyjdiesz na łowy i dasz mi to, czego pragnę. Od ostatniego rytuału minęło pół roku. Śmierć młodej Igi Dąbrowskiej się nie liczyła, ona nie pasowała do schematu, nie przeszła rytuału, nie mogła być uznana za ofiarę dla Pana! Niekiedy nie był przekonany, czy głos faktycznie pochodził od Boga, czy od potwora, który w nim żył. Ale nie miało to znaczenia. Miłował ich obu równie mocno i czerpał od nich siłę i pewność. Wiedział, że kroczy drogą wybrańców. Nie każdy zdolny jest do takich rzeczy. Nie każdemu dane osiągnąć taką wartość.

Wewnątrz swojej ciemnej duszy zaczął jednak toczyć walkę pomiędzy pożądaniem i powinnością a rozsądkiem. Do tej pory zawsze uważał na to, co robi. Wszystko miał dokładnie zaplanowane i wyliczone. Nie było szans na to, by ktoś odkrył, kim jest i czego dokonał. Ale ostatnimi czasy sytuacja w osadzie zmieniła się diametralnie. Osada była pod obserwacją, dookoła, niczym myśliwski pies, węszył Tymon Hanter, ludzie zaczynali szeptać, matki bały się o swoje dzieci. W tym momencie polowanie w osadzie nie byłoby rozsądne.

Wziął głęboki oddech i starał się odprężyć. Musi pomyśleć spokojnie. Ani Bóg, ani Szatan nie wybacząją pomyłek. Opadł na oparcie fotela i zamknął oczy. W głowie pojawił mu się obraz Miłoszka. Jego chudych, bladych nóżek, ramionek z wystającymi kośćmi obojczyka, ufnego spojrzenia i wielkich oczu. Poczuł, jak członek mu twardnieje, i położył na nim rękę. Początkowo bał się tych myśli. Sam sobie zabraniał pochyłać się nad nimi, próbował je kontrolować. Karał się poprzez uderzanie z całych sił w klatkę piersiową, kiedy tylko przychodziły mu do głowy. Jego tors pokryty był rozległymi siniakami. Ale w końcu zrozumiał, że to nie jest

nic złego. Skoro w jego wielkim umyśle wybrańca pojawiają się takie obrazy, to tylko dlatego, że Bóg tak chce. Na tym świecie nic nie dzieje się bez Jego woli. Długo mu zajęło zrozumienie tego. Przeszukał cały internet i wszystkie znane mu religijne księgi pod kątem składania ofiary z dzieci. Nie ze wszystkich dzieci, tylko z chłopców. Czuł, że dziewczynki musi zostawić w spokoju. Znalazł wiele historii potwierdzających swoje przypuszczenia. Bóg szykuje dla niego kolejną misję. To pewne. Ale czy chodzi o zabójstwa?

Te niewierne dziewczyny musiał ukarać. Nie chciały mu zaufać, nie wierzyły w nadchodzącą apokalipsę, wyśmiewały i nazywały czubem. Zwłaszcza te spoza osady. Kiedy chodził po ludziach, by głosić wiarę i zbierać owoce, często się to zdarzało. Niewierni wiele razy go wyśmiewali, polemizowali z nim, nie przyjmowali za oczywiste jego wielkości i przesłania, jakie niósł im od Boga. Ale one dodatkowo go kusiły. Z jednej strony okazywały pogardę, z drugiej chciały przeciągnąć na swoją stronę, odsunąć od Boga, skazać na wieczne potępienie. Używały do tego ciała, co jest oczywiste.

Chude, wątle ramionka, nogi ze szparą między udami, wystające kości policzkowe i duże, ogromne wręcz oczy. Takie jak u Miłozska. Poczuł, jakby nabrzmiały fallus chciał wyskoczyć ze spodni, a dół brzucha przenikało przyjemne mrowienie. Rozsunął rozporek i ułożył się wygodniej w fotelu. Pewnym ruchem chwycił penisa i zaczął pocierać. Przypominał sobie, jak wczoraj, kiedy wrócił do domu, przeczytał w internecie informację o jednej z bratnich sekt religijnych ze Stanów Zjednoczonych. Ich członkowie zostali aresztowani za wlewanie w ciała swych dorastających braci nasienia wiary i nadziei na życie w raju. Ten popieprzony zachodni świat nigdy nic nie zrozumie, nie uzna żadnych świętości. Ale to go nie może powstrzymać. Już wiedział, jaką nową misję powierzył mu Pan. Był gotów ją spełnić. Jeszcze tylko dziś złoży ofiarę z kobiety, a później zajmie się edukacją najmłodszych... Jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz ekstazy.

Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Czyli twierdzi pan, że Jacek Szulin był na spotkaniu z panem i dwiema innymi osobami z HR-ów wczoraj, między godziną osiemnastą a dwudziestą, zgadza się? – upewniał się podczas rozmowy prowadzonej przez Teamsa Tymon Hanter.

– Tak – przyznał mężczyzna w garniturze siedzący po drugiej stronie kamery.

– A czy mogę zapytać, czy ta pora jest standardowa dla tego typu rozmów?

– Owszem. Zależy nam, by nie marnować czasu w ciągu dnia. Staramy się być jak najbardziej efektywni w wypełnianiu swoich codziennych obowiązków. Oczywiście, każdy pracujący po godzinach zostaje za to sumiennie wynagrodzony – zapewnił.

– Na jakie stanowisko aplikował?

– Programisty. To bardzo zdolny chłopak, samouk. Rzadko się tacy zdarzają.

– Zatrudni go pan?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Bo ewidentnie jest nie zrównoważony psychicznie. Podczas luźnej rozmowy o nadchodzącym Świącie Zmarłych zaczął płakać i opowiadać o niestworzonych rzeczach. No, cóż... – Chrząknął. – Szkoda, wielka szkoda.

– Rozumiem. – Tymon nie wiedział, o co jeszcze mógłby spytać. Sprawa wydawała się jasna. To nie Szulin uciekał wczoraj przed nimi z mieszkania. – Dziękuję za rozmowę. – Kliknął czerwoną słuchawkę, rozłączając się.

Wytrzymał tylko chwilę, zanim dał upust emocjom.

- Noż, kurwa jebana mać! - zaklął na całą salę, a w przestrzeni rozległ się huk uderzenia pięścią o blat biurka.

- Tymon? - zapytała niepewnie Żaneta. - Mogę wejść?

- *Sorry* - przeprosił. - Nic mi w tym śledztwie nie idzie tak, jak powinno.

- Rozumiem, zdarza się. - Podeszła i położyła dłoń na jego ramieniu. - Wydrukowałam ci raporty techników, może pomogą.

- Dzięki. - Spojrzał na zegarek na przegubie ręki. Dochodziła dwiętnasta. Czas strasznie szybko upływał. A on dalej nic nie miał.

Przeczytał pobieżnie każdą kartkę i niestety było tak, jak przypuszczał. Bieżnik z opon samochodu nie pasował do tego znalezionej w prawdziwym miejscu potrącenia Igi. A zdjęcie grupowe Jacka Szulina z potencjalnymi zamordowanymi dziewczynami niemal na sto procent preparowano. Jak napisała technik kryminalistyczna Jagoda Bukowska, nawet dziecko poradziłoby sobie z fotomontażem na tym poziomie. Nie znaleziono też żadnych odcisków palców na fiolkach oraz fotografiach. Poza dwoma, a mianowicie na zdjęciach Igi i Jacka. Na nich znaleźli jego odciski. Ale to nic nie znaczy.

Raport jeszcze bardziej go podłamał. Czy był aż tak ślepy? Czy uwziął się na Szulina i dążył do skazania niewinnej osoby? Ktoś ewidentnie wrabiał tego chłopaka. Prawdziwy zabójca przebywał wczoraj w mieszkaniu na Zabobrze i podrzucał dowody. Nie zdążył zostawić wszystkich fiolek, bo Hanter go zaskoczył. Musiał wiedzieć, co łączyło ze sobą tych dwoje. Musiał też, a przynajmniej Hanter teraz tak zakładał, znać zamiary Jacka w stosunku do dziewczyny i wiedzieć, że chce z nią zamieszkać. Wiedział, że znajdzie tam jej pokój, bo jak przyznał Szulin, to tu miała zatrzymać się Iga po odejściu z sekty. Chłopak twierdził też, że nigdy go nie zostawiła, że nigdy nie kazała mu trzymać się z daleka. Pytanie brzmiało więc, kto naopowiadał policjantowi tych bzdur i komu zależało na wrobieniu młodego. Właściwie każdy w sekcji tak dowodził. Brat Albert, ojciec Igi i... Potarł ręką napięty kark i wtedy go olśniło.

- Kark. Ja pierdołę, ale byłem ślepy! - Opadł na krzesło i wciął nie wierzył w swoje odkrycie.

- Co jest? Coś tam znalazłeś? - Żaneta spojrzała na papiery w jego rękach. Zdziwiła się, bo przeglądając je na szybko, nie natrafiła na nic godnego uwagi.

- Muszę jeszcze raz z nim porozmawiać. Poczekaj tu! - Rzucił się pędem do drzwi.

Jacek Szulin siedział nadal w sali przesłuchań. Miał w niej zostać, dopóki nie potwierdzą jego alibi. Mogli w tym czasie odesłać go do aresztu, ale nie chcieli mu robić problemów. Jeżeli faktycznie ktoś go wrabiał, kolejne traumy nie były mu niepotrzebne.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - Hanter stanął naprzeciwko niego i kręcił głową z niedowierzaniem.

- A więc już wiesz. Odkryłeś prawdę. - Spojrzał na niego z nadzieją. - W takim razie wiesz też, że nie mogłem jej zabić. Kochałem ją z całego serca i pragnąłem wyrwać z tej pieprzonej sekty. Ale nie dałem rady... - Spuścił głowę.

- Była twoją siostrą, nie dziewczyną - odgadywał Hanter.

- Tak - przyznał. - Była moją siostrą.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałeś? Wtedy, kiedy przesłuchiwałem cię pierwszy raz? - Nie mógł zrozumieć.

- A jakie by to miało znaczenie? Ty i tak już zanim przyszedłeś, wyrobiłeś sobie zdanie o mnie. Poza tym nie wiedziałem, że sprawy tak się potoczą. A nie zamierzałem plamić imienia mamy ani taty.

- Ale twój ojciec to Tomasz Dąbrowski, ojciec Igi.

- Tylko biologicznie - obruszył się, jakby to stwierdzenie go ubodło. - Kiedy moja mama była młodą dziewczyną, zakochała się w przystojnym mechaniku, Tomaszu Dąbrowskim. Miała zaledwie osiemnaście lat i dopiero wkraczała w dorosłe życie. Wychowana w domu dziecka, pozbawiona ciepła i miłości rodziców, zakochała się bez pamięci w pierwszym człowieku, który wyznał jej miłość i okazał zainteresowanie. Niestety, Tomasz Dąbrowski zrobił to tylko w jednym, wiadomym celu i kiedy okazało się, że mama jest w ciąży, zostawił ją, mówiąc, że coś sobie uroiła, że nigdy jej nie dotknął i że w domu czeka na niego kochająca żona. Mama się załamała. Nie wiedziała, że był żonaty. Chciała się zabić,

ale na szczęście mój tato ją uratował. – Ton jego głosu złagodniał. – Naprawdę – przekonywał go. – Stał się jej wybawicielem i wielką miłością. Ponoć nigdy jej nie zapytał o przeszłość, a mnie wychowywał jak swojego syna. Myślę, że wierzył w to, że nim byłem. Kiedyś zapytałem mamę, czy tata wie, odparła, że wie, że ktoś ją skrzywdził, ale nie zna szczegółów. Nigdy o tym nie rozmawiali, nie chciał jej ranić omawianiem trudnych przeżyć. Dlatego i ona prosiła mnie o dyskrecję.

– A ty, jak się dowiedziałeś?

– Pewnego dnia Iga przysłała do mnie ze starszą koleżanką głosić słowo Pana – wrócił wspomnieniami do początku. – Miała może dwanaście lat i bardzo źle się czuła, był upał, a one musiały odwiedzić tego dnia osiemdziesiąt mieszkań. Mama zaprosiła je do kuchni, poczęstowała wodą z cytryną i wtedy Iga zobaczyła moje znamię. Powiedziała radośnie, że to znak od Boga, bo jej tato też ma takie znamię w kształcie gwiazdy na karku, i wtedy mama upuściła szklanke. Od zawsze wszyscy mi mówili, że chyba jestem adoptowany, bo do nikogo niepodobny. Wiesz, jak to dzieciaki w szkole. Niby brałem to na żarty, ale po poznaniu Igi postanowiłem z mamą porozmawiać. Błagała mnie, żeby to nigdy nie wyszło na jaw.

– Gdzie są teraz twoi rodzice?

– Nie żyją. Tego samego lata wypłynęli łódką na ryby i nie wrócili. Ich ciała znaleziono trzy dni później. Została mi wtedy tylko ona. Siostra, która potrzebowała mojej pomocy, uwięziona w sekcie. Zaczęliśmy się przyjaźnić, pozwalałem jej przychodzić do mnie i rozmawiać o religii, a z czasem zaufała mi na tyle, by mówić, co naprawdę myśli o Dzieciach Dnia Apokalipsy.

– Wiesz, kogo uważała za bestię?

Jacek Szulin pokręcił przecząco głową.

– Nie mam pojęcia i nie wiem, czy ona to odkryła. Tej nocy, kiedy zginęła, planowała zabrać z jakiegoś rancza dowody. Myślałem, że chodzi o przekręty finansowe i że jak ich zaszantażujemy, to pozwolą nam razem mieszkać. Ona mi nie mówiła, że podejrzewa ich o zabijanie dziewczyn, raczej sypała ogólnikami typu, że coś tam się dzieje złego, że oni niszczą

ludzi, że dziewczyny znikają bez śladu. Ale wiesz, sądziłem, że po prostu odchodzą. Powiedziała, że chce jechać do jakiejś Aśki, która też kiedyś odeszła, pokazać jej wszystkie dowody. Umówiliśmy się na dworcu kolejowym, ale Iga nie wiedziała, na który pociąg zdaży. Prosiła, żebym po nią nie przyjeżdżał. Ludzie z osady byli na mnie uczuleni i od razu zrobiłoby się zamieszanie. Czekałem kilka godzin.

– Ale nie przyszła... – dokończył Hanter.

– Nie przyszła. Jakiś sukinsyn rozjechał ją na drodze.

– Bardzo mi przykro, naprawdę. Zrobię wszystko, żeby go dopaść.

– No, ja myślę. – Próbował wykrzesać z siebie lekki uśmiech.

– Ale ty przecież bywałeś w osadzie, prawda?

– Tak, zanim jeszcze stałem się *persona non grata*. Udawałem, że chcę do nich przystąpić, żeby móc ją widywać.

– I twój ojciec cię nie rozpoznał? – zdumiał się.

– Nie, od pierwszej chwili za to odnosił się do mnie z pogardą, i tak już zostało – powiedział to normalnie, niby od niechcienia. Jakby taka informacja nie miała dla niego żadnego znaczenia.

– A Iga wiedziała? – Tymona zafascynowała ta historia. Nieczęsto spotykał tak pokręcone i zawiłe opowieści o ludzkich perypetiach.

– Nazywaliśmy siebie rodzeństwem, ale tak w przenośni. Wolałem nie mówić jej, dopóki nie dorośnie. Wiem, jak takie rewelacje wpływają na dojrzewającą osobowość. Zresztą teraz, jak tak na to patrzę, to nie wiem, na co liczyłem. Dopóki nie ukończyłyby osiemnastu lat, i tak nie mogłaby odejść. To wszystko od początku skazane było na niepowodzenie.

– Czekaj, czekaj! Tomasz Dąbrowski zeznał, że kupiłeś takie samo auto, by wozić Igę po mieście, nie wzbudzając podejrzeń... – Puls nagle mu przyspieszył, bo elementy układanki zaczęły się składać w całość.

– Tak, to akurat prawda. Wszędzie porozstawiali swoich wyznawców, ale nie są na tyle inteligentni, by sprawdzać blachy.

– I twierdzisz, że ojciec Igi jest mechanikiem?

– Owszem, coś nie tak? – zdziwił się, widząc jego napiętą minę.

- Muszę lecieć. Mam coś do załatwienia. Trzymaj się, jesteś wolny! - krzyknął, znajdując się już za drzwiami.

Ten sam wieczór, droga do Jeleniej Góry

Obrazy wsi i małych miasteczek miały jej za szybą niepostrzeżenie. Pola, lasy, uliczne latarnie podczas przejazdu przez jakąś wieś, fotoradar, którego nie zauważyła, ale na szczęście najwyraźniej nie jechała za szybko, skoro urządzenie nie rozświetliło ulicznych ciemności lampą błyskową. McDonald's, stacja benzynowa skąpana w świetle reflektorów niczym wieża Eiffla. A przed nią ciemność. Zanim wyjechała, zadzwoniła do Tymona, ale nie odebrał. Nie czekała długo, nie zastanawiała się, po prostu wskoczyła w auto i była już w drodze. I chociaż potem oddzwaniał do niej kilkakrotnie, wolała przyjechać i przekazać mu wiadomość osobiście. Może po prostu chciała go zobaczyć. Może pomimo deklaracji pozostania na wieki singielką i przemierzania swojej życiowej wędrówki w pojedynkę potrzebowała poczuć ciepło jego ciała, gdy bierze ją w ramiona i tuli? Zobaczyła na wyświetlaczu deski rozdzielczej jego imię. Dzwonił po raz czwarty, ale wiedziała, że jeżeli teraz odbierze, to będzie jej kazał natychmiast wracać do Wrocławia.

- Poczekaj chwilę - wymówiła głośno, nie odbierając. - Jeszcze tylko trzydzieści minut i wszystko ci opowiem. - Przycisnęła mocniej pedał gazu, silnik jej starego forda zawył głośniejsze, ale moc nie nadążała za potrzebami. - No, dawaj, maleńki, jeszcze tylko chwila - powiedziała do auta.

Wciąż miała przed oczami obraz z dzisiejszej sesji. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie znała się na psychologii i nie orientowała się, jak można wyciągnąć z człowieka zamknięte w środku wspomnienia. Była zarówno przerażona, jak i pod wrażeniem. Może nawet zastanawiała się, czy jej nie przydałaby się taka sesja...

Katarzyna Sarnecka przyjechała koło południa. Pomimo różowego welurowego dresu emanowała elegancją i stylem, co bardzo Aśkę zdziwiło i może nawet lekko zirytowało. Ona nigdy nie wyglądała równie

efektownie nawet w odświętnych ubraniach. Co więcej, pani psycholog od razu złapała kontakt z Miłozsem. Zaczęła się z nim bawić, zabrała jego i Anielę na ogromny plac zabaw, którego Miłozs nigdy w życiu nie widział, a po obiedzie, kiedy chłopak był już bardzo zmęczony i potrzebował odpoczynku i relaksu, zrobiła mu jakąś dziwną sesję terapeutyczną. Aśka nawet nie wiedziała, o co chodzi, ale ponoć Sarnecka była świeżo po szkoleniach w Londynie. Hipnoterapia dla dzieci, które doświadczyły traum. Twierdziła, że dziś mogą zacząć, ale nie będzie to spotkanie jednorazowe, że trzeba zrobić kilka sesji, by Miłozs przepracował to, co mu się przydarzyło, i by mógł przyswoić pozytywne i wspierające sugestie. Czy jakoś tak. Umówili się na codzienne seanse przez cały następny tydzień. Ale nie to było dla Aśki największym zaskoczeniem. Zszokowała ją łatwość, z jaką opowiadał o tym, co go spotkało, jakby mówił o kimś innym. Na przykład o chłopcu z obejrzanego wczoraj wieczorem filmu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie powiedział tego w osadzie, a tutaj bez problemu zwierza się obcej osobie. Dlaczego? – zapytała Sarnecką, kiedy skończyli.

– Tu czuje się pewnie i bezpiecznie. Odszedł od środowiska, które mu zagrażało i które zagrażało jego mamie – wyjaśniła. – Zaufał nam. To też twoja zasługa, bo to ty dałaś mu takie miejsce. Dzieci dużo szybciej przyzwyczajają się do zmian niż dorośli.

– Dzięki, ale mojej zasługi tu nie ma wcale. – Spojrzała na spokojną i zadowoloną minę chłopca jedzącego z mamą lody i się zaśmiała. – Słodki jest. – Poczowała przyływ nagłego wzruszenia. Nigdy w życiu nie chciała mieć dzieci. Wolała żyć sama ze sobą i dla siebie, odcięta od wszelkich emocji, ale teraz, kiedy na niego patrzyła, zaszklily jej się oczy.

– Trzymaj, to moja wizytówka. – Sarnecka podała jej tekturową karteczkę.

– Ale ja nie... – Nie dokończyła. Zaczynało do niej docierać, że ona też potrzebuje pomocy.

– To tak na wszelki wypadek. – Psycholog uścisnęła ją mocno, życząc dobrego wieczoru. – Aha, Asia. Dasz znać Hanterowi, czego się

dowiedzieliśmy, czy ja mam to zrobić? Oczywiście jutro skleję raport i dostarczę na komendę, ale może dobrze, gdyby wiedział już dziś?

Przez chwilę Aśka zastanawiała się, czy ta kobieta wie coś więcej na jej temat, czy celowo podpytuje o jej możliwość kontaktu z Tymonem. Ale potem stwierdziła, że przypisuje Kasi dużo większe zdolności, niż może mieć, i zaśmiała się tylko.

– Powiem mu – obiecała. – Za chwilę do niego zadzwonię.

Piąta próba Hantera wytrąciła ją z zamyślenia. Tym razem nacisnęła na czerwoną słuchawkę i odrzuciła połączenie. Jedną ręką napisała szybko: „Oddzwonię, jestem zajęta”.

– Poczekaj chwilę, Hanter, poczekaj chwilę – wyszeptała, stukając nerwowo palcami o kierownicę.

Blizna. To była wiadomość dla niego. Potwór miał bliznę. Raczej świeżą, bo jeszcze czerwoną. I raczej podłużną niż okrągłą. Miłosz powiedział, że była długa, zaczynała się w miejscu między rękawiczką a czarną peleryną, czyli zapewne na nadgarstku, i nie widział jej zakończenia. Wysnuła więc wniosek, że zobaczył ją przez nieuwagę mężczyzny. Próbowwała przypomnieć sobie, czy podczas pobytu w osadzie dostrzegła u kogoś taką bliznę, ale nie. Niskie temperatury i długie rękawy nie ułatwiały sprawy. Właściwie jedyną osobą, którą mogła wykluczyć z grona podejrzanych, był ten oblech Marcin Zabłocki. Jego spalone, owłosione ręce z kilkoma pieprzykami widziała w całej okazałości. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie o nim.

Nie zauważyła nawet, kiedy minęła Kaczorów, a potem zjazd na Janowice Wielkie. Po obu stronach drogi wyrosły nie wiadomo skąd jakieś dwie stacje paliw, a przed nią rozpościerała się ostatnia prosta – pokona drogę przecinającą las i za chwilę będzie w Jeleniej Górze. Nagłe szarpnięcie kierownicy w lewą stronę przestraszyło ją.

– Aaa! – krzyknęła, nie wiedząc, co się dzieje. Próbowwała utrzymać tor jazdy, ale było to trudne, bo auto odbijało w bok z dużą siłą. Wcisnęła hamulec najmocniej, jak potrafiła, i instynktownie zamknęła oczy. – Uff... – Odetchnęła, kiedy się zatrzymała.

Rozejrzała się dookoła. Stała na poboczu z lewej strony. Miała cholerne szczęście, że gdy przecinała pas jezdni, z naprzeciwka nie jechało żadne auto. Wyszła z pojazdu i momentalnie poczuła chłód. Otworzyła tylne drzwi, wyciągnęła kurtkę i włożyła ją, szczelnie zapinając. U podnóża gór było jednak zdecydowanie zimniej niż we Wrocławiu.

– Guma – stwierdziła, bacznie przyglądając się sflaczałej oponie. – Cholerna guma.

Sama tego nie ogarnie. Nie w tych egipskich ciemnościach. Sięgnęła po telefon, chcąc wybrać numer Tymona, ale brak kresek na wyświetlaczu zakomunikował jej problemy z zasięgiem.

– No, kurwa mać! – krzyknęła, kopiać w zepsutą oponę.

W oddali zobaczyła światła nadjeżdżającego samochodu. „Głupi ma zawsze szczęście”, pomyślała i podeszła do pasa jezdni, machając, by kierowca się zatrzymał. Oby tam nie siedziała za kierownicą jakaś bezradna kobieta. Auto zwolniło, włączyło kierunkowskaz i zjechało na pobocze. Z wnętrza białej furgonetki wysiadł mężczyzna. Początkowo go nie rozpoznała. Zbyt duże zdenerwowanie całą sytuacją przesłoniło jej ostrość widzenia.

– Dziękuję, że się pan zatrzymał. Bardzo dziękuję. – Klasnęła w dłonie, kiedy mężczyzna do niej podchodził.

– Bóg jest sprawiedliwy.

Usłyszała znajomy, poważny głos i choć w tej ciemności, rozświetlonej tylko reflektorami, nie widziała dokładnie jego twarzy, to doskonale wiedziała, kim jest.

– A Jego sprawiedliwość dosięgnie i nas... – Spuściła głowę, zastanawiając się, co ona właściwie robi. Przecież nie należy już do tej sekty, przecież się wyzwoliła, przecież jest wolnym, szczęśliwym człowiekiem! Dlaczego więc zachowuje się jak potulna owieczka prowadzona na rzeź? Na rzeź? To sformułowanie przyszło jej do głowy jako pierwsze i poczuła nagły przyływ strachu.

– Co się stało, siostró Joanno? – zapytał.

– Ja... To znaczy... – zająknęła się. Nie czuła się przy nim komfortowo, choć przecież nigdy nie zrobił jej niczego złego. – Złapałam gumę –

wydukała w końcu.

Wiatr zawył w koronach drzew, niosąc ze sobą lodowaty powiew. Pomimo kurtki zrobiło jej się potwornie zimno.

- Zaraz temu zaradzimy. Nie martw się, przecież nie zostawię cię w potrzebie. Chodź, usiądź w moim aucie, włączę ci ogrzewanie, widzę, że marzniesz. - Jego głos był miły i spokojny.

Nie wiedziała, dlaczego czuła się nieswojo. Nie chciała wsiadać do jego samochodu, ale nie miała innego wyjścia. Poza tym czego tak naprawdę się bała? Pytała samą siebie. „Przecież nic złego się nie dzieje. Nic złego się nie dzieje” - powtarzała w myślach. Wsiadła, nie chcąc dać po sobie poznać, że mu nie ufa.

- Dziękuję - odparła niepewnie. Głos jej zadrżał i bała się, że mężczyzna to zauważył.

- Nie lękaj się. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Bóg mnie do ciebie sprowadził, sestro - powiedział z przekonaniem. - Widocznie coś dla nas zaplanował. - Zamknął za nią drzwi i usiadł obok.

Aśka poczuła nagły przypływ paniki. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, była biała szmata trzymana przy jej buzi przez rękę z blizną na przedramieniu.

Kolejny dzień, rano, dom Tymona, Karkonoska Osada

Tymon Hanter spojrział w lustro wiszące na ścianie nad umywalką. Wyglądał jak zombi. Tej nocy nie mógł zmrużyć oka. Po wieczornej rozmowie z Jackiem Szulinem od razu zadzwonił do Roberta Kowalika i jasno wyłożył swoje podejrzenia. Oczekiwał, że prokurator nie będzie zwlekał, tylko od razu wyda nakaz aresztowania Tomasza Dąbrowskiego. Wszystko się przecież zgadzało. Był właścicielem auta odpowiadającego opisowi świadka, fanatykiem religijnym oraz pozbawionym emocji psychopata, którego nie obeszła nawet śmierć własnej córki. Który nie okazał nawet odrobiny żalu. Poza tym od początku zrzucał winę na Jacka, dając do zrozumienia, że młody chłopak oszalał, kiedy Iga go odrzuciła. Dlaczego Tymon od razu na to nie wpadł? Czy było to zbyt oczywiste? Przecież nie od dziś wiadomo, że sprawcami większości zbrodni są najbliżsi ofiary. Iga przynosiła ojcu wstyd, tak powiedział. To były jego własne słowa. Kalala dobre imię ich wspólnoty, opowiadała niestworzone historie, wystawiając ich na pośmiewisko, a co najgorsze – puszczała się z człowiekiem niewierzącym. A przynajmniej tak musiał myśleć, nie wiedząc o tym, że Jacek Szulin to jego rodzony syn. Tomasz Dąbrowski miał wiele powodów, by zabić własną córkę. I jakkolwiek to straszne, to nie był jedynym rodzicem na świecie, który to zrobił. Co rusz słyszy się w wiadomościach ze świata, a zwłaszcza z krajów islamskich, o kamienowaniu kobiet, o zabójstwach młodych dziewczyn dokonanych przez ich ojców pragnących zachować honor. Bo zbyt długo patrzyła na jakiegoś chłopaka, bo kogoś pocałowała, bo ściągnęła chustę i pokazała włosy, bo wrzuciła na Instagram swoje zdjęcie. Do tej pory myślał, że Polska jest wolna od tak skrajnego fanatyzmu religijnego, ale nie.

Tylko że prokurator Kowalik, nie chciał działać *ad hoc*. Stwierdził, że drugi raz nie mogą się pomylić i nie będzie wystawiał żadnego nakazu aresztowania bez przedłożenia sprawy na zebraniu grupy dochodzeniowo-śledczej. Hanter zaklął w myślach, ale musiał ustąpić. Nie miał wyjścia. Najpierw go nosiło, był wściekły, że facet nie widzi tak oczywistych rzeczy, potem jednak sam zaczął zadawać sobie pytania. O ile wszystko wskazywało na to, że Tomasz Dąbrowski faktycznie zabił własną córkę, a potem zgrabnie skierował podejrzenia na Jacka i podrzucił do jego domu obciążające dowody, to dlaczego zabijał pozostałe dziewczyny? Tego Hanter nie wiedział. Nie mieli też żadnych dowodów rzeczowych wskazujących na winę tego człowieka, poza historią gładko układającą się w głowie komisarza. Potrzebował nakazu przeszukania jego domu i warsztatu. A co najważniejsze – auta, które mogło być narzędziem zbrodni. Być może znajdzie tam również ślady po pozostałych zabójstwach. Musi ogarnąć się emocjonalnie i poczekać na papierki. „Opanuj się” – powtarzał sobie. Ale było to trudne, zwłaszcza że oliwy do ognia dolewała Aśka, która nie zamierzała wczoraj od niego odebrać. W końcu się na nią wkurzył i wrócił do osady.

A tu nie było zasięgu. Być może oddzwoniła do niego kilka razy i zobaczyła, jak to jest być olewaną, bo tak się wczoraj poczuł. Zarzucił na siebie skórzaną kurtkę i wyszedł. W drodze do bramy dał za wygraną, pokonała go własna ciekawość. Poszedł najpierw pod dom Tomasza Dąbrowskiego, mijając kilkoro członków osady. Chyba już się do niego przyzwyczaili, chcieli przystanąć i porozmawiać, ale Tymon nie miał na to czasu. Wciąż targały nim silne emocje, których do końca nie mógł zrozumieć. Zatrzymał się przed chatą Dąbrowskich i zanim zdążył pomyśleć, zapukał.

– Bóg jest sprawiedliwy – powiedziała po cichu Mirosława Dąbrowska, rozglądając się po podwórzu. Zdawała się wystraszona.

– Coś się stało? – Tymon natychmiast chciał zareagować, ale nagle zdał sobie sprawę, że to on stanowi powód jej zmieszania. Przebywali sam na sam, bez osoby trzeciej i Mirka pewnie bałaby się, gdyby ktoś zobaczył, że

komisarz wchodzi do jej domu. – Rozumiem, że męża nie ma? – Wniosek był raczej oczywisty.

– Pojechał w nocy na polowanie – odpowiedziała pospiesznie. – Przyjdź później, bracie, niedługo wróci.

– Poczekaj! – Zatrzymał zamykające się przed nim drzwi. – Macie tu warsztat samochodowy? Coś mi stuka w aucie i potrzebuję sprawdzić, czy to nic groźnego – skłamał.

– Przyjdź później, mąż jest dobrym mechanikiem, na pewno ci pomoże – zapewniła, ale widać było, że nie chce dłużej rozmawiać.

Korciło go, żeby znaleźć tę cholerną szopę i poszperać na własną rękę, ale wiedział, że jeżeli mają wygrać tę sprawę, musi się trzymać procedur. Inaczej cokolwiek tam znajdzie, oskarżą go o matactwo, na przykład twierdząc, że sam coś podrzucił. Nadal nabuzowany, wyszedł za mur i wszedł do auta. Począł kilka chwil, aż telefon komórkowy złapie zasięg, i ze zdziwieniem odkrył, że nikt do niego nie dzwonił. Opanowały go zawód, złość i lęk jednocześnie. „Dzięki, że oddzwoniłaś” – wystukał sarkastyczną wiadomość i wysłał Aśce. Nie zamierzał dzwonić po raz kolejny, jeżeli ona nie chciała z nim rozmawiać. Trudno. A jednak sygnał przychodzącego połączenia go ucieszył. Nacisnął przycisk w kierownicy.

– No nareszcie. Ile można czekać – rzucił bez zastanowienia.

– Panie kolego, każdy ma swoje rzeczy do ogarnięcia. – Usłyszał głos prokuratora. – Nie prowadzę jedynie sprawy zabójstwa Igi Dąbrowskiej.

– Jasne – powiedział skonsternowany. – Przepraszam, myślałem, że to ktoś inny. – Spojrzał na swoje odbicie w lusterku wstecznym i bezgłośnie postukał się palcem po czole.

– Nieważne – zbył go Kowalik. – Mam dziś sporo na głowie i nie zdążę przyjechać na komendę. Ale przychylię się do pana prośby i wystawię nakazy przeszukania nieruchomości i ruchomości Tomasza Dąbrowskiego. Z nakazem aresztowania musimy poczekać i nie będę na ten temat dyskutował.

– Dobrze. – Tymon nie zamierzał się spierać. – Kiedy możemy zacząć? – Nie chciał czekać ani chwili dłużej niż to konieczne.

- Za godzinę powinni zjawić się u pana odpowiedni ludzie z dokumentami. Powodzenia! - I się rozłączył.

Hanter wysiadł z auta i się przeciągnął. Połowiczny sukces. A może nawet i całkowity, bo gdy tylko znajdą to, czego szukają, będzie mógł zatrzymać zabójcę. Spojrzał na zegarek. Była ósma trzydzieści. Czy Aśka mogła jeszcze spać?

Ten sam dzień, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry

Wszeghogarniającą ciemność przecinała tylko wiązka jaskrawego, rażącego światła spod starych, zdezelowanych drzwi. Zamknęła szybko oczy, nie mogąc znieść tego blasku, który powodował silny ból głowy. Dopiero po chwili uniosła znów ciężkie powieki i zmusiła się do tego, by kilka razy mrugnąć. Nie wiedziała, gdzie jest ani co się stało. Pulsowanie z lewej strony rozsadzało jej czaszkę, ręce były odrętwiałe. Miała wrażenie, że w ogóle nie może nimi poruszyć. Ale kiedyś już się tak czuła, kiedy obudziła się w nocy z zarzuconymi do tyłu rękoma, pozbawionymi czucia. Wystraszyła się wtedy nie na żarty, poszła nawet do lekarza, bo takie drętwienie kończyn mogło oznaczać problemy neurologiczne, ale doktor nie zdiagnozował żadnej choroby. Może to na tle psychicznym? Zapytał tylko, czy historia się powtórzyła, i zalecił terapię. Wyśmiała go wtedy, a dziś pragnęła, żeby to było to. No już, dziewczyno, policz do trzech i obudź się w środku nocy, we własnym łóżku, ze zdrętwiałymi od nerwów rękoma. Zacisnęła mocno powieki, licząc w myślach. Jeden, dwa, trzy... Otworzyła oczy i zawyła żałośnie, zdając sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia. To nie był sen, a ona z całą pewnością nie była bezpieczna. Próbowwała się ruszyć, stanąć i dopiero wtedy ze zdumieniem odkryła, że jej dłonie są skrępowane, związane sznurem przewieszonym przez hak, który się znajdował nad jej głową.

Joannie udało się podnieść z podłogi. Potwór musiał zostawić ją omdlałą w takiej pozycji. Kiedy stanęła i poczuła się stabilniej, zaczęła ruszać najpierw palcami u rąk, potem całymi dłońmi, by pobudzić w nich krążenie. Mimo powrotu czucia, a może właśnie przez to, doznała silnego bólu w okolicy ramion i pach. Nic dziwnego, skoro całą noc wisiała na rękach, obciążając je masą własnego ciała. W końcu rozejrzała się

dookoła. Oczy przyzwyczyły się do półmroku. „Myśl, Aśka, myśl!” – poleciła sobie. „Gdzie jesteś?” Z całą pewnością nie był to budynek w osadzie. Przeczyły temu kamienne mury, stare płytki ułożone w jodełkę na podłodze i sam rozmiar pomieszczenia. Wnętrze śmierdziało wilgocią i moczem, a także czymś, co wprawiało ją w obrzydzenie i przerażenie, metalicznym zapachem krwi. Zatrzęsała się ze strachu i zimna. Próbowwała wyszarpać dłonie z węzłów, ale nie dała rady. Zastanawiała się, czy krzyczeć, czy wołać pomocy, bo przecież zawsze istniała szansa, że gdziekolwiek jest, ktoś może ją usłyszeć i zadzwonić po policję. Ale miała wrażenie, że o to właśnie chodziło potworowi, żeby zużyła wszystkie siły na bezsensowne wydzieranie się i nie była w stanie z nim walczyć. Jeżeli to właśnie tu przetrzymywał swoje poprzednie ofiary, to mogła mieć pewność, że wybrał miejsce odludne, gwarantujące prywatność i... Rozejrzała się jeszcze raz. Okna zabite dechami lub zasłonięte okiennicami. Z sufitu w równych odstępach zwisały haki, a z głębi wyłaniały się niewyraźnie jakieś duże przedmioty. Dopiero gdy uważniej im się przyjrzała, poznała ich przeznaczenie. Znajdowała się w rzeźni, wisiała na haku jak upolowana zwierzyna, którą w odpowiednim czasie potwór pokroi na kawałki. Z jej gardła wydobył się dziki wrzask.

Ten sam dzień, Karkonoska Osada

Takiego widoku mieszkańcy osady nie widzieli nigdy. Pięciu ludzi ubranych w białe kombinezony zabezpieczało teren warsztatu samochodowego Tomasza Dąbrowskiego i przeszukiwało całe wnętrze. Kolejnych czterech techników robiło to samo w domu. Nie czekali nawet na powrót właściciela. Srebrny, trzydziestoletni mercedes wjeżdżał właśnie na lawetę.

- Zabieramy go do siebie - powiedział gwoli wyjaśnienia technik kryminalistyczny Olek Buczek. - Ale już teraz widzę, że nieźle przy nim majstrowano.

- Nowe opony? - Hanter upewnił się, czy dobrze widzi.

- To na pewno - przytaknął rozmówca - ale nie tylko. Mam wrażenie, że cały lakier jest nowy i tapicerka foteli - dodał.

- Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że trudno będzie coś znaleźć - zmartwił się Hanter.

- Jeszcze się taki nie urodził, co by kryminalnych oszukał. - Mrugnął do niego, dając znać kierowcy, że może jechać. - Dobra, przeszukajmy tę budę.

Warsztat mieścił się w solidnym, dwustanowiskowym dużym garażu o drewnianej, masywnej konstrukcji. Był stosunkowo nowy i czysty, a narzędzia zdawały się być poukładane na swoich miejscach. Dwa kanały schodziły w dół betonowymi schodkami, ale w żadnym z nich nie znaleziono ukrytej skrytki.

- Skoro wymienił opony, musiał gdzieś zostawić te stare... - głośno myślał Hanter, rozglądając się za czymś w rodzaju magazynu do ich sezonowania.

- Musielibyśmy mieć wielkie szczęście. Bardziej prawdopodobne, że wyrzucił je do lasu, spalił albo zatopił w jeziorze. Skoro zadał sobie tyle trudu z autem, raczej nie zostawił nam dowodów na wierzchu.

– Co tu się dzieje?! – Donośny głos Tomasza Dąbrowskiego przerwał im rozmowę.

– Miło, że pan nas zaszczycił. – Tymon już wcześniej obiecał sobie, że nie da się sprowokować. Najchętniej podszedłby do niego i strzeliłby mu w twarz, ale zdawał sobie sprawę, że ten psychol od razu wykorzystałby to w sądzie. Standardzik. Ludzie zabijają, gwałcą, torturują innych, ale jak sami dostaną lekkiego kuksańca, to potem kręcą wielką aferę na całą Polskę, że policjant przekroczył uprawnienia. Przypomniawszy sobie jedną z najżałośniejszych historii w swojej karierze policyjnej, kiedy oskarżony złożył na niego doniesienie o znęcaniu się psychicznym podczas przesłuchania, ponieważ Tymon Hanter patrzył na niego wzrokiem wymuszającym zawstydzenie. Śmieszne? Może i śmieszne, ale wszczęto dochodzenie wyjaśniające. A to nigdy nie jest nic przyjemnego. Zwłaszcza jeżeli sprawy po drugiej stronie pilnuje najlepszy i hojnie opłacony prawnik w mieście. W świecie, gdzie każdy bandzior miał większe prawa od stróżów tegoż prawa, trzeba było się mocno pilnować.

– Halo, mówi się! – Dąbrowski wyrwał go z zamyślenia. Jego twarz pałała gniewem.

– Mamy nakaz prokuratorski przeszukania pana domu, warsztatu i auta. Samochód już zabraliśmy, oddamy go do tygodnia, chyba że będzie stanowił dowód w sprawie.

– W sprawie? W jakiej, kurwa, sprawie?

– W sprawie zabójstwa pana córki Igi Dąbrowskiej oraz celowego przeniesienia jej ciała i zacierania śladów w celu ukrycia zbrodni. Jest pan podejrzany również w postępowaniach w sprawach zabójstwa Agaty Kuriaty, Justyny Oleś, Anety Boładź i Kingi Sawickiej, a być może i kolejnych dwóch dziewczyn, których personaliów jeszcze nie znamy, ale proszę mi wierzyć, to już nie potrwa długo – zapewnił. – Chyba że od razu przyzna się pan do wszystkiego i złoży zeznania. To nam pomoże zaoszczędzić sporo czasu.

Tomasz Dąbrowski zbladł momentalnie. Starł się opanować emocje i ewidentnie nad czymś się zastanawiał. Jego wzrok błędził gdzieś w oddali.

- Chcecie mnie zrobić? - Ton jego głosu nie był już taki pewny i agresywny. Widać było, że stracił grunt pod nogami.

Ciekawe, że Jacek Szulin zareagował podobnie, pomyślał Tymon. A zresztą, czy nie jest to standardowa wypowiedź w takiej sytuacji? I to niezależnie od tego, czy ktoś jest, czy nie jest winny?

- Od samego początku zrzucasz winę za zabójstwo córki na niewinnego człowieka i ty sugerujesz nam coś takiego? - Po jego oczach poznał, że trafił w dziesiątkę. Dąbrowski nie musiał nic mówić. - Hipokryta.

- Ten człowiek sobie na to zasłużył, sprowadzał ją na drogę Szatana. Oddalał od Boga, od rodziny, mamił jakimiś tekstami o wolności. Nikt z nas nie jest wolny - rozkręcał się. Mówił coraz szybciej i coraz głośniej. - Wszyscy jesteśmy dziećmi Pana i musimy Mu służyć, i wszyscy doczekamy apokalipsy, a przeżyją tylko wierni słudzy. Gdyby Iga odeszła ze zboru przed nastaniem apokalipsy, jej dusza zginęłaby w czeluściach piekielnych, nie rozumiesz? Nie mogłem na to pozwolić, nie mogłem skazać jej na wieczne palenie żywym ogniem! - Mięśnie na jego twarzy drżały z nerwów. On naprawdę wierzył w to, co mówił.

- Więc musiałeś ją zabić dla jej własnego dobra?! - wykrzyczał mu to pytanie w twarz.

- Tak! Musiałem! Musiałem ją ratować - wrzasnął i nagle zdał sobie sprawę z tego, że właśnie się przyznał. - Niewierni i tak tego nie zrozumieją - dodał już spokojniej. Dla niego najważniejsze było to, że wedle swojego przekonania uratował córkę. Reszta się nie liczy. Dla tego jednego faktu może teraz zgnieć w więzieniu. Najważniejsze, że dusza Igi została ocalona.

Tymon Hanter spojrział na stojącego obok technika kryminalistycznego i odczytał w jego oczach smutek. Hanter też wcale nie cieszył się z przyznania do winy przez Tomasza. Niby ciężar spadł mu z ramion, bo bał się, że tym razem też przestrelał. Ale nie, trafił w dziesiątkę, idealnie typując zabójcę. A mimo wszystko czuł wszechogarniający go żal. Co sekta potrafi zrobić z ludźmi. Jak bardzo

odrealnieni są jej wyznawcy? Czuł się przytłoczony, ale wiedział, że musi kontynuować.

- Okej, to jedno mamy ustalone - powiedział spokojnie. - Ale wytłumacz mi, dlaczego zabijałeś te inne dziewczyny?

- Jakie inne? - Dąbrowski zdawał się faktycznie nie pojmować. - Te, których nazwiska mi wymieniłeś? Nie zabiłem ich. - Pokręcił przecząco głową.

- Słuchaj, miej jaja i powiedz prawdę. My i tak znajdziemy dowody - zirytował się Tymon.

- Mówię prawdę. Dwie z nich znałem. Odeszły z osady. Wybrały drogę w grzechu. Pozostałych nie znam.

- I chcesz powiedzieć, że nie kusilo cię, żeby je też ratować przed ogniem piekielnym? - podpuszczał go.

- To nie były moje córki - stwierdził dobitnie. - Nie ja powinienem je ratować.

- Dobra, zejdz mi z oczu. Widzę, że będziemy musieli wrócić do tematu, dopiero jak znajdziemy tu to, czego szukamy. - Skinął na policjanta stojącego za Dąbrowskim, a ten zabrał go do auta.

- Bracie Tymonie! - Głos starszej kobiety dochodził do niego z daleka. - Bracie Tymonie, telefon do ciebie - powiedziała zziębnięta, kiedy dobiegła do niego z budynku A.

- Do mnie? - zdziwił się. Nikt do tej pory nie dzwonił do niego na telefon stacjonarny. Nikomu też nie podawał numeru, wiedząc, że z pewnością jest na podsłuchu.

Kobieta przytaknęła tylko i próbowała złapać oddech po długim biegu.

- No dobrze, już idę. Róbcie swoje - polecił technikom.

Słuchawka leżała odłożona na wysokim stoliku budki telefonicznej. Pamiętał takie przybytki jedynie z filmów Barei, ale mama mu opowiadała, że kiedyś na poczcie tego typu budki były bardzo częste.

- Halo?

- Brat Tymon? - zapytała niepewnie kobieta po drugiej.

– Aniela? To ty? – zdziwił się i jednocześnie zaniepokoił. – Coś się stało? Coś z Miłoszkiem?

– Nie, nie. Miłosz ma się świetnie, ale dzwonię, żeby zapytać: czy Asia jest z tobą?

– Asia? – Poczul, że nogi robią mu się miękkie jak z waty, a wzrok nagle traci ostrość.

– No, tak. Przyjechała do nas właśnie pani psycholog na kolejną sesję i mówi, że nie może się do niej dodzwonić, więc pomyślałam, że jest w osadzie, a tam nie ma zasięgu. Ale siostra Beata powiedziała, że jej nie wdziała, więc poprosiłam ciebie.

– Ale poczekaj, powoli. Dlaczego miałyby tutaj być? Czy nie powinna być z wami? – Nie wiedział, co mogło się wydarzyć. Nie potrafił zapanować nad gonitwą myśli.

– No, ja tam nie wiem, ale wczoraj wieczorem oświadczyła, że jedzie do ciebie. Chciała ci zrobić niespodziankę i przekazać wskazówkę dotyczącą potwora – powiedziała ciszej. Ten temat budził w niej wciąż nieprzyjemne doznania.

– Jaką wskazówkę? – zapytał od razu.

– Miłosz mówi, że potwór ma bliźnę. Taką czerwoną i długą, od nadgarstka w górę.

– Bliźnę... – Przerwał jej i nie pozwolił dokończyć. Jeżeli Aśce stało się coś złego, jeżeli porwał ją ten psychol, to nie było chwili do stracenia. – Jak tylko Aśka wróci do domu, natychmiast daj mi znać, rozumiesz?

– Tak, oczywiście, ale... – Nie zdążyła dokończyć.

Hanter rzucił się biegiem, przejmując się mijanymi po drodze ludźmi. Kogoś niemal przewrócił, lecz nie miał czasu przeproszać. Dobiegł do radiowozu, otworzył tylne drzwi i wyciągnął zaskoczonego Tomasza Dąbrowskiego skutego w kajdanki.

– Gdzie ona jest?! Gadaż! Gdzie ona jest?! – wrzeszczał z furją.

– Kto? – Mężczyzna zdawał się kompletnie zdezorientowany.

– Aśka! Gdzie ją zabrałeś, mów, bo ci, kurwa, obiecuję, że życia w pierdłu mieć nie będziesz! Rozumiesz?! – wykrzykiwał mu prosto

w twarz.

– Nie wiem, o co ci chodzi, nie widziałem jej, odkąd wyjechała.

Tymon nie wytrzymał, odwinął się, chcąc strzelić mu w pysk, ale kiedy już wymierzał cios, zawahał się. Opuścił zaciśniętą pięść i podwinął rękawy bluzy zatrzymanego. Na przegubach jego rąk nie widniała żadna blizna.

Ten sam dzień, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry

Została mu tylko jedna pamiątka. Choć mało brakowało, a i tę by stracił, ponieważ Iga Dąbrowska zabrała mu ją, kiedy w tę noc, w którą zginęła, przyszła posprzątać gospodarstwo. I w tym właśnie momencie wydała na siebie wyrok. Wyrok, który mógł wykonać tylko jeden człowiek. Bo przecież ten, który dał życie, może je też odebrać. I nie jest to żaden grzech. Wręcz przeciwnie, to akt ogromnej miłości ojca do córki. To zapewnienie jej życia wiecznego. Całe szczęście, że wśród sług bożych miał jeszcze takich wiernych zasadom braci. Ścisnął w dłoni kartę SIM, ucałował ją, a potem niemal z namaszczeniem wsunął do podajnika w laptopie i odtworzył. Przez te cholerne problemy spowodowane śmiercią Igi i prowadzonym z tego powodu śledztwem z żalem żegnał się z innymi swoimi trofeami zbieranymi za każdym razem, kiedy składał kolejną ofiarę.

Najpierw chciał przerzucić podejrzenie na Jacka Szulina. Pasował idealnie. Młody, zakochany buntownik, nienawidzący wszystkiego, co związane z ich wspólnotą. Człowiek, który stracił rodziców w okresie dojrzewania. Nigdy nie odkrył, z jakiego powodu tak bardzo ich nie tolerował ani dlaczego tak mu zależało na Idze, ale to bez znaczenia. Ostatnimi czasy obserwował go skrupulatnie. Podśledzał, jak mówi w osiedlowym sklepiku, że jedzie do Warszawy na spotkanie rekrutacyjne. Że niby nie chce, że nie ma siły, że jest załamany, ale musi za coś żyć. To była doskonała okazja, by wejść do niego do mieszkania i ukryć fiołki z krwią ofiar. Nawet nie spodziewał się, że znajdzie tam dziewczęcy pokój. Wszystko pasowało doskonale. Jakby naprawdę dostał na jej punkcie obsesji. Chwilę wcześniej na swoim laptopie spreparował jego wspólne zdjęcie z dziewczynami. Przechowywał w telefonie najładniejsze zdjęcia dziewczyn, osobiście zrobione, podczas gdy śledził je

przed porwaniem. Wystarczyło wydrukować, oprawić w ramkę i umieścić na ścianie. W szybie wentylacyjnym chciał podłożyć fiołki z krwią, ale tu zaczęły się problemy. Ten cholerny Hanter przylaźł do mieszkania i plan się sypnął. Na szczęście zostały mu tylko dwie fiołki, których nie zdążył schować, i kiedy Szulin został oczyszczony z zarzutów, trzeba było znaleźć kolejnego kozła ofiarnego. A kto nadawałby się lepiej niż zabójca swojej własnej córki? Dlatego zanim wczoraj wyruszył na polowanie, odwiedził dom Dąbrowskich i ukrył próbki krwi w toalecie za podgrzewaczem do wody.

Teraz już wszystko powinno pójść gładko. Jeżeli policjanci sami nie wpadną na trop, to jakoś sam ich naprowadzi, ale najpierw miał do załatwienia ważniejszą sprawę. Joanna Bator. To przez nią wszystko się stało. Zanim przyjechała do osady, ciągnąc za sobą tego psa Tymona Hantera, wszystko szło w dobrym kierunku. Policja chciała umorzyć sprawę, w osadzie zapanowałby ład i porządek, a wierni nie zadawaliby sobie zbyt wielu pytań nakręceni przez wszędzie węszącego kundla z policji. Że też ten cholerny Albert Mleczek był tak nieudolnym przywódcą i nie potrafił po prostu zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Na szczęście to już koniec problemów. Bóg wysłuchał jego modlitw i wybrał go na kolejnego przywódcę. To on zasiądzie jako najwyższy z Rady Starszych na kolejnym spotkaniu w Sali Królestwa. Dobrze wie, że na to zasłużył, tylko on jest w stanie tak bardzo oddać się Bogu. Tylko on jest gotów do tak wielkich czynów. W końcu Bóg go nagrodił. Teraz musi Mu podziękować.

Joanna idealnie nadawała się na ofiarę dla Pana. Niewierna, wykluczona, wciskająca nos w nie swoje sprawy i z premedytacją pragnąca zaszkodzić Dzieciom Dnia Apokalipsy. Co więcej, kusicielka. Doskonale wiedział, że brat Marcin nie był święty, ale przecież to ona nieustannie go wabiła. Przecież tam, gdzie nie ma pokusy, nie ma też grzechu.

Potwór otworzył pierwszy z filmów zatytułowany Ofiara z Marty Salary i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Musiał się nakręcić, zanim pójdzie do tej sukki Joanny. Z głośników laptopa dobiegł cudowny dla jego uszu dźwięk –

krzyk Marty. Krzyk napełniony strachem, paniką i przerażeniem, krzyk, który zwiastował jej rychłą śmierć... Jaka szkoda, że będzie musiał jeszcze dzisiaj jechać do osady. Najchętniej już za chwilę zająłby się ofiarą.

Ten sam dzień, Komenda Miejska Policji, Jelenia Góra

Dobra, powiedzcie, co mamy. – Tymon Hanter chodził niespokojnie po małej konferencyjnej, w której zebrała się grupa dochodzeniowo-śledcza. Od telefonu Anieli minęły już trzy godziny, a oni nadal błędzili jak dziecko we mgle.

– Tak jak podejrzewałeś – w domu Tomasza Dąbrowskiego znaleziono fiolki z krwią. Ale nie trzy, tylko dwie – rozpoczęła Żaneta.

– Tak, tak – wszedł jej w słowo. – Ale teraz już mi wszystko pasuje. Cztery z mieszkania Szulina, dwie od Dąbrowskiego, daje razem sześć, a ofiar jest siedem. Miałaś rację, mówiąc, że Iga nie pasuje do schematu. Bo to nie była ofiara potwora. Zabił ją ojciec, do czego się przyznał. A więc ofiar seryjnego mordercy jest tylko sześć, ostatnia pół roku temu, co oznacza, że teraz poluje na kolejną. Aśka zniknęła bez śladu i pasuje do jego typu. Szczupła, niewierna, wyśmiewająca jego wartości. Kurwa mać! – krzyknął i uderzył pięścią w stół.

– Uratujemy ją, zobaczysz. – Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ale musimy działać – otrzeźwił ich Jakub Zdanowicz. – Przesłuchanie Hieronima nie wniosło nic do sprawy, natomiast w domach Agaty i Anety znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Fotki zostały przekazane do laboratorium, ale jesteśmy niemal pewni, że dziewczyny należą do serii. To, co istotne, to że na żadnej fotografii nie znaleziono odcisków palców. Na fiolkach też nie. Zabójca jest więc niezwykle ostrożny. Wiemy, że psychopata miał dostęp do domu Jacka Szulina i Tomasza Dąbrowskiego. A więc ciągle kręcimy się w tym samym środowisku. To nie może być postać, której jeszcze nie znamy, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– To prawda – kontynuował Tymon. – Co więcej, to mężczyzna inteligentny, poukładany i umie działać pod presją. Potrafi też dostosowywać się do zmieniającej się sytuacji, skoro tak sprytnie

podrzuca nam kolejne ślady i zrzuca winę na coraz to nowych podejrzanych.

- Panie, komisarzu... - Usłyszeli kobiecy głos i zobaczyli, że do salki wchodzi aspirant Monika Marszałek.

- Co tam?

- Przywieźliśmy ludzi, o których pan prosił.

- Dawajcie ich tu, nie mam czasu na bieganie po salach przesłuchań - wydał polecenie i zasłonił płachtą wiszącą na ścianie tablicę z informacjami.

Do pomieszczenia weszli Albert Mleczo i Kazimierz Duran. Obaj sprawiali wrażenie spokojnych, choć brat Albert wydał się Tymonowi jakiś inny niż ostatnio, bardziej zagubiony i już nie taki pewny siebie jak zawsze. Żaneta i Jakub wyszli pospiesznie i dyskretnie.

- Usiądźcie. - Hanter wskazał im krzesła.

- Czy powinniśmy mieć adwokata? - zapytał dla pewności Mleczo.

- Tylko jeżeli nie chcecie współpracować - odparł bez ogródek Hanter i spojrzął na nich uważnie. Nie odpowiedzieli. - Dobrze, a więc zadam wam parę pytań i wybaczone, nie będę bawił się w konwenanse. Zaginęła kobieta, którą obaj dobrze znacie, Joanna Bator, i mamy powody przypuszczać, że została porwana przez psychopatycznego mordercę, który zabił już sześć innych dziewczyn. W tym dwie były mieszkanki osady.

- Wielkie nieba - brat Albert zdawał się autentycznie przejęty - aż sześć?

- Ale słyszeliśmy, że Ięgę zabił jej ojciec i przyznał się do wszystkiego... - Kazimierz zdawał się nie rozumieć. - Ludzie mówią, że znaleźliście dowody na popełnienie przez niego innych zbrodni.

- To nie on - odpowiedział krótko Hanter. - Gdzie podzialiście trzeciego ze starszyny? Prosiłem o przyprowadzenie was trzech - zaciekał się.

- Przed złożeniem rezygnacji - rozpoczął Albert - wysłałem brata Marcina do zboru w Szczecinie. Tam będzie mógł przemyśleć swoje

postępowanie wobec kobiet – oznajmił, wiedząc, że komisarz zrozumie, o co mu chodzi.

– I jesteś pewien, że od tego czasu tam przebywał i nie opuszczał zboru?

– Tak. Nawet dziś rozmawiałem ze Zbigniewem Bolkiem, najstarszym z braci. Brat Marcin zdaje się rozumieć swoje grzechy i żałować za nie – zapewnił.

– Jakoś trudno mi sobie to wyobrazić, ale mniejsza o to. – Hanter przybliżył się do nich i spojrział na każdego z osobna. – A więc zostaliście tylko wy. I tylko wy mogliście to zrobić. – Zmrużył oczy i czekał na ich reakcję.

– Ale co? – Albert miotał się na krześle. – Uważasz, że jeden z nas jest mordercą?

– Który to już będzie z kolei wytypowany, ale nietrafiony podejrzany? Trzeci? Czwarty? – zapytał spokojnie Kazimierz Duran. – Widzę, że nic nie macie i skaczece z kwiatka na kwiatek, typując potwora. Jesteś pewny, bracie, że tym razem chcesz oskarżyć nas? – Uśmiechnął się.

– Według zeznań rodziców zaginionych dziewczyn, to ty, Albercie, przynosiłeś do ich domu fotografie w antyramie do powieszenia na ścianie. I to na ich odwrocie znaleźliśmy napisy zrobione krwią ofiar – wyznał.

– Tak, ale co to ma za znaczenie? – Albert nie rozumiał. – Jakie napisy? Ja nic nie wiem – motał się.

– To na rewersach tych zdjęć prawdziwy morderca podpisywał się krwią ofiar – powtórzył Tymon. Zastanawiał się, czy Albert udaje, czy faktycznie jest tak zdezorientowany. – Opieramy się na wynikach badań z laboratorium kryminalistycznego. Znaleźliśmy również podpisane krwią fotografie w domach pozostałych zaginionych dziewcząt: Agaty Kuriaty i Anety Boładź. Wszystko pasuje. Zostawiałeś za sobą ślad w najokrutniejszy możliwy sposób, bo w domach rodzinnych tych dziewczyn.

– Co? – Albert aż się zapowietrzył. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Próbował ogarnąć napływające do niego informacje.

Ale było mu ciężko. Ostatnimi czasy wszystko mu się waliło na głowę. Jeżeli jeszcze dojdzie do tego odsiadka w więzieniu za zbrodnie, których nie popełnił... Jako były policjant będzie miał po prostu przesrane.

– Ja dałem bratu Albertowi te fotografie – niespodziewanie wypalił Kazimierz Duran. – To ja podsunąłem ten pomysł. Wydrukowałem, oprawiłem w ramę i zaniósłem najwyższemu.

Albert Mleczek zamilkł zszokowany tym nagłym wyznaniem. Kazimierz ewidentnie ratował mu skórę. Zachował się jak prawdziwy brat w wierze. Choć była to prawda, mógł tego nie mówić i nie narażać się na podejrzenia. Pierwszy raz od swojej degradacji ucieszył się, że to właśnie jego wybrał na swojego następcę.

– Teraz mnie oskarżycie o zabicie tych dziewczyn? – Na twarzy Kazimierza wykwitł sarkastyczny uśmiech. Nie bał się, nie denerwował. Zdawał się być za to cholernie zirytowany ich nieudolnością.

– A zabiłeś je? – Hanter spojrzał na niego uważnie. Sam już nie wiedział, czy potrafiłby odczytać z jego twarzy odpowiedź.

– Śmierć nie istnieje – odparł. – Istnieje tylko przejście na drugą stronę i to od nas zależy, czy będzie to arkadia, czy kraina wiecznego potępienia. A teraz, jeżeli pozwolisz, chciałbym już iść do osady. Po tym, ile zamieszania tam wprowadziliście, muszę zanieść wiernym nadzieję i oświecenie. Wszelkie dalsze rozmowy będziemy prowadzili w obecności adwokata, bo widzę, że jesteście skłonni oskarżyć każdego, byle tylko nie wypaść na nieudolnych. – Wstał i dał znać Mlecze, żeby poszedł za nim. – Aha, i jeszcze jedno. – Obrócił się już przy drzwiach. – Chcesz wiedzieć, skąd miałem taki pomysł?

– Nie rozumiem. – Tymon faktycznie nie rozumiał, o co tamtemu chodzi.

– Skąd miałem pomysł na te fotografie? Ja osobiście nie jestem tak empatyczny, na jakiego wyglądam. – Znów uśmiechnął się sarkastycznie.

– No, skąd?

– Prorok mi go podsunął podczas jednego ze spotkań. Często do nas przyjeżdża, posiada niedaleko ranczo. Tak więc gdybyś w swojej śledczej nieudolności szukał podejrzanego numer pięć, to masz już wskazówkę.

Minutę po ich wyjściu do sali wrócili Jakub i Żaneta.

– Udało wam się? – Tymon spojrział na nich porozumiewawczo. Tak naprawdę nie ściągnął starszych na przesłuchanie. Mógł ich przesłuchać od razu w osadzie. Ale miał inny cel, od którego mogło zależeć powodzenie dalszej akcji. Całe szczęście, że prokurator tym razem zgodził się bez oporów.

– Tak – przytaknął Zdanowicz.

– Nadajniki ulokowane wszędzie, gdzie się dało – odpowiedziała Żaneta. – W kurtkach, torbach i w samochodzie.

– Dobrze. – Tymon się wyprostował. – Jesteśmy już bardzo blisko. Włącz ekran i śledź ich każdy ruch. Jeżeli opuszczą osadę, to od razu mnie powiadom i dajcie im ogon. Tylko, kurwa, dyskretnie. Sam nie wiem, który jest większym aktorem, Albert, udający wystraszonego, czy Kazimierz, grający pewnego siebie. A może ja, udający skutecznego policjanta.

– Słuchaj! – Kuba spojrział z przejęciem na Tymona. – Patrol znalazł auto Aśki w lesie na rogatkach Jeleniej. Puste, ze sflaczałą oponą.

Hanter aż zakłuło w klatce piersiowej. Spodziewał się że tak będzie, ale musiał na chwilę przystanąć i zamknąć oczy, by opanować emocje. Wiedział, że nie może się teraz rozkleić. Musi sprawę doprowadzić do końca.

– Chłopaki, to i tak nie jest najgorsze – stwierdziła Żaneta. – U żadnego z nich nie zauważyłam blizny na przedramieniu, więc jeżeli nie są w zмовie z prawdziwym zabójcą, to niewiele nam da śledzenie ich.

Hanter zdawał sobie z tego sprawę. Sprowadzając ich tutaj, miał nadzieję, że jest inaczej, ale kiedy usiedli i mógł się przyjrzeć ich przedramionom, jego nadzieja przysła.

– Mimo wszystko róbmy swoje. Doceniam pracę psychologa, ale nie możemy wszystkiego opierać na słowach dziecka poddanego hipnoterii. A co, jeżeli ta blizna w ogóle nie istnieje? A co, jeżeli sobie ją wymyślił? Dokonał projekcji, czy jak to się tam mówi.

– Może i racja – przyznała Żaneta.

- Dobra, róbcie swoje i dawajcie znać. Ja pojedę sprawdzić jeszcze jedno miejsce. Macie dokładny adres tego rancza proroka?

bbWsiadł do auta i uderzył ręką o kierownicę. Powstrzymał się przed krzykiem. Nie chciał rozkleić się przy ludziach, ale nie mógł dłużej trzymać w sobie tego bólu. Faceci też płaczą i teraz przyszła pora na niego.

- Boże, pomóż mi. Pomóż mi znaleźć ją żywą. - Sam siebie zaskoczył, wypowiadając na głos modlitwę. I nagle go olśniło. - To Duran.

To przecież tak oczywiste. Układał sobie w głowie kolejne elementy, które idealnie pasowały do układanki. Skoro Kazimierz Duran sam powiedział, że drukował te zdjęcia i oprawiał w ramki, to dlaczego nie ma na nich jego odcisków palców? Bo w czasie, kiedy to robił, nie chciał zostawiać śladów. Ale dziś podczas zeznań wiedział, że Albert go wkopie, mówiąc, że to nie jego pomysł, i wolał sam się przyznać, i rzucić winę na kogoś innego. Na proroka, idealnie pasuje do potencjalnego zabójcy. Przecież to właśnie robił od początku śledztwa, podkładał ślady i zrzucał winę na kolejnych podejrzanych. W sytuacji zagrożenia ponownie zadziałał zgodnie ze schematem. Musiał też wiedzieć, że Igę zabił Tomasz Dąbrowski. Ale dlaczego chciał go chronić? Dlaczego początkowo starał się rzucić całą winę na Jacka Szulina? Tak bardzo zagrażał ich społeczności? Czy tak mocno Duran nim gardził, że kiedy nadarzyła się okazja, nie mógł sobie odmówić zemsty? Chłopak dążył, co prawda, do odkrycia personaliów zabójcy i stał się uczestnikiem kilku incydentów w osadzie, ale nie był na tyle groźny dla społeczności, by musieć go zamykać na lata. Może po prostu Kazimierz stwierdził, że to dobry moment, by odsunąć od siebie odpowiedzialność za zbrodnie, które popełnił. Tylko dlaczego od razu nie zdradził Tomasza? To pytanie zawisło nad Tymonem przez chwilę bez odpowiedzi, ale na krótko. Szybko zdał sobie sprawę, że w fanatycznej religijnej społeczności nie ma większego błogosławieństwa niż wierny i oddany sługa. Zwłaszcza taki, który w akcie wiary jest gotów zabić nawet własne dziecko. Odpalił silnik swojego volva i pognął do aresztu śledczego. Musi natychmiast porozmawiać z Tomaszem. Być może ten człowiek wie więcej, niż powiedział...

- Jakub? - Hanter wykonał po drodze telefon do Zdanowicza. - Myślę, że to Duran. Że to Kazimierz Duran jest zabójcą. Prześlij mi na WhatsAppa link do jego GPS-ów. I daj znać, gdyby wyjeżdżał poza osadę. Możliwe, że przez chwilę będę zajęty i tego nie zarejestruję. I tak na wszelki wypadek wyślij kogoś do przeszukania rancza proroka. Wolę mieć pewność, że się nie pomyliłem. I że Aśki na pewno tam nie ma.

- Jasne, już się robi - przytaknął bez zbędnych dyskusji.

Na widzenie z Tomaszem Dąbrowskim Tymon czekał zaledwie pięć minut. To dobrze, bo czas gonił. Nie wiedział, czy Aśka jeszcze żyje, ale jeżeli tak, to musiał dotrzeć do niej przed Duranem.

- Mam mało czasu i proszę cię o pomoc - powiedział konkretnie i spokojnie, kiedy wysoki, rosły mężczyzna usiadł po drugiej stronie biurka.

- Słucham.

Hanter nie mógł wyczuć jego nastroju.

- Wiem, że masz z bratem Kazimierzem jakieś przymierze - zaczął. - Ale potrzebuję od ciebie informacji, bo zagrożone jest życie młodej kobiety. Kazimierz Duran to psychopatyczny morderca i jeżeli go nie złapiemy, to zginie kolejna dziewczyna.

- Brat Kazimierz jest jednym z naszych religijnych przywódców - zaczął swój wywód z kamienną twarzą. - To on wskazuje nam drogę, to on prowadzi nas do światłości. Cokolwiek robi, robi z myślą o naszym zbawieniu.

Hanter zamknął oczy i zaklął w myślach.

- Dobrze... - Postanowił zmienić taktykę. Zdziwiło go, że Dąbrowski nawet nie mrugnął na wieść o wyczynach Durana. - Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Czy to on kazał ci zabić córkę?

- Nie! - zaprzeczył żarliwie. - Brat Kazimierz niczego mi nie nakazał - zapewniał.

- To jak to było? Opowiadaj.

- Iga pojechała do niego i miała za zadanie posprzątać, sama chciała akurat tej nocy jechać, nikt jej nie zmuszał, choć generalnie nie lubiła tam

jeździć. Ucieszyłem się, że tym razem jest inaczej, że w chorobie zrobił się regres, że docenia, że może służyć starszemu. To zaszczyt móc posprzątać w domach starszożny. – Kiedy o tym opowiadał, to oczy mu lśniły ze szczęścia. – Ale potem zadzwonił brat Kazimierz i powiedział, że w Igę wstąpił Szatan. Że ukradła z jego domu cenną pamiątkę, że pędzi gdzieś na miasto i zamierza rozpowiadać ludziom straszne historie. Że jest opętana i on nie wie, do czego nakłoni ją Szatan.

Hanter chciał zapytać, czy nie przyszło mu do głowy, że córka może potrzebować pomocy, ale nie zrobił tego. Znał odpowiedź. Ten człowiek był zniewolony wyznawaną religią.

– I pojechałeś jej szukać? – miał jeszcze nadzieję.

– Nie. Pojechałem uwolnić ją od Szatana. Brat Kazimierz oświadczył, że jeżeli Iga zdąży z kimkolwiek porozmawiać, to momentalnie zostanie wykluczona ze wspólnoty. Szatan nie mógł wygrać, rozumiesz? Nie mógł! – Uderzył pięścią w stół. – Musiałem ratować swoje dziecko. Musiałem przeprowadzić ją do arkadii.

Hanter przełknął słowa, które jako pierwsze cisnęły mu się na usta.

– O jakiej pamiątce mówił Kazimierz?

– Karta do telefonu. Miała ją zawiniętą w chusteczkę w kieszeni – wyjaśnił. – Od razu mu ją oddałem, a on wybaczył jej winy i ucieszył się, że zdążyłem uratować swoje dziecko. Że Szatan jej nam nie odebrał. – Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Powiedziałeś „jeździła”... – Zamyślił się. – Że Iga nie lubiła tam jeździć. Czyli nie miałeś na myśli domu Durana w osadzie?

– Nie. Brat Kazimierz wynajmuje stare gospodarstwo niedaleko miasta. Jego posługa jest wymagająca i trudna i on czasem musi się tam skryć, by odpocząć. To jego azyl.

– A dokładniej, gdzie to jest? – Tymon stukał zniecierpliwiony palcami o blat biurka, serce mu waliło jak oszalałe. Być może za chwilę pozna miejsce, gdzie przebywa Aśka. Żywa lub martwa. Znów poczuł ucisk w okolicy serca.

– Pięć kilometrów na południowy wschód od osady.

Hanter wyciągnął telefon, kliknął ikonkę aplikacji Mapy Google i kazał Tomaszowi pokazać przybliżony obszar. Mężczyzna zrobił to od razu, po czym zaczął się zastanawiać, czy nie zaszkodził starszemu. Doszedł jednak do wniosku, że to niemożliwe. Kazimierz Duran był czysty jak łąza i cokolwiek zrobił, to z myślą o wiecznym zbawieniu. Policja musi to w końcu zrozumieć.

Ten sam dzień, Karkonoska Osada

Kazimierz Duran nie był głupi. Wiedział, że sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Tymon Hanter może i połknął haczyk i w pierwszej kolejności pojedzie na ranczo proroka, ale szybko zda sobie sprawę, że to nie tego człowieka szuka. A wtedy całą uwagę przeniesie na nich. Nie było innej drogi jak zmiana miejsca zamieszkania. Postanowił, że wyjedzie do innego zboru, najlepiej gdzieś za granicę, przyjmie nowe nazwisko i zacznie posługę na innym terenie. Tak, być może tak będzie nawet lepiej, bo skoro chciał się zająć edukacją młodych chłopców, to łatwiej będzie to robić w jakimś kraju Trzeciego Świata, gdzie młodzi ludzie nie są tak bardzo pilnowani przez rodziców. Gdzie dzieciaki są zaniedbane i pozostawione same sobie. Gdzie na niego czekają i go potrzebują. Zaczął się zastanawiać, gdzie w Ameryce Południowej lub Afryce zorganizowali zbory, kiedy do głowy niespodziewanie przyszła mu na myśl Albania. Niby kraj położony w Europie, ale dziki. Przypomniał sobie, jak dwa lata temu na wakacjach plątały się wokół cygańskie dzieci, całymi dniami zostawiane przez rodziców na ulicy, by żebrać. Uśmiechnął się na to wspomnienie, a jego ciało wypełniła niemal euforia. Widać tak miało być. Bóg znów ułatwił mu podjęcie decyzji. Obdarzył łaską oświecenia. Otworzył nowe możliwości, nowe pola działania. A wszystko po to, by ludzie poznali Jego moc. Ale w tej ostatniej próbie, jaką wyznaczył mu Pan, nie może okazać się tchórzem. W rzeźni czeka na niego ostatnie zadanie. Ostatnia wola Boża do wypełnienia na polskiej ziemi. Potem będzie mógł wyruszyć. Spakował paszport i kilka najpotrzebniejszych rzeczy do torby i wsiadł do auta. Po opuszczeniu osady obejrzał się z nostalgią za siebie. Już nigdy tu nie wróci. Westchnął głęboko i wcisnął pedał gazu.

Chwilę później, rzeźnia na obrzeżach Jeleniej Góry

Joanna drżała ze strachu i zimna. Zwisiała bezwolnie na rękach, nie znajdując już siły, by stać. Pomieszczenie wypełniał zgniły zapach jej własnego moczu i wymiocin. Miała już dosyć. Dosyć walki z tym, co nieuniknione. Cały dzień próbowała przeciąć sznur na dłoniach, pocierając o kant haka, na którym wisiała. Wspinała się mocno na palce, by do niego dosięgnąć, wyginała nienaturalnie, po czym upadała na ziemię, gdy to się nie udawało. Płakała, krzyczała i rzucała przekleństwami w stronę tego, który ją tu uwięził, a czasem nawet w stronę Boga, w którego już nie wierzyła. Jeśli istniał, to dlaczego skazał ją na takie cierpienie? Dlaczego pozwolił, by dorastała w tak chorym, pozbawionym miłości i wsparcia środowisku, dlaczego kiedy udało jej się wydostać, nie obdarzył jej szczęściem i spokojem, dlaczego ciągle musiała od czegoś uciekać i nigdzie nie czuła się bezpiecznie, i w końcu dlaczego ją tu sprowadził. Wiedziała, że wkrótce umrze, czuła to każdym centymetrem ciała. Bolały ją kości, mięśnie cierpły od wymuszonej pozycji, skóra była zimna i mokra od potu, wszechogarniającej wilgoci i jej własnych łez, których wylała dziś wiele. Czuła na sobie odór śmierci. Zamknęła oczy i czekała, aż przyjdzie. Nie miała już siły walczyć. Nikt jej tu nie znajdzie, nikt nie uratuje. Właściwie była już martwa.

- Widzę, że jesteś gotowa.

Usłyszała jego głos wyłaniający się z ciemności. Zadrżała. W pomieszczeniu zobaczyła nagły rozbłysk i poczuła zapach siarki. Potwór zapalał świece, układając je w kręgu wokół niej.

- Nie rób tego. - Usłyszała swój własny głos, choć chwilę zajęło jej zidentyfikowanie samej siebie. Odnosiła wrażenie, jakby unosiła się nad ciałem i obserwowała tę sytuację z innej perspektywy.

Kazimierz Duran spojrział na nią z czułością i pogładził dłonią po zimnym policzku.

– Nie martw się – powiedział spokojnie. – Byłem na ciebie zły, ale już mi przeszło.

Poczuła coś na kształt nadziei. Spojrzała na niego niepewnie.

– Wypuścisz mnie? – zapytała, a z jej oczu polały się łzy. Czowała, że ma wysoką gorączkę, że nie może się skoncentrować, że pomieszczenie, w którym przebywa, zaczyna wirować, ale chwyciła się tej ostatniej deski ratunku. Potwór już się na nią nie gniewał... To przecież musiało coś oznaczać.

– Tak – potwierdził, uśmiechając się. – Bóg zesłał mi ciebie nie bez powodu. Najpierw byłem na ciebie zły, bo wtrącałaś się w sprawy, których nie ogarniasz, na które jesteś za głupia. – Ton jego głosu nagle się zmienił. Wymówił te słowa z obrzydzeniem, ale później znów stał się miłszy. – Taka już kobieca natura, to nie twoja wina. Ja, choć jestem mężczyzną, też na początku nie rozumiałem. Przyznaję. Zastanawiałem się, po co wróciłaś. Dlaczego ściągnęłaś do naszej społeczności człowieka niewierzącego, policjanta, który mieszał się w sprawy wspólnoty. Byłem na ciebie wściekły, musiałem zmieniać plany, podrzucać dowody i pozbywać się ludzi, którzy wiernie służyli mi przez lata. Ale dziś to pojąłem. To Bóg mi cię zesłał, bym uświadomił sobie, że czas iść dalej. Czas odkryć nową posługę.

Nie rozumiała ani słowa z tego, co do niej mówił.

– Proszę, wypuść mnie – powiedziała ostatkiem sił.

– Tak zrobię – uspokoił ją. – Ciii... Nie lękaj się. Kiedy wbiję w ciebie ostrze noża i przeszyję nim twoje serce, dusza uwolni się od parszywego ciała i uniesie się prosto do nieba.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Nie, proszę, nie.

Nie mogła niczego zrobić. Wisiała bezwolnie na haku, nie czując żadnego ze swoich członków, nie mogąc się ruszyć.

– Ciii... Nie płacz. Już niedługo będzie po wszystkim.

Założył na głowę kaptur czarnej peleryny, chwycił leżący na ziemi nóż i wyciągnął go z osłony. Stał zalśniła w świetle ściec. Kazimierz Duran uśmiechnął się delikatnie, po czym jego twarz skamieniała i straciła wszelki wyraz.

– Panie...

Z jego gardła wydobył się głęboki, chrapliwy głos, zupełnie inny niż ten, który znała. Była w szoku, chciała uciekać, próbowała dźwignąć się na nogach, ale one odmówiły jej już dawno posłuszeństwa.

– Panie, przyjmij ofiarę z rąk moich na znak Twojej wielkości, dla pożytku naszego i całego Kościoła Świętego... – Chwycił nóż oburącz i wznosił nad głowę.

Po starej rzeźni rozszedł się echem kobiecy pisk i huk wystrzelonej kuli z glocka, która trafiła Durana prosto w głowę.

EPILOG

Otworzyła oczy i usłyszała, że jej mężczyzna kręci się po mieszkaniu z telefonem komórkowym przy uchu. Rozmowa trwała już chwilę i wiedziała, że jest raczej ważna. Podniosła się na przedramiona, by co nieco podsłuchać, ale słowa rozchodziły się po pomieszczeniu zniekształcone, więc opadła z powrotem na poduszkę. Była niewyspana, ale szczęśliwa. Zaśmiała się sama do siebie na wspomnienie ostatniej nocy pełnej żartów, długich rozmów i namiętnych zbliżeń. A więc tak to jest mieć faceta na stałe...

– Co tam, skarbie? Wstałaś? – Hanter podszedł do niej i rzucił się na łóżko.

Jego wilgotny pocałunek w kark pobudził jej zmysły.

– Prawie. – Spojrzała na niego przymrużonymi oczami. – Może byśmy jeszcze... pospali? – Objęła go nogami i przyciągnęła mocno do siebie. Najbardziej lubiła właśnie te chwile.

– Chciałbym, ale nie mogę. Muszę lecieć do roboty. – Dał jej buziaka w policzek i spróbował się podnieść, ale mu nie pozwoliła.

Zaśmiała się głośno i wtuliła w jej ramiona.

– Naprawdę, muszę iść. Dzwonili z komendy w Jeleniej Górze – powiedział niepewnie, nie wiedząc, czy chce tego słuchać. Minął dopiero miesiąc od tamtych wydarzeń i choć Aśka zdawała się całkowicie pogodzona z przeszłością, temat wydawał mu się zbyt świeży. Bał się, by nie rozgrzebać jakichś niezabliźnionych do końca ran.

– Mają już wszystko, co trzeba? – Rozluźniła uścisk i usiadła na łóżku w siadzie skrzyżnym.

– Tak. Wykonali potrzebne analizy i potwierdziły się wszystkie przypuszczenia. Sześć ofiar, śmierć każdej z nich była nagrana i zachowana na karcie SIM. Kości znalezione w ogrodzie pasują do DNA z krwi z fiolek i krwi ze zdjęć. Wszystko się zgadza.

- Nie rozumiem tylko jednego... - Zamyśliła się.

- No?

- Skąd w zeznaniach Miłoszka wzięła się ta blizna? Dziecięca wyobraźnia? Pytam, bo ja też byłam święcie przekonana, że kiedy przykładał mi chloroform, widziałam ją, ale potem w rzeźni... - Zamilkła na chwilę. - Potem już nie.

- Nie mówiłem ci? - zdziwił się. Ale przypomniał sobie, że przełożył tę rozmowę na później. Nie chciał zbyt szybko wywoływać u niej wspomnień o potworze. Ciągłe myślał, że potrzebuje jeszcze czasu.

- No, gadaj wreszcie - ponagliła go. - Powinnam wiedzieć.

- Przeszukując jego dom, znaleźli kilka strojów. Peleryny, rękawice, maski. Wydaje się, że kiedy porywał dziewczyny, asekurując się przed niepowodzeniem, czy mu nie uciekną, przebierał się za potwora. Żeby nie mogły go rozpoznać w razie zeznań na policji.

- Czyli co? Ta blizna nie była prawdziwa?

- Nie była. Miał ich kilka, takich przyklejanych jak plastry. Można to kupić na Allegro, zwłaszcza przed Halloween, żaden problem. Ale w oczach przerażonego dziecka wyglądała na prawdziwą.

- Rozumiem. I przerażonej dorosłej kobiety też - dodała.

- Niewykłuczone, że to, co miało go chronić, tak naprawdę go pograżyło.

- To znaczy?

- Tylko dzięki temu, że początkowo uwierzyłem w tę bliznę, nie dałem wiary, że Tomasz Dąbrowski to zabójca pozostałych dziewczyn. Po obejrzeniu jego rąk zorientowałem się, że musimy szukać dalej. Myślę, że tak czy siak odkrylibyśmy prawdę, bo Kazimierz Duran nie okazał się jednak tak sprytny i inteligentny, za jakiego się uważał, ale... - Zawiesił głos.

- Ale mogło już być za późno - dokończyła za niego.

- Właśnie. - Uśmiechnął się smutno i pogładził ją po policzku.

- A Iga? Naprawdę była chora? - To pytanie również ją dręczyło.

- Prawdy chyba nigdy nie odkryjemy. Według wielu, była. Ale sędzę, że niektóre omamy i halucynacje celowo u niej wywoływano. Choćby przeświadczenie, że potwór słyszy więcej od innych. To w sumie nic trudnego, jeżeli miał dostęp do nagrań z podsłuchów. Wystarczyło też, że raz zobaczyła go przypadkiem w przebraniu. Jeździła tam sprzątać, nadarzało się więc wiele okazji.

- Biedna dziewczyna, strasznie mi jej żal i jakoś nie mogę sobie wybaczyć...

- Aśka! - skarcił ją. - To nie twoja wina. To sekta robiła ludziom wodę z mózgow, zresztą nadal będzie robić, bo całe wydarzenie niewiele zmieniło w odbieraniu rzeczywistości przez członków. Albert Mleczo znów wrócił na szczyt, dobrał sobie pozostałych dwóch braci do starszyny i z tego, co wiem, żyją tak jak dawniej. Może przy tym wszystkim dobrze, że to on nimi kieruje. Popytałem trochę. Był kiedyś dobrym gliną, ale potem coś mu się w głowie poprzestawiało i zaczął fanatycznie wierzyć. W każdym razie sekta dalej działa i nie mamy na to wpływu.

- Tak, tego nie da się powstrzymać tak łatwo. - Pomyślała ze smutkiem o rodzicach.

- No, dobra. - Pocałował ją w usta. - Zrobić ci jajecznicę przed wyjściem? Muszę podomykać dziś wszystkie papiery w robocie, ale mam jeszcze pięć minut.

Po pokoju rozbrzmiał sygnał dzwonka do drzwi. Zdziwili się oboje, nikogo się nie spodziewali.

- Czyżby jakaś twoja kolejna fanka? - Aśka zmrużyła oczy, robiąc podejrzliwą minę. Ciągle pamiętała o opinii Hantera, zanim postanowili być ze sobą.

- Bardzo śmieszne. - Podniósł się z materaca i poszedł w kierunku wejścia.

Otworzył drzwi i ze zdumieniem stwierdził, że na progu stoi jego rodzony brat.

- Wojtek? Co się stało? - zapytał, widząc, jak koszmarnie wygląda.

- Ukryj mnie!

Mężczyzna w potarganym, brudnym ubraniu i z obłądem w oczach wbiegł do mieszkania. Był dziwnie pobudzony, jak po zażyciu prochów czy innej substancji psychoaktywnej.

– Ukryć? Ale co się stało?

– Ścigają mnie. Ścigają, bo myślą, że zabiłem Jagodę! – Trząśł się z nerwów i szybkim krokiem chodził po mieszkaniu tam i z powrotem.

– Co? Nic nie rozumiem. Jagoda nie żyje? – Dopiero teraz Tymon dostrzegł na ubraniu brata krew...

KONIEC